

ZIEMKIEWICZ MOCNO O PO

**Tusk z Bodnarem są po prostu
niebezpiecznymi warchołami**



**Andrzej Anus: Wkrótce do gry
wejdzie prezydent**

TYGODNIK LISICKIEGO

**NR 38/596 16-22 WRZEŚNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)**

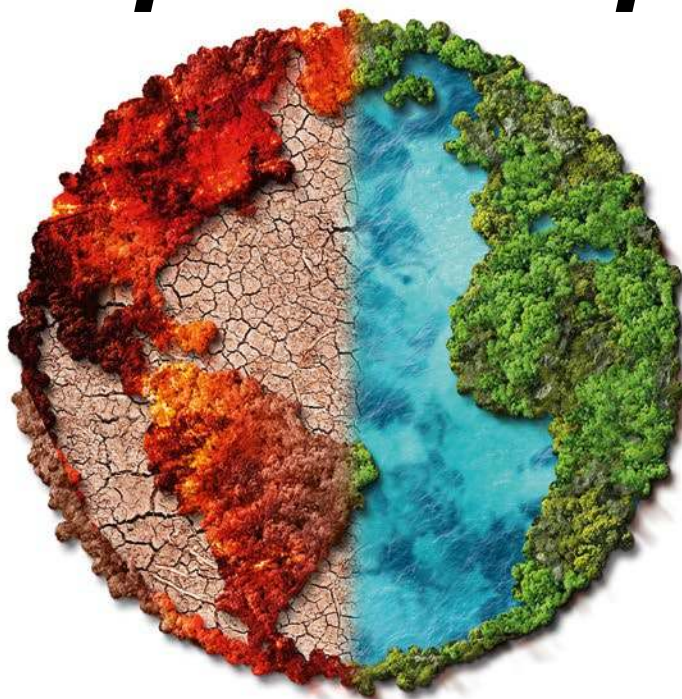
DO RZECZY

**PROF. MAREK
KORNAT
OPOWIADA
O OSTATNIM
PAPIEŻU-KRÓLU**



**Trump - Harris: Czy ktoś wygrał
pierwszą debatę prezydencką?**

Nauka w niewoli polityki klimatycznej



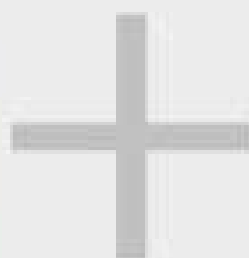
ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 185000
3 8 >
Nakład: 46 800 egzemplarzy

JAK SIĘ MANIPULUJE BADANIAM I FAŁSZUJE ICH WYNIKI

Uwaga: nowe ceny!



ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL:
„SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ. POLSKIE
DZIECI W RĘKACH NAZISTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~869~~ ZŁ

401,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WYPŁATA NA KONTA: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

GRUPA PÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 03-480 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużając o obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Między głupotą a zdradą

Jeśli ktoś miał nadzieję, tak jak ja, że istnieją granice żenady i absurdu, co się dotyczy obecnych rządów, to musiał się gorzko zawieść. Kilka ostatnich dni, kiedy to panowie premier pospołu z jego totumfackim ministrem sprawiedliwości opowiadali o tym, jak widzą uzdrowienie polskiego systemu prawa, cokolwiek byśmy myśleli o chorobie i potrzebie lekarstwa, należało chyba do najbardziej traumatycznych.

Co do intencji sprawa jest jasna. Tak mówił o tym premier Donald Tusk: „Jeśli chcemy przywrócić ład konstytucyjny oraz fundamenty liberalnej demokracji, musimy działać w kategoriach demokracji walczącej. Oznacza to, że prawdopodobnie nieraz popełnimy błędy lub podejmiemy działania, które według niektórych autorytetów prawnych mogą być nie do końca zgodne z literą prawa, ale nic nie zwalnia nas z obowiązku działania”. To szokujące wyznanie idealnie pasuje do wypowiedzi różnych ideologów lewicy, którzy to w imię budowy systemu demokracji socjalistycznej podejmowali działania „niebędące do końca w zgodzie z literą prawa”. Ależ na tym polega różnica między państwem prawa i bezprawia, że albo się literę prawa uznaje, albo nie. Co zrobić w sytuacji, w której polityk programowo zapowiada łamanie reguł?

Wygląda na to, że w systemie demokracji walczącej nie obowiązuje ani zasada pacta sunt servanda, ani lex retro non agit, ani zasada zaufania do państwa. W ten sposób Tusk sam podcina gałąź, na której siedzi. Jeśli przyznaje sobie prawo do działań nadzwyczajnych, to w oparciu o co? Nie zdobył władzy w drodze rewolucji czy przewrotu, ale w drodze wyborów i w systemie prawnym, za który

odpowiadała poprzednia władza. Jeśli dziś Tusk mniema, że może bezkarnie zawieszać obowiązujące ustawy, ograniczać konstytucyjne prerogatywy prezydenta, wreszcie przekreślać podpisane i wiążące dokumenty – słynna sprawa „wycofanej” kontrasygnaty – to faktycznie wprowadza w Polsce formę stanu wyjątkowego. Jest tylko kwestią czasu, kiedy zrozumienie tego dotrze do opinii publicznej. I kiedy, tak jak dzieje się to i działo w przeszłości, chaos i niepewność uruchomią siłę. Demokracja walcząca w wersji proponowanej przez Tuska prowadzi do, jak sama nazwa wskazuje, walki. Nikt nie może się w niej czuć bezpieczny. Nie mam wątpliwości, że musi się to skończyć dla Polski fatalnie. Oznacza to przecież, że legalnie wybrane w Polsce władze cierpią na chroniczną chorobę braku legitymizacji. Jak poważnie traktować państwo, w którym każda instytucja jest zainfekowana brakiem prawomocności?

O ile Tusk to sprytny demagog, po którym trudno oczekiwać zrozumienia tego, czym jest prawo i jego zasady, o tyle w przypadku ministra Adama Bodnara i wspierającej go kliki sędziowskiej sprawa wygląda poważniej. Oni nie tylko niszczą państwo, lecz także – trzeba skonstatować ze smutkiem – sprzeniewierzają się zawodowi prawnika. Lepiej niż do kierowania Ministerstwem Sprawiedliwości i pracą w wymiarze sprawiedliwości nadawali się do pracy w bojówkach antify.

Ich mentalność najlepiej pokazują projekty „uzdrowienia” polskiego systemu sądownictwa. Otóż według ministra Bodnara, co się dotyczy losów osób, które po 2018 r. awansowały na wyższe stanowiska w sądownictwie lub zostały sędziami Sądu Najwyższego, ma nastąpić

czystka. „Jedna grupa to osoby, które łączy coś, co nazwalismy »wspólnym przedsięwzięciem«. W sposób świadomy, czasami nieświadomie i lekkomyślnie, brali udział w budowaniu porządku niedemokratycznego w Polsce [...] Po trzech miesiącach od wejścia w życie ustawy te osoby wrócą na wcześniej zajmowane stanowisko” – wyjaśniał Bodnar.

Druga grupa to osoby, które dostały awans od KRS, „mając nieprzepartą wolę awansowania w strukturze sądownictwa”. „W tym wypadku przewidujemy instytucję czynnego żalu. Jeśli złożą oświadczenie, że był to ich błąd życiowy, to wtedy dobrowolnie wracają do sądu, w którym wcześniej orzekali, ale w stosunku do nich nic się nie dzieje. Uznajemy, że są rozgrzeszeni. Tych osób może być ok. 900” – tłumaczył.

Nie da się ukryć, że to są pomysły szalone, które mogły się pojawić tylko w głowie maniaków owładniętych nienawiścią do PiS. Zamiast kierować resortem sprawiedliwości, ludzie ci powinni zostać odesłani do najbliższej kliniki zdrowia psychicznego i poddani przymusowej terapii odwykowej. Za karę już nigdy, przenigdy nie powinni mieć do czynienia z ustawami, prawem i przepisami. Kto myśli inaczej, niech zada sobie pytanie, czy chciałby być sądzony przez sędziego, który wyraził czynny żal, dał się złamać i zaszantażować władzy. Pomysł, żeby legalnie i prawomocnie awansowanych urzędników poddawać poniżającej procedurze, bo awansowali w ciągu ostatnich sześciu lat, kiedy rządili „oni, a nie my”, trudno zrozumieć inaczej niż odwołując się do kategorii chorobowych.

No, chyba że to nie głupota, a zdrada... ©

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA

Z DR. HAB. INŻ. PIOTREM KOWALCZAKIEM

OSZUSTWO KLIMATYCZNE

Nauka sterowana za pomocą pieniędzy



KRAJ

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CZAS WARCHOŁÓW

Rozliczeniowy szal bez celu

22 KRYSZTOF KRATUJ

TOWARZYSZKA NOWACKA

25 ROZMOWA Z DR. ANDRZEJEM ANUSZEM

PREZYDENT MÓGŁBY ROZWIĄZAĆ PARLAMENT

28 JAN FIEDORCZUK

MINISTER OD „KONTROLOWANYCH KATASTROF”

30 ŁUKASZ WARZECHA

PIENIĄDZE NA PIS: NA BIEDNEGO NIE TRAFIŁO

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

SZEF W SIECI

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

WYCHOWALIŚMY POKOLENIE ŁAMAG

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK

GRZECHY OJCÓW

Zbrodnie drugiej wojny światowej w dokumencie

38 TOMASZ Z. ZAPERT

ZŁAMANE SERCE WIEŚCZA NARODOWEGO

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 LECH MAŻEWSKI

SUWERENNOŚĆ, SUWEREN A PRAWORZĄDNOŚĆ

Kto naprawdę nami rządzi

49 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

HIENY, ORKI I WARTOŚCI ZACHODU

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI

BEZDIETNY JAK KATOLIK

HISTORIA

52 ROZMOWA

Z PROF. MARKIEM KORNADEM

PIUS IX – OSTATNI PAPIEŻ-KRÓL?

Posoborowa definicja posługi papieskiej

56 PIOTR SEMKA

„TYSOL”, CZYLI JAROSŁAW KACZYŃSKI WSKAKUJE NA BECZKĘ

ŚWIAT



60 JACEK PRZYBYLSKI

HARRIS WYGRAŁA BITWĘ, TRUMP MOŻE WYGRAĆ WOJNĘ

Wyrównana walka o Białą Dom

62 MACIEJ PIECZYŃSKI

DRUGA WIELKA WOJNA OJCZYŹNIANA

65 ROZMOWA Z PROF. MACIEJEM SZYMANOWSKIM

OSKARŻANIE BUDAPESTU TO KURIOZUM

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI

INFLACJA ZNÓW PUKA DO BRAM

To dopiero początek wzrostów cen?

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

LIAM I INNI

Polskie imiona

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadziński, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygado
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**
WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Sanitarysta ponad podziałami”, Jerzy Karwelis, „DRz” nr 36/2024

Szanowna Redakcjo!

 W artykule **Jerzego Karwelisa** „Sanitarysta ponad podziałami” („Do Rzeczy” nr 36/2024), na temat szefa GIS dr. **Pawła Grzesiowskiego**, pojawiła się pomyłka, osłabiająca siłę przekazu całości tego ważnego tekstu.

Otóż cytowana w tekście wypowiedź z listopada 2021 r.: „Wymrze 10 proc. społeczeństwa w wieku 50+” jest tożsama z prognozą nie 150 tys., ale 1,44 mln* zgonów! Dla osób niezorientowanych dodam, że tyle osób umiera w Polsce w ciągu 3,5 roku!

Chciałoby się coś merytorycznie skomentować, ale przy pewnej skali

absurdalności nie ma się nawet o co zaczepić. Dodam tylko, że eksperci i decydenci z czasów pandemii w ogóle mieli kłopot z liczbami – np. przy oszacowaniu liczby potrzebnych szczepionek.

*Według danych GUS z 31 grudnia 2021 r. w Polsce mieszkało ponad 14,4 mln osób w wieku co najmniej 50 lat.

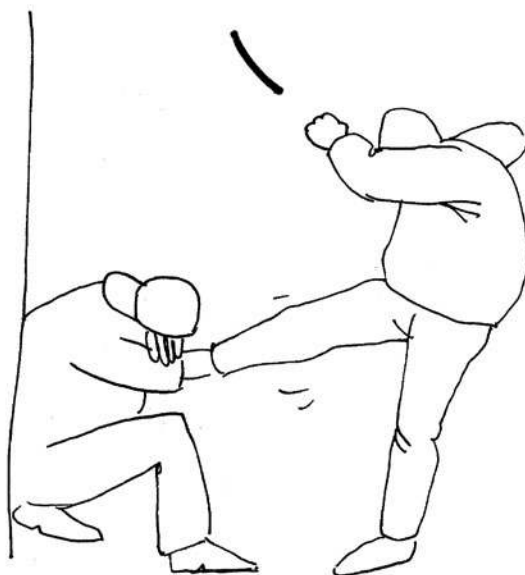
 Z poważaniem
Marek Sobolewski

Od autora

 Dziękuję za sprostowanie, i to w wykonaniu dr. **Sobolewskiego**, który był jednym z liderów obiektywnego, opartego na statystyce śledzenia pandemii. Faktycznie – dr **Grzesiowski**, dzisiejszy główny inspektor sanitarny, prorokował śmierć w wyniku COVID-19 nie 150 tys. Polaków, a 1,5 mln. Popełniłem błąd w wyliczeniu, gdyż nie chciało mi się uwierzyć, że taki „ekspert” może się tak mylić.

Jerzy Karwelis

De-mo-krac-ja
Wal-czaj-czaj!!!



ce z a r y z t y j s z t o n d

NA PIERWSZY OGIEŃ

Powrót do jądra ciemności



PIOTR SEMKA

W pociągu do Poznania spotykam polskiego misjonarza. Mój rozmówca rozpoczyna długą opowieść o realiach budowania życia kościelnego na czarnym lądzie. Po iluś zachwytach nad pięknem tamtejszej przyrody i spontanicznością wiary w Afryce przychodzi czas na mniej cukierkowe refleksje.

„Wielu czarnoskórych członków Kościoła – od zwykłych wiernych do miejscowych księży – zachowuje się tak, jakby traktowali białych misjonarzy jak bankomat do wyciągania pomocowych pieniędzy” – wyznaje kapłan. „Niekiedy bywam śmiertelnie zmęczony – wyznaje mój interlokutor. – Nie mam siły walczyć zarówno ze skorumpowaną administracją afrykańskiego państewka, w którym przyszło mi działać, jak i ze złymi nawykami miejscowych biskupów i księży wywodzących się z lokalnych elit.

Z sum, które pochodzą ze zbiorów w Polsce – jak podejrzewam – ponad połowa pieniędzy zostaje w kieszeniach czy to lokalnego czarnoskórego biskupa, czy to lokalnych proboszczów. Wszyscy oni są święcie przekonani, że z racji

pełnienia funkcji mają prawo do zatrzymywania w swoich kieszeniach pokaźnej części sum pomocowych. Na jakiegokolwiek uwagi, że jest to nieuczciwe lub naganne, reagują bardzo źle”.

Gdy pytam, czy nie można tego uznać za normalne w tym kręgu kulturowym i starać się z tym żyć, słyszę: „Owszem, ale wymagałoby to wyzbycia się obowiązującego w naszym »białym kręgu kulturowym« poczucia odpowiedzialności za wręczane nam pieniądze. Jeśli w czasie wizyt w Polsce korzystam z grzeczności polskich proboszczów i proszę o datki, to mam gorzką świadomość, że nie wiem, ile z tych pieniędzy trafi do realnie potrzebujących. Mogę tylko się domyślać, ile zbieranych przeze mnie pieniędzy na misję idzie potem na całkiem drogie samochody, którymi jeżdżą proboszczowie parafii, którym pomagamy. Jak wyznał mi misjonarz, miejscowi biskupi i księża najchętniej chcieliby dostawać wyłącznie przekazy finansowe z europejskich bogatych krajów – bez pojawiania się w ich krajach białych księży. Ci drażnią ich »wsadzaniem nosa w nie swoje sprawy«”.

Pytam: Jak ma się to do często przesłuszonych opowieści polskich misjonarzy w trakcie mszy w naszym kraju? „Nie mogę wypowiadać się na temat sytuacji we wszystkich krajach. Być może misjonarze, którzy w pana kościele chwalili się swą pomocą, potrafili zbudować system, w którym większość pieniędzy dociera do potrzebujących. Ja natrafiłem na bardzo patologiczny układ”.

Mój rozmówca stawia kropkę nad i: „Wiele razy słyszę, jak w Polsce optymistyczni publicyści katolicy, krytykując zepsucie Kościołów katolickich Europy, stawiają tezę, że Kościoły Afryki to Kościoły jutra. Problem w tym, że ci ludzie nie pojmują, jak bardzo tamtejsze Kościoły bywają zagłębione w mentalności zagarniania, czego się tylko da dla jednostek”. Czy to skłania misjonarzy do powrotu? „Owszem, tak. Są i tacy, którzy zaciskając zęby, prowadzą dalej swoje szkoły czy szpitale, zakładając, że nawet przy korupcji i nepotyzmie i tak zrobią więcej dobrego niż złego. Ale jest ich coraz mniej”. Żegnaj się i wysiadaj na mojej stacji. Trafiłem na kogoś kto miał pecha czy kogoś kto nie bał się być szczery? ©©

GROŹNY NIŻ
NAD POLSKĄ

Przez Polskę i inne kraje Europy Środkowej w ostatni weekend przeszedł niebezpieczny niż genueński Boris. Przyniósł ze sobą ulewne deszcze oraz silny, porywisty wiatr, powodując podtopienia i powodzie błyskawiczne. W rzekach doszło do przekroczenia stanów ostrzegawczych i alarmowych. Z powodu załamania pogody w różnych polskich miastach odwołano wiele imprez i koncertów. (jap) ©©



FOT. KRZYSZTOF CESARZ/PAP

Na kłopoty – Przysucha. Tam ma się odbyć wielki kongres zjednoczeniowy PiS i Suwerennej Polski, co trochę potwierdza info od wiewiórek, które od dawna wykluczały tak dalekie lokalizacje jak podrzeszowska Jasionka czy nawet Katowice. Natomiast wiewiórki upierały się, że będzie to Warszawa. Cóż, umówmy się, Przysucha to prawie Warszawa. Każda miejscowość w Mazowieckiem to przecież prawie Warszawa.

Dobra wiadomość: w Przysusze nie ma lotniska, więc CBA nie będzie miało gdzie zatrzymywać kolejnych byłych europosłów czy posłów PiS. Natomiast my oczekujemy, że nowa władza takie lotnisko zbuduje. Przecież wyraźnie obiecała, że choć nie będzie CPK, to cała Polska będzie teraz CPK.

Tymczasem na froncie walki o najlepszego kandydata na kandydata na prezydenta. Odnawiamy niniejszym wyraz głębokiej desperacji elektoratu, który zapytany w sondażu Wp.pl o wskazanie faworyta najliczniej głosował na tego, który nazywa się Żaden z Powyższych. Coś tam słyszeliśmy i o tym kandydacie. Okazały, obyty, przystojny, słyszeliśmy też, że z zawodu jest kierowcą i mieszka gdzieś w okolicach Szczecina. To znaczy: mógłby.

Prawda jest taka, że autorzy sondażu – i zdesperowany elektorat – są bliżej prawdy, niż myślą. Chociaż na giełdzie latają różne nazwiska (Bogucki, Nawrocki, Płażyński, Jaki, Siewiera itd.), to wygrać z nimi może właśnie opcja Żaden z Powyższych. PiS bada bowiem jeszcze dwa nazwiska, które na giełdzie się nie pojawiają. Jeden z nich to wóldarz miasta – ale nie chodzi o Lucjusza Nadbereźnego. Drugi to jeden z byłych wiceministrów w gabinecie Morawieckiego. Spełniają oni wszystkie kryteria Naczelnika – przystojni, żonaci, dzieciaci i bez problemu dogadują się w języku lengtydź. Jest tylko jeden problem: nikt, no może poza nami, ich nie zna.

Tymczasem Zły Donald z Sopotu ogłosił nadejście czasów „demokracji walczącej”. Co bardzo nas zainteresowało, bo jesteśmy wyczuleni

na dokładanie przymiotników do słowa „demokracja”. Na przykład „demokracja socjalistyczna”. Albo „demokracja sterowana”. Albo „demokracja nieliberalna”. Ale o tym innym razem. Teraz jedynie zauważamy, że tekst z pisma „Palestra” nr 1–2/2014 „Demokracja walcząca a sprawa polska. Czy czas działania już nadszedł?” powstał grubo wcześniej, zanim PiS wygrał wybory, ale już wtedy, gdy wielu się obawiało, że wygra. Wygląda na to, że dekalizacja przygotowywana, jeszcze zanim nastąpiła kaczyzacja.

Mimo rozdziału Kościoła od państwa w jednym z resortów doszło do egzorcyzmów. I to udanych. Rzeczą dotyczy niejakiego Kamila Szwarbuły. W styczniu został dyrektorem biura komunikacji i promocji Ministerstwa Sprawiedliwości. No więc słyszeliśmy, że już przestał nim być. Gdzie tu egzorcyzm? Ano Szwarbuła zasłynął wrzucaniem do mediów społecznościowych zdjęć siebie przebranego za diabełka i także wymalowanego. A może i diabła, bo make-up plus rogi wyglądały dość konkretnie. Wzywamy do kolejnego kroku. Skoro już wyrzucono diabła, to może czas, żeby i wypuścić księdza?

Zmarła była rzecznik Prokuratury Krajowej Ewa Bialik. Zwana przez nas Panią E. A to z tego powodu, że

nie miała pamięci do mniej popularnych imion i przez pewien czas zwracała się do jednego z panów G. per „Panie C.”. Utrzymując się w tej konwencji, ochrzciliśmy ją Panią E. Porządna to była kobieta. Tym większy niesmak w nas wywołało to, że dwoje legalnych zastępców prokuratura generalnego nie znalazło w sobie odwagi, by podpisać się pod jej nekrologiem. Chodzi o szefa pionu śledczego IPN, Andrzeja Pozorskiego, oraz szefową tzw. PZ-tów, czyli pionu zwalczającego przestępczość gospodarczą, Beatę Marczak. Nieładnie.

Janosikowe” to popularna nazwa pieniędzy, które trafiały z obrzydliwych bogatych gmin do gmin ubogich. Do tej pory o tym, którzy ubodzy krewni dostaną pieniądze, decydował specjalny algorytm. Teraz ma to ulec zmianie. Nowa władza uznała najwyraźniej, że wyborcy z gmin biednych to osobnicy niepewni i zapewne PiS-owscy. Teraz pieniądze ma po uważaniu dzielić osoba samego premiera. Mamy nawet odpowiednią nazwę na ten nowy algorytm. Zgodną z zasadą sformułowaną kiedyś w restauracji Sowa i Przyjaciele przez Włodzimierza Karpińskiego: – Ch.j z tą Polską Wschodnią.

Uwielbiamy takie historie. Otóż dwa miesiące temu portal OKO.press opisał, jak to dzielny nowy naczelnik wydziału spraw wewnętrznych Prokuratury Krajowej, Dariusz Makowski, odkrył, że prokurator Franciszek Michera w ostatnim dniu swojego urzędowania wszczął postępowanie przeciw trzem paniom sędziom za to, że respektowały orzeczenia europejskich trybunałów. Na szczęście dzielny Makowski się zorientował, że decyzje nie zostały jeszcze wysłane ani doręczone, więc bohatercko uchylił postanowienie Michery. W tekście zabrakło jednak ważnej informacji. Otóż w nasze brudne łapska wpadło pismo, w którym ten sam Makowski nakazuje Micherze wszcząć postępowanie w sprawie tychże pań sędziów. To się dopiero nazywa mądrość etapu. Nakazać podwładnemu wszcząć, a gdy ten wykona polecenie – uchylić nakaz wszczęcia. Teraz już wiemy, skąd Tusk musiał wziąć pomysł na uchylenie kontrasygnaty. ©©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Raj przemysłników

Pywanie z gatunku „głupota czy sabotaż” staje przed nami w związku z zapowiedzianym przez rząd odejściem od tzw. mapy akcyzowej, czyli obowiązującej od kilku lat zasady, że doroczny wzrost akcyz na alkohol i tytoń nie przekracza 10 proc. Ministerstwo Finansów ogłosiło, że od przyszłego roku haracz na wyrobach tytoniowych podniesie średnio o jedną czwartą, a w niektórych modnych asortymentach nawet o ponad połowę.

Jest coś takiego jak krzywa Laffera – wykres obrazujący, że jeśli podnosi się podatki za bardzo, to wpływy z nich maleją. Jeśli na unikaniu podatku nie można zarobić zbyt wiele, to nie warto ponosić ryzyka, ale jeśli można zbić na tym

fortuny, to warto nadstawić karku. To ekonomiczny elementarz, rzecz sprawdzalna jak dwa razy dwa. Dlatego właśnie wprowadzono „mapę akcyzową”, dzięki której dochody z tytułu akcyz były stabilne i z roku na rok rosły.

Czy to możliwe, żeby w ministerstwie siedzieli ludzie tak głupi, by nie rozumieć oczywistości? Dowalanie koncernom tytoniowym zawsze się dobrze sprzedawało w mediach, a generalnie życzeniowy projekt budżetu na rok 2025 zapewne wytworzył ogromne ciśnienie na urzędników, by wymyślali sposoby „zwiększenia wpływów”. Politycy myślą nieliniowo, inaczej niż ekonomiści, którzy stworzyli i potwierdzili krzywą Laffera, więc nie jest to wykluczone.

Ale nie jest też wykluczone, że rządzący świadomie podają rękę mafii przemysłniczej, która ostatnie lata przędła bardzo cienko. Skoro po zmianie władzy mamy tak imponujący wzrost lewych faktur na rynku (według KAS o 100 proc. – „szczelność systemu VAT nie jest już priorytetem rządu”, jak to pięknie skomentował ekspert), co przełożyło się na dramatyczny wzrost „luki VAT”, to i inne gałęzie „szarej strefy” muszą coś dostać – nieustająca popularność w więzieniach i aresztach domaga się dopieszczenia, elektorat to elektorat, ten żelazny – zwłaszcza.

To teraz czas na raj melinarzy i bimbrowników: ograniczenia legalnej sprzedaży i podniesienie akcyz już zapowiedziano. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Teoria bezprawia

Wiceminister Mucha nadal pełni swą funkcję. Minister Bodnar również. Premier Tusk nie odwołał wiceministera po jej deklaracji, że wystarczającą gwarancją zgodności z prawem ministerialnych decyzji jest ich „zaopiniowanie prawne w ministerstwie i w kancelarii premiera”. Premier wiceminister nie odwołał, a minister Bodnar nie rozdarł szat w proteście przeciw tak otwartej negacji władzy sądowniczej.

Mamy w tym wypadku do czynienia nie tylko z aprobatą, za którą cały rząd ponosi – jak stanowi Konstytucja – „solidarną odpowiedzialność”. Ponosi ją również za zaniechania albo nieświadome

błędy, ale tu, po tak długiej tolerancji dla publicznego skandalu, mamy do czynienia z czymś znacznie większym – z całkowicie świadomą rządową autoryzacją (anty)prawnej doktryny sformułowanej w ministerstwie Nowackiej-Muchy.

Trzeba zrobić lojalnie jedno zastrzeżenie. Joanna Mucha sformułowała doktrynę średniego zasięgu, choć mającą uniwersalne konsekwencje. Wiceminister zapowiedział, że resort MEN nie będzie przejmował się skargą pierwszej prezes Sądu Najwyższego na antykatechizacyjne rugi, ponieważ skierowana została do Trybunału Konstytucyjnego, ten zaś „w jej przekonaniu skompromitował się wielokrotnie i nie powinniśmy brać jego głosu

pod uwagę”. Krótko mówiąc, uznała, że wystarczy „przekonanie o wielokrotnej kompromitacji” sądów, aby rząd nie przejmował się formalną praworządnością i zadowolili parafkami własnych prawników.

W planie teoretycznym to imponujące uzasadnienie polityki Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. Z jedną różnicą oczywiście. Przed 2015 sądownictwo skompromitowało się nie tylko „w przekonaniu” liderów PiS. Klęskę, czyli upadek, wymiaru sprawiedliwości stwierdziły Wolne Media, a nawet sam (!) TVN – np. oceniając we wrześniu 2012 r. wyroki w sprawie mafii pruszkowskiej. A to chyba powinno wystarczyć, przynajmniej wiceminister Musze. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Po 1989 roku oczyściliśmy się Idm,
ale teraz potrzebujemy pomocy tw. Bodnara



c e z a r y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Włoska Republika Plotkarska

Od dwóch tygodni we włoskiej przestrzeni medialnej króluje jeden temat: bardzo kłopotliwego romansu ministra kultury Gennara Sangiuliana z niejaką Marią Rosarią Boccia, kutą na cztery nogi atrakcyjną blondynką z branży mody, a w dodatku influencerką. Ministrowi zamiast czerwonej lampki zapaliło się zupełnie co innego. Zapłacił za to posadę.

Jeden Bóg wie, jak było. W każdym razie kobieta towarzyszyła ministrowi w spotkaniach oficjalnych i nieoficjalnych. Miała ogromną chrapkę na posadę konsultantki ministerstwa. Nawet dostała jakieś dokumenty do podpisania, ale sprawa się rypla. Para się rozstała. Ambitna niewiasta zapalała dziką żądzą zemsty, choć może była podstawiona. Tak

czy inaczej, zaczęła publikować w Internecie zrobione sekretne zdjęcia i nagrania z różnych spotkań i imprez, w których towarzyszyła ministrowi, a nawet filmiki z parlamentu. Zrobiła je kamerką ukrytą w okularach przeciwsłonecznych Ray-Ban. Poinformowała internetową gawiedź, że była świadkiem rozmów telefonicznych ministra, w tym z premierem Meloni, a także miała dostęp do jego korespondencji w telefonie komórkowym.

Opozycja zwietrzyła krew: nepotyzm, zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa i korupcja. Minister udzielił wywiadu publicznej telewizji Rai (17 minut) zaraz po głównym wydaniu dziennika (sic!). Publiczny nadawca anonsował tę spowiedź od rana jako atrakcję dnia. Minister się

wytłumaczył, a potem spłakał, zapewniając, że kocha swoją żonę. Była kochanka odpowiedziała wielkim wywiadem dla turyńskiej „La Stampa”.

Od dwóch tygodni włoskie gazety donoszą o tej nieszcześliwej historii wypadków miłosno-szpiegowskich na pierwszych stronach i w sążnistych komentarzach. Najpoważniejsze programy publicystyczne nie zajmują się niczym innym. Słowem: prawdziwe, godne dziennikarstwo abdykowało. Tylko na Forum Ekonomicznym w Cernobbio, gdy kompromitując się totalnie, naczelny „Corriere della Sera” spytał premier Meloni o romans ministra, a nie o ekonomię, rozległy się wrzaski: „Baaasta!” i gwizdy. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

PRZECHWAŁKI POD PUBLIKĘ

Trwa licytacja na to, którego celebryty dziecko nie chodzi na lekcje religii. Skoro rząd obrał wiadomy kurs ideologiczny, to czemu nie? Trzeba najwidoczniej zadeklarować, że jest się po „właściwej” stronie. „Mój synek uczęszcza na lekcje etyki, bo teraz w szkołach do wyboru jest albo religia, albo etyka. To jest wybór mój, jego mamy i też jego samego, bo w jakiś sposób do niczego go nie przymuszaliśmy” – poinformował aktor Mikołaj Roznerski. Podobną decyzję podjął syn prezenterki Joanny Racewicz, która obwieszczając ją w mediach, opowiedziała również o swo-

niu z pacierza”, to według niej nie ma to żadnego sensu. – Przez chwilę mój syn też był na takich lekcjach, jeszcze w szkole podstawowej, i to jest dla mnie obraźliwe dla samego aktu wiary – podsumowała dziennikarka.

PROŚCIEJ. ALE CZY LEPIEJ?

„Celebrytka funeralna”, Julia von Stein, zaistniała w show-biznesie dzięki udziałowi w show „Królowe życia”, a także formacie „Diabelnie boskie”. Von Stein związana jest z branżą pogrzebową – na co dzień pracuje w rodzinnym zakładzie pogrzebowym, a do tego prowadzi wystawne i ekscentryczne życie. Projektantka trumien (oraz specjalistka od makijażu pośmiertnego) udała się na wywiad do Żurnalisty. Zdecydowała się opowiedzieć o tym, jak zwalczyła kompleksy. Jak? Dzięki operacji nosa. – Byłam brzydka, wyglądałam jak szczur. Paskudna. Nienawidzę swojego odbicia w lustrze z tamtych lat. Widać to zakompleksienie ze względu wyglądu na kilometr. Miałam straszną twarz. Twarz miałam taką, jakby mi bomba pie.dolnęła w twarz. Miałam potężny trądzik, teraz mam potężne blizny. Robię wszystko, przeszedłam trzy operacje na twarzy i dalej są – wyznała Julia. – W lutym minęły moje wszystkie kompleksy. W lutym zrobiłam nos. Nawet napisałam, że życie bez kompleksów jest tysiąc razy prostsze – przekonuje gwiazdka.

DOBRCZE MÓWI

Von Stein podjęła też refleksję na temat przyszłości. Okazuje się, że jest u niej jednak jakaś głębsza myśl. Celebrytka przyznała bowiem, że w życiu od kariery ważniejsza jest rodzina. – Tak ogólnie, czy osiągnęłam więcej, jakbym dzisiaj na siebie popatrzyła? Ch..a osiągnęłam więcej – stwierdziła dosadnie, pytana o swoją wypowiedź z przeszłości, gdy przekonywała, że jest w lepszym życiowo miejscu niż jej rówieśnicy. – Moje koleżanki mają dzieci, mają mężów [...]. To jest dla mnie sukces. Ja będę kobietą sukcesu, jak będę taka, jak jestem teraz, będę dalej rozwijała

swoją firmę, ale przede wszystkim będę miała poczucie sensu w życiu, a sens daje rodzina – podkreśliła. Dwudziestosiedmiolatka zaznacza, że chciałaby mieć dzieci, i to szybko. – Właśnie widisz, chodzi o to, żeby samego siebie nie oszukiwać. Jest czas w życiu na rodzenie dzieci i u mnie jest ostatni dzwonek. A później? Nie krzywdź dziecka! Mam być starą matką? Moje dziecko będzie szło do komunii, a ja będę o lasce tam szła, ta plastikowa du.a już prawie pięknie, te cycki się wyleją już do końca... No litości – skwitowała. Forma wypowiedzi może dyskusyjna, ale co do sedna trudno się nie zgodzić.

COME BACK BEZ FAJERWERKÓW

Miesiące mijają, ale nie widać końca „odbudowy” mediów publicznych. Nowa ekipa „rehabilituje” tych, którzy zostali rzekomo wyrzuceni z TVP za poglądy niezgodne z linią poprzedniej władzy. I tak Robert Janowski znowu prowadzi popularny muzyczny show „Jaka to melodia?”. Gdyby wierzyć głosom dyrekcji telewizji, to powrót powinien wysadzić słupki oglądalności poza skalą. Tymczasem pierwsze wyniki na podstawie danych Nielsen Audience Measurement świadczą o zjawisku odwrotnym. Portal Wirtualne Media donosi, że średnia oglądalność nowych odcinków „Jaka to melodia?” w okresie od ostatniego dnia sierpnia do 5 września wyniosła 630 tys. osób. Dla porównania: pierwsze sześć odcinków, które wyemitowano zeszłej jesieni, oglądało 780 tys. osób, czyli o 150 tys. widzów więcej. Wiele mówią komentarze internautów, którzy wcale nie omdlewają z zachwytu nad powrotem Janowskiego. „Dziękuję, mam dość odgrzewanych kotletów”; „Lubię pana Roberta, ale młodszy Rafał Brzozowski lepiej się sprawdził w tej roli. No cóż, czasem trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść”; „Młodych się pozbywają, a emerytów zatrudniają”; „Nie będę oglądać już. Dno!”; „Porażka, dużo ludzi przestanie oglądać”; „Tylko nie z nim. To mój koniec oglądania programu” – to niektóre z komentarzy. Ech, ci głupi ludzie niczego nie rozumieją. ☹☹



FOT. JERZY BŁONKOWSKI/FOTONOWA

im stosunku do pomysłu częściowego wyprowadzenia religii ze szkół. – Ja jestem całym sercem za tym, żeby oddzielić Kościół od państwa, i to jest ten porządek, który jest najważniejszy. Gdyby to było religioznawstwo, gdyby to była wiedza o religiach, gdyby tam były elementy budyzmu, islamu, prawosławia itd., to wtedy miałoby to sens – stwierdziła w rozmowie z „Super Expressem”. Gwiazda dodała przy tym, że gdy lekcja polega na „odpytywa-



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z racji naszego politologicznego backgroundu lubimy sobie czasem przeprowadzić jakąś pogłębioną myślową analizę na temat zjawisk, które zachodzą aktualnie w życiu publicznym. A jako iż niebawem w decydującą fazę wejdzie kampania prezydencka w Ameryce, postanowiliśmy przyrzec się jej bliżej.

Nie szkodzi of kors, iż dyplom nauk politycznych leży nieużywany nie wiadomo gdzie – jak wiadomo, wykształcenie lub jego brak nie determinuje fachowości osoby ani tym bardziej nie powinien decydować o jej prawie do podejmowania dyskursu.

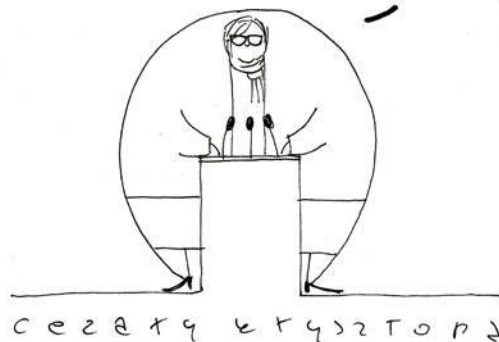
Skoro więc omówiliśmy formalności, pozwólcie, iż przejdziemy do rzeczy. Samej debaty Trump-Harris nie oglądaliśmy, ale mamy pewność, iż Kamala jest zdecydowaną zwyciężczynią tejże debaty, iż lepiej panowała nad mimiką i mową ciała, była ciepła, a Trump ział nienawiścią. Brzmi znajomo, co nie? xD.

Najważniejsze miało jednak miejsce już po debacie. Otóż publicznego poparcia Kamali Harris udzieliła popularna piosenka Taylor Swift, co zdaniem wielu komentatorów może mieć znaczący wpływ na wynik wyborów. My ze swojej strony chcielibyśmy natomiast zwrócić uwagę na coś innego.

Czy widzicie, o jak wielkiej odwadze osobistej oraz dojrzałości społecznej

świadczy postawa osoby Swift? Jesteśmy pod naprawdę dużym wrażeniem, iż w Polsce nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich gestów. W obawie przed kaczystowskimi represjami popularni aktorzy rzucą czasem jakimś nieoczywistym żartem, mają tu polew,

*Za dużo trecie ...
ale my was odchudzimy*



ale tak, iżby nikt nie zarzucił, iż kogoś wprost popierają, atakują bądź nie. My to rozumiemy i nie mamy pretensji. Nigdy nie wiadomo, czy jak pis nie wróci do władzy, to nie reaktywuje Berezę Kartuskiej dla osób ze świata kultury i sztuki.

A w Ameryce widocznie – skoro demokracja jest starsza, a zatem dojralsza – kiedy osoba komentująca ma normalne postępowe i demokratyczne poglądy, to najwidoczniej nie ma się co bać. Jesteśmy też pod wrażeniem społeczeństwa

amerykańskiego jako wyborców, którzy ufnie i ze zrozumieniem mogą pójść za głosem swojego autorytetu.

A u nas, w tym kraju? Autorytety są ciągle negowane, często wyśmiewane, nikt nie chce słuchać tych odważnych półśłówek i potem w efekcie co jakiś czas

się smucimy z powodu powrotu pis do władzy. I, kochani, my naprawdę nie chcemy straszyć, ale kolejna taka sytuacja może mieć miejsce już całkiem niedługo.

Chcielibyśmy się też pokrótce odnieść do wycofania kontrasygnaty przez pana premiera (mamy nadzieję, iż nie pokręciliśmy niczego, ten prawniczy język powinien zostać uproszczony). Of kors nie znamy się na prawie, ale ufamy autorytetom, w odróżnieniu od większości Polaków.

I dlatego też rozumiemy, iż czasem należy zrobić to, co jest właściwie, a nie to, co można. Of kors nie wyrokujemy, czy premier zrobił to, co oficjalnie można. Na pewno zaś zrobił to, co jest właściwe. I piszemy o tym, iż chcemy docenić tę osobę stanu, która jak nikt inny w historii potrafiła przyznać się do błędu.

A poza tym minister Bodnar mówi, iż tam były jeszcze jakieś szczególnie okoliczności, więc tym bardziej – komu mielibyśmy zaufać, jak nie jemu? ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Czapka obowiązkowa

Donald, popatrz, mam tutaj projekt stroju dla neosędziów. Postarales się, widzę.

Specjalnie kredki kupiłem, takie profesjonalne, w sklepie dla plastyków. Fakturę wzięłem na ministerstwo. Jasne. Pokazuj. No więc toga jest, jak widzisz, w takie pasy biało-niebieskie, tutaj opaska na rękaw z literą „N”, jak „neo”... Domyśliłem się.

... a tutaj taki pejczyk przytraczany do boku.

A to po co?

Przez rok po samokrytyce będą się musieli biczować przed każdą rozprawą. No i oczywiście czapka. Obowiązkowa.

Po co?

Muszą mieć co uchylać przed prawdziwymi sędziami. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

**„Według PiS-owców
praworządność jest wtedy,
gdy mogą kraść, kiedy
chcą, co chcą i ile chcą”.**

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X

HISTORYCZNY MOMENT MISJI POLARIS DAWN: PIERWSZY KOMERCYJNY SPACER KOSMICZNY

To wydarzenie przejdzie do historii ludzkości. W ubiegły czwartek, gdy wyniesiona przez raketę Falcon 9 kapsuła załogowa Crew Dragon znalazła się w odległości 700 km od Ziemi, czworo członków misji Polaris Dawn przywdziało specjalne, nowoczesne kombinezony firmy SpaceX. Wkrótce potem w pierwszy w historii komercyjny spacer kosmiczny udał się formalny dowódca. – Stąd wygląda na świat idealny, choć tam w dole jest jeszcze wiele do zrobienia – powiedział, wychylając się z otwartego wylazu kapsuły miliarder Jared Isaacman, który jako pierwszy astronauta amator spacerował w kosmosie. Do kapsuły powrócił po niecałych 10 minutach. Wówczas wewnątrz Crew Dragon opuściła specjalistka do spraw misji Sarah Gillis, która po kilkuminutowym spacerze wróciła do środka. W ten sposób zakończono kluczowy moment misji Polaris Dawn. Ten sukces oznacza otwarcie nowej epoki dla rozwoju komercyjnych misji kosmicznych.

Astronauci podczas pięciodniowej kosmicznej podróży dostali do wykonania niemal 40 różnego typu eksperymentów i badań naukowych. Ustanowili również nowy rekord wysokości dla kapsuły załogowej na orbicie okołozemskiej (1408 km). Wcześniej, a latach 60. XX w., astronauci NASA Richard Gordon i Charles Conrad z Gemini 11 dotarli na wysokość 1369 km. (jap) ©

FOT. SPACEX/AP/EAST NEWS





EVA 1 IN PROGRESS

SPEED

25274

KM/H

16-22 IX 2024 38/2024

ep 168c6ac817

SS



Z dr. hab. inż. Piotrem Kowalczykiem,
emerytowanym profesorem Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej,
autorem książki „Zmiany klimatu. Polityka. Ideologia. Nauka. Fakty”
rozmawia Tomasz Cukiernik

Oszustwo klimatyczne





TOMASZ CUKIERNIK: Czy na Ziemi mamy globalne ocieplenie?

DR HAB. INŻ. PIOTR KOWALCZAK: Jest globalne ocieplenie, ale przebiega bardzo wolno. Naturą klimatu jest to, że się zmienia. W tej chwili akurat występuje ocieplenie, ale nie jest tak gwałtowne, jak informują nas o tym alarmiści. Przytoczę fantastyczną złotą myśl emerytowanego profesora klimatologii Davida Siegla: „Nikt nie zaprzecza zmienności klimatu, bo to prawdziwość trwająca tak długo, jak historia Ziemi. Klimat się zmienia niewiele, nie szybko i nie ostatnio”. Na całej Ziemi mamy sieć stacji obserwacyjnych, które mierzą temperatury. I od czasu do czasu notowane są cykle zmian temperatury. Akurat w tej chwili występuje proces ocieplenia, ale nie występuje równo na całej Ziemi, nie przebiega w sposób równoczesny. W niektórych stacjach amerykańskich dostrzeżono nawet zmiany w drugą stronę.

Jaka jest przyczyna tego zjawiska?

Część naukowców twierdzi, że jest to przyczyna działania Słońca, dlatego że Słońce jest głównym źródłem wszystkich zmian klimatycznych na Ziemi. Są jeszcze inne przyczyny, jak np. zmiany nachylenia osi kuli ziemskiej. Natomiast miłośnicy ocieplenia zgromadzeni wokół IPCC [ONZ-owski Międzyrządowy Zespół do spraw Zmian Klimatu] twierdzą, że przyczyną jest człowiek, a mianowicie wzrost emisji dwutlenku węgla. Rzeczywiście te wzrosty notowano od czasu rozpoczęcia się epoki przemysłowej ok. 1840 r. i od tego czasu notujemy to jako ocieplenie. Ale jakieś 50–100 lat wcześniej wystąpiły topnienia lodowców, co było sygnałem zakończenia małej epoki lodowcowej.

Która teoria pana zdaniem jest prawdziwa?
Pierwsza, Słońce.

W swojej książce „Zmiany klimatu. Polityka. Ideologia. Nauka. Fakty” pisze pan, że wzrost stężenia CO₂ jest powodowany przez wzrost temperatury, a nie odwrotnie.

Tak. Z wyników analiz innych badaczy wynika, że zawsze wzrost temperatury powodował wzrost stężenia dwutlenku węgla, ale w tej chwili rzeczywiście bardzo duża ilość CO₂ jest produkowana przez naszą cywilizację.

W swojej książce pisze pan też, że „podstawowym problemem IPCC jest brak dowodów na zmiany klimatyczne spowodowane przez człowieka, co więcej, kolejne prognozowane symptomy tego procesu, zapowiadane z dziesięcioletnim wyprzedzeniem, nie sprawdzają się”. A przecież na podstawie raportów IPCC m.in. UE chce dojść do zeroemisyjności, po drodze rujnując naszą gospodarkę. Czy to oznacza, że jesteśmy okłamywani?

Mam takie ulubione stwierdzenie prawników, że mijamy się z prawdą. Ale wiemy, o czym myślimy. Nie ma dowodów. To wszystko wynika z arogancji polityków. Po ponad 40 latach badań i wydatków liczonych w miliardach dolarów nie udowodniono związku wzrostu temperatury z czymkolwiek, a na pewno nie ze wzrostem stężenia CO₂.

To jak można na podstawie tego prowadzić taką politykę, skoro nie ma dowodów na to, że CO₂ powoduje ocieplenie?

Dobrze pan to nazwał. Pisząc książkę, nie próbowałem używać ani polityki, ani żadnych myśli wynikających ze świata zewnętrznego poza klimatologią. Ale sugerowałem, że polityka wprowadza wielką szkodę. Ponieważ pisanie książki zostało zakończone ponad trzy lata temu, w tej chwili możemy już powiedzieć, że polityka jest rzeczą, która napędza ten cały proces. Według powszechnych zasad należało na początku w wyniku badań naukowych określić przyczyny, potem wskazać środki naprawcze i dalej korzystając z podstaw naukowych, realizować cele według przyjętej hierarchii. Tymczasem decyzje polityczne wyprzedzają znacznie różne wyniki badań, które powstają w ramach IPCC. Pewne kroki, które nie miały nic wspólnego ze zmianami klimatu, podejmowano już wcześniej, nazywając, że jest to skutek zmian klimatu na długo, zanim cokolwiek pojawiło się w raportach IPCC. Panuje w świecie nauki twierdzenie, że „wóz polityki klimatycznej postawiony jest przed naukowym koniem”. Potwierdzają to fakty. Na przykład ramowa konwencja w sprawie zmian z 1992 r. została podpisana przez 190 krajów, zanim jakiegokolwiek dowody naukowe zasugerowały zauważalny wpływ człowieka na światowy klimat. Protokół z Kioto został wprowadzony w życie, zanim mieliśmy jakąkolwiek pewność, że aktualne ocieplenie klimatu zostało spowodowane działalnością człowieka.

Pan też pisze w swojej książce, że te podsumowania raportów IPCC są fałszowane. Kto to robi i dlaczego?

Cały układ informacji powstających w ramach IPCC jest budowany na podstawie szczytkowych badań poszczególnych naukowców dających wkład w pracę tego komitetu. Następuje proces odsiewania informacji, bo jest hasło polityczne, pod które należy napisać to wszystko. Tą metodą IPCC stracił wielu wybitnych naukowców, którzy próbowali z nim współpracować, dlatego że ich opinie były odrzucane albo niezauważane. Zasadą jest, że IPCC nie dostrzega uwag strony przeciwnej. Raport IPCC składa się z dwóch części. Pierwsza to raport główny, gdzie są opisane wszystkie wyniki w sposób dość szczegółowy, a druga to podsumowanie dla decydentów i mediów, które zawiera skróty. Ta druga część jest najbardziej czytana, bo nikt z dziennikarzy i polityków nie będzie sięgał do grubego, opasłego dzieła, z którego i tak niewiele zrozumie. Podsumowanie jest napisane językiem ogólnodostępnym i tam właśnie następują różne przeinaczenia treści, które były w raportach.

Dokładnie podaje, jaki dokument został zmieniony, przekreślony, w jakiej atmosferze to powstawało, w jakich zespołach były dokonywane tego typu próby. Wymieniam z nazwiska osoby, które brały udział w tych wszystkich manewrach. Do tego w tle nakładają się sprawy związane ze zwykłym fałszowaniem danych klimatycznych na zasadzie takiej, że wszystkie dane meteorologiczne wszystkich struktur na świecie są poprawiane w zależności od błędów, które robią urzędnicy, błędów wynikających z rozkładu powierzchniowo-obszarowego itd. To towarzystwo próbuje fabrykować dane, które opierają się ich opiniom o gwałtownych zmianach klimatu. Takim podstawowym przedmiotem działań był tzw. kij hokejowy. Był dumą klimatystów jeszcze 10 lat temu. Dzisiaj żaden klimatysta nie wymieni tego słowa, bo po prostu utkwii mu w gardle.

W takim razie dlaczego to się robi? Dla celów politycznych?

Chodzi o to, żeby stworzyć pewną ideę, która pozwoli na przepływ środków w inny sposób. Chodzi o to, żeby stworzyć nowy kierunek wydawania

pieniędzy. Ma pan teraz najnowsze środki z Unii Europejskiej – jest tego bardzo dużo i znaczna część idzie na walkę ze zmianami klimatu. To jest szaleństwo.

Czy pana zdaniem człowiek jakimikolwiek działaniami może powstrzymać zmiany klimatu?

Nie, nie może. Są analizy, które powstały znacznie wcześniej, które w jakiś sposób dyskutowały z IPCC i działaniami politycznymi, bo one są najbardziej groźne. Na przykład taka podstawowa dla mnie opinia to opinia Instytutu Princeton w USA, która mówiła o tym, że nawet gdyby emisje CO₂ się zatrzymały, to termin, kiedy nastąpi jakakolwiek mała zauważalna zmiana, będzie tak odległy, że nie będzie nas już dotyczył. Z kolei działania techniczne, które nam sugerują, co należy zastosować, są praktycznie zerowe

To towarzystwo próbuje fabrykować dane, które opierają się ich opiniom o gwałtownych zmianach klimatu

w swojej skuteczności, a niektóre są po prostu komiczne. Mam na myśli np. próby zbierania CO₂ z procesów przemysłowych, ładowania go w rurociągi, transportowania, żeby ulokować w formie ciekłej pod dnem morza. Koszty z tym związane przerażają. W ocenie efektów działamy nawet nie w procentach, ale w ułamkach promili. To jest jakiś bezsens.

Na CCS idą olbrzymie pieniądze. I to promuje Komisja Europejska...

Tak jest. To jest dla mnie niezrozumiała działalność. Pisząc książkę, dałem sygnał, jeżeli chodzi o stronę taką typowo naukową. Nie stworzono podstaw naukowych, stąd dalszy ciąg tej historii będzie już tylko kosztowną i bolesną farsą.

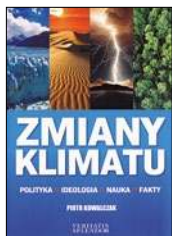
Ale właściwie dwutlenek węgla nie jest szkodliwy, bo pisze pan np. o zazielenieniu planety dzięki większej zawartości CO₂ w powietrzu...

Dwutlenek węgla nie jest żadną trucizną – i to nie moje stwierdzenie. To stwierdzenie innych uczonych, specjalistów w dziedzinie fizjologii roślin.

Twierdzą, że jest to podstawowy produkt dla rozwoju roślin, który pozwala na to, że one się lepiej rozwijają, mają większą odporność na różne procesy. Przykładowo: wskutek większego stężenia dwutlenku węgla rośliny mają większą odporność na suszę. Są wyniki badań, które pokazują dokładnie, o ile następuje wzrost poszczególnych gatunków roślin w różnych strefach – i ten wzrost jest niesamowity. To nie są jakieś tam procenty, to są niemal wielokrotności wzrostu. W praktyce dowodem na to, że dwutlenek węgla jest bardzo korzystny, jest to, że do szklarni wpuszczamy trzykrotnie większe stężenie CO₂, żeby się rośliny rozwijały. Natomiast obserwacje z Kosmosu wskazują na wzrost zazielenienia Ziemi. To jest proces, który dostrzegamy codziennie. Mamy stan katastrofy klimatycznej, przynajmniej w mediach. A proszę spojrzeć przez okno – wszystko jest piękne, wszystko jest bardzo zielone. Te susze, którymi nas straszą, to są susze występujące na polach i w lasach, ale to jest susza części wierzchniej gleby zasilanej wodą z opadów atmosferycznych. Ona zawsze będzie występowała, kiedy wystąpią wyższa temperatura, wiatr, nasłonecznienie czy też dłuższy okres bez opadów. Bez względu na to, czy mamy zmianę klimatu czy nie. Ten proces jest normalny i rolnicy to wiedzą. Teraz będzie dodatkowy alarm, bo nastąpi obniżenie poziomu wody w rzekach. Jak zwykle w Polsce na koniec sierpnia i we wrześniu będą występowały w rzekach niżówki – najniższe stany. Będzie powód do krzyku, że zmiany klimatu powodują obniżenie poziomu wód. W tym momencie wystarczy spojrzeć w dziełki hydrologiczne i zobaczyć, że co roku tak w Polsce się zdarza, odkąd to zapisywano w notowaniach hydrologicznych i meteorologicznych, a także w źródłach historycznych.

Czyli można powiedzieć, że ci wszyscy ekolodzy i alarmiści klimatyczni chcą, żeby było na Ziemi mniej zieleni, mniej roślin?

Nie wiem, czego oni chcą, bo trudno się domyślić. Ostatnio pojawił się artykuł dotyczący zazielenienia i wskazywano, że zielenienie jest niezwykle szkodliwe dla Ziemi. W rzeczywistości proces zazielenienia nabiera tempa. Jeżeli się do tego doda odpowiednią agrotechnikę, to można już mówić o sukcesie.



**PIOTR
KOWALCZAK**
**„ZMIANY
KLIMATU”**
35 MEDIA

Dlaczego w takim razie większość naukowców twierdzi, że to człowiek doprowadził do zmian klimatu?

Nauka jest sterowana za pomocą pieniędzy. Jeżeli pan chce mieć pieniądze jako dyrektor instytutu czy jako pojedynczy naukowiec, to musi pan występować o granty. Ocena wniosku grantowego wydawana jest na podstawie dorobku naukowego i publikacji punktowanych. Jeżeli pan będzie pisał wyłącznie o tym, że nam się na Ziemi robi bardzo ciepło, i wskaże pan wszystko w myśl IPCC, to na pewno wydrukuje pan artykuł, na pewno pan dostanie odpowiednią liczbę punktów. Proszę napisać coś niezgodnego z tą linią, nawet opierając się na własnych badaniach czy próbując udowodniać na podstawie innych badań, że idziemy w złym kierunku. Wówczas pan odpada z tej gry. Nie mając punktów, nie ma pan dotacji. Nie mając punktów, wypada się z tego całego obiegu zasilającego pieniędzmi naukę. Jest też problem moralny. Jeżeli jest pan dyrektorem instytutu i ma pan zespół, który próbuje coś nowego robić, to co wtedy tym ludziom powiedzieć? „Nie róbcie tego, bo nie będziecie mieli pieniędzy”? A przecież młody człowiek, który startuje w nauce, szuka rzeczy ambitnych, szuka rzeczy, które dadzą mu przyjemność uprawiania nauki. Chyba że chodzi tylko do „roboty”. To trochę mało jak dla naukowca. I w ten sposób tracimy ludzi. Profesor Judith Curry z USA stwierdziła, że straciliśmy już całe pokolenie klimatologów, dlatego że ludzie poszli na łatwiznę. To jest bardzo ważne nazwisko. Najpierw pracowała dla IPCC, a potem w sposób demonstracyjny porzuciła współpracę z IPCC i zajęła się, że tak powiem, normalną pracą naukową.

Czy zmiany klimatu oznaczają zwiększenie ekstremalnych zjawisk pogodowych, jak nam się cały czas opowiada w mediach?

Absolutnie nie. Nie ma wzrostu częstości i natężenia występowania zjawisk ekstremalnych. Wyniki badań – zresztą cytuję to w książce, pokazują na wykresach – nie potwierdzają tejszej teorii i z tym się zgadza większość znanych mi naukowców. Natomiast głośno się panikę, wykorzystuje się to w mediach. Bo w dziedzinie

informacji dotyczącej klimatu panuje tam wyłącznie prymitywna propaganda. Niech pan spojrzy, jak wyglądają „Dziennik”, „Wiadomości”, „Fakty” etc. Zaczyna się od tego, że pokazują, iż ktoś zginął, potem pokazują pożary. W czasie pokazywania pożarów polski lektor usiłuje przekrzyczeć informację, że prezentowany przypadek może też być wynikiem podpałen.

I potem następuje narzekanie na wzrost zmian klimatycznych. Pokazuje się jakieś zabrudzone rzeki w Azji, które wcale się nie zabrudziły z powodu zmian klimatycznych, tylko dlatego, że tam są zwykłe zanieczyszczenia i brud. I w taki sposób trafia się do normalnego człowieka. Jak widzi zagłodzonego dziecka czy taki uliczny bałagan w Afryce, to do niego przemawia, że to musi być rzeczywiste spowodowane jakimiś zmianami. Ale to nie są zmiany klimatu. To wymaga zmian społecznych i gospodarczych.

Jest taki portal – Nauka o klimacie (dla sceptycznych). Chce być postrzegany jako bardzo naukowy i niezależny. Ten portal jest prowadzony przez Fundację Edukacji Klimatycznej. Dotarłem do danych, z których wynika, że ta Fundacja Edukacji Klimatycznej jest finansowana w dużej mierze z grantów European Climate Foundation. Z kolei ta fundacja finansowana jest przez jeszcze inne fundacje, które szerzą histerię klimatyczną i powiązane są z koncernami międzynarodowymi, od których biorą pieniądze. Co pan o tym sądzi?

Można sterować badaniami, mając środki. Jeżeli ktoś jest bardzo mocno nastawiony w kierunku popierania czegośkolwiek, to należy spytać o źródło żarliwości. Skąd się w tym człowieku to bierze? Tu pan sobie sam odpowiedział. Odpowiednie grupy ludzi są finansowane środkami, które pozwalają im nieźle żyć. Natomiast to chyba daleko odbiega od nauki.

Z raportu Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego „The cost of climate change on households and families in the EU” wynika, że globalne ocieplenie będzie korzystne dla Polski, co by oznaczało, że zwalczając je, dodatkowo sobie szkodzić.

Gdyby zatrzymać ten sposób myślenia – na tym się kończy moja książka – że nie przyjmujemy do wiadomości, iż te

zmiany, które się odbywają, wynikają z działalności człowieka albo wpływ działalności człowieka jest tak niewielki, że nie bierze udziału w tym rachunku, to w tym momencie kończymy wszystko; kończymy to rozpatrywanie tych działań przeciw, dostosowanie się do zmian klimatu itd., bo to nie ma żadnego sensu. Uważam, że powinniśmy się na bieżąco dostosowywać do tego, jak wygląda klimat. Klimat się zmienia, są cykle 20-, 30-, 40-letnie, w których występują bardzo specyficzne warunki. W rolnictwie na dłużej nie da się do niczego dostosować, a w budownictwie buduje się praktycznie na 40 lat i to wszystko jest robione zgodnie z obowiązującą normą. Nie traćmy wody, którą mamy w miastach, nie traćmy zieleni, nie traćmy tego, co dotychczas decydowało o tym, że żyliśmy w przyjemnych warunkach.

Można powiedzieć, że walka ze zmianami klimatu to wielki biznes, bo zarabiają na tym koncerny międzynarodowe i to jest korzystne zarówno dla polityków, jak i dla mediów, a także dla naukowców i dla fundacji, które dostają granty. Ciężko będzie się z tego wycofać, skoro wszyscy na tym zyskują. A kto na tym traci?

Traci pan, bo wprowadza się zmiany, które powodują wzrost kosztu energii elektrycznej, bo musimy się opierać tylko na energii ze źródeł odnawialnych. Będą ograniczenia dotyczące użycia innych paliw, które są obciążone dodatkowymi podatkami. Przecież taka przebudowa w skali gospodarstwa domowego to konieczność niezwykle kosztownej zmiany źródła ciepła w domu. Będzie dodatkowy podatek od samochodów, budynków, paliw itd. – według pomysłów urzędników. A potem to się rozłoży po innych częściach naszej działalności czy aktywności życiowej i wtedy okaże się, że my za to wszystko płacimy. Te pieniądze, które są wykładane na to, nie biorą się znikąd. To wszystko są pieniądze podatnika. Dla znacznej części społeczeństwa nastąpi epoka dotąd nieznaną – epoka ubóstwa energetycznego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



DR HAB. INŻ. PIOTR KOWALCZAK
– emerytowany profesor Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, autor książki „Zmiany klimatu. Polityka. Ideologia. Nauka. Fakty”.



Czas warchołów

Powiedzenie, że historia lubi się powtarzać za pierwszym razem jako tragedia, a za drugim jako farsa, często się sprawdza, szczególnie w polityce. Ale to, co w minionym tygodniu zafundował Polakom Donald Tusk, usiłując wypłacać się z własnych kłamstewek o rzekomo „pomyłkowo” złożonej kontrasygnacie, to farsa i tragedia jednocześnie. Coś, co na świecie się nie zdarza – u nas ma jednak długą tradycję.

W warstwie farsowej szamotani-na premiera przypomina klasyczną, slapstickową komedię, taką, w której facet wdeptuje w wiadro, żeby uwolnić nogę, zapiera się o szafę, ta przewracając się, łamie słup podpierający dach, komik, wciąż z nogą w wiadrze, szukając rozpaczliwie czegoś, by pośpiesznie ten dach podeprzeć, zrywa biegnącą wzdłuż ściany rurę, a z tej zaczyna się lać ukrop... i tak dalej. A my patrzymy z niedowierzaniem, jak daleko zajdzie demolka. W chwili, gdy piszę te słowa,



Rafał A. Ziemkiewicz

Polska w błyskawicznym tempie wtrącana jest w bałagan i anarchię, w których nie była od czasów króla Sasa

seria zdarzeń, które pociągnęła za sobą kontrasygnata premiera pod nominacją prezydenta, trwa w najlepsze.

Tylko że – w przeciwieństwie do slapsticku – to nasz dom jest demolowany i to czyni sprawę mniej śmieszną.

NACISKI PRAWNICZYCH ROKOSZAN

Najbardziej groteskowe jest, że ten podpis Donalda Tuska, potwierdzający wyznaczenie sędziego – przewodniczącego posiedzenia, które miało wybrać kandydatów do kierowania jedną z izb Sądu Najwyższego – nie miał żadnego praktycznego znaczenia

(prawie nikt nie odnotował, kiedy się ono odbyło ani kogo wybrało). Zdaniem wielu prawników w ogóle zresztą pod decyzją prezydenta nie był potrzebny.

Jednak grupa liderów prawniczego rokосу, o którym pisaliśmy na naszych łamach wielokrotnie, domagająca się od Tuska literalnego przywrócenia sytuacji sprzed roku 2015, uznała podpis za symboliczne zaakceptowanie przez ich premiera „neosędziów”, a więc za policzek dla siebie. Zaatakowała swego wodza ze wściekłością dotąd rezerwowaną tylko dla „pisowców” (bo poniekąd stał się on właśnie dla nich „pisowcem”).



FOT. RAJDEK PIETRUSIA/PAP

oblano by studenta – i WSA natychmiast ich wnioski oddalił, a właściwie tylko zwrócił uwagę, że nie może być jego adresem, premier wykorzystał tych dwóch, by ogłosić, że swój podpis – już opublikowany w „Monitorze Polskim” – wycofuje. A minister Adam Bodnar zaczął usłużnie wywodzić, że organ administracyjny, którym jest premier, może tak zrobić, to znaczy cofnąć swoją decyzję „w żadnym trybie”, skoro została ona zaskarżona (choć ta akurat właśnie skutecznie zaskarżona nie została). Bodnar w tej samej wypowiedzi zapewnił, że taka możliwość „istnieje zawsze” oraz że jest to „sytuacja jednorazowa” i się nie powtórzy. Na czym opiera swe przekonanie, że z raz otwartej – zakładając, że właśnie została dla Tuska otwarta – furtki w prawie miałyby nikt inny nigdy nie korzystać, Bodnar nie próbował wyjaśnić.

Tutaj już kwestia nieszczęsnej komisji SN w ogóle przestała być istotna, podważana została jedna z fundamentalnych zasad prawa: nie można „cofnąć” raz złożonego podpisu, zwłaszcza gdy podpisany akt został opublikowany i stał się prawem. Gdyby było można, całe państwo stałoby się dzunglą – począwszy od prezydenta, który mógłby cofnąć podpis np. pod nominacjami ministrów, przez PKW, cofając podpisy pod ważnością wyborów, a skończywszy na prostym obywatelu, wycofującym się z zawartych zobowiązań matrymonialnych albo finansowych, każdy miałby tylko takie prawa, ile ich w danym momencie byłby w stanie własną pięścią wydrzeć albo obronić, i tylko takie zobowiązania, do których za się go zmusić.

W zacierzewnieniu „uśmiechniętych” środowisk, w których – wbrew logice – po wyborczym zwycięstwie frustracja i histeria nienawiści do poprzedniej władzy rosną jeszcze bardziej niż w czasie kampanii, nikt na te konsekwencje „wycofania podpisu” premiera z „Monitora Polskiego” nie zwrócił uwagi. Gwoli prawdy trzeba jednak przyznać, że i przeciwników horrendalne zapowiedzi premiera nie sprowokowały do żadnych działań, poza przewidywalnymi do bólu rytualnymi wyrazami potępienia.

REWOLUCJE SĄ NIEODWRACALNE

Zresztą „wycofanie podpisu” nie było wcale najbardziej bulwersującym z zachowań Tuska, mających zatrzeć „po-

myłkowe” podpisanie „neosejdziego”. Gdy premier ogłosił, że minister Bodnar będzie „spowiadać się” przed środowiskami Iustitii i Wolnych Sądów, aby przekonać je, że „nadal jesteśmy za przywracaniem praworządności, bez żadnych kompromisów”, wyglądało na to, że minister będzie zwyczajnie rzucony na pożarcie. Albo jednak minister zdołał jakoś zmusić premiera, by „spowiadał się” wspólnie z nim, albo ten drugi sam z jakiegoś powodu uznał, że bez Bodnara nie da sobie rady. Skoro w ten sposób pozbawił się „zderzaka”, to musiał Tusk znaleźć inny sposób udobruchania rozjuszonych warcholów w togach: obiecał im jeszcze więcej, niż żądają.

A żądają, przypomnijmy, rzeczy niemożliwych. Nigdy jeszcze, nigdzie – to trzeba powtarzać z całą mocą – nie zdarzyło się, aby przy restytuowaniu przedrewolucyjnych porządków nie przyjmowano do wiadomości, że rewolucja była i spowodowała zmiany nieodwracalne. Ludwik XVIII nie próbował odbierać nadań Napoleona i dyktatoriatu, wymazywać wstecz stopni wojskowych czy rang urzędniczych, domagać się zwrotu pobieranych „nienależnie”, bo według „jakobińskiego” prawa pensji. Wolna Polska szanowała po 1918 r. orzeczenia sądów zaborczych i ustanowione przez zaborców przepisy skarbowe czy administracyjne – nie oddała np. majątków skonfiskowanych za niepodległościową działalność ani nie domagała się „czynnego żalu” od tych, którzy od zaborców przyjęli dyplomy albo nadania. Porównując na użytek oszalałej Iustitii obiecywane rozliczenia z PiS z denazyfikacją Niemiec po Norymberdze, co samo w sobie jest przecież horrendalnym nonsensem (ale nikogo nie dziwi, bo wszyscy do takich bombastycznych bredni przywykli), Tusk znowu się minął z prawdą, bo stwierdził, że to, co obiecuje, będzie jednak od rozliczeń z Hitlerem mniejsze. Nic podobnego! Po roku 1945 wszystkie wyroki sądów III Rzeszy w sprawach cywilnych, administracyjnych i kryminalnych (w tym skazania za homoseksualizm) obowiązywały nadal, nadal orzekali ci sami sędziowie i nikt nie kwestionował statusu urzędników powołanych przez NSDAP.

Tymczasem Tusk obiecuje, że wszyscy sędziowie mianowani po roku 2015 r. zostaną uznani za niesędziów od samego początku. A ponieważ stanowią oni

Tusk się przestraszył albo też uznał, że poparcie tej grupy jest mu niezbędne, i po kilkunastu godzinach zapewnił, że podpis złożył „pomyłkowo”, oszukany przez swojego podwładnego, który jakoby nie zrozumiał „polityczności sprawy” i podłożył premierowi coś, czego podkładać nie powinien. Jednocześnie jednak premier ogłosił, że odstępuje od ukarania wskazanego jako winnego ministra Macieja Berka. Oficjalnie dlatego, że jest on świetnym fachowcem (Jakże? Fachowiec podkłada premierowi do podpisu lewe papiery?), można się jednak domyślić, że osoby tak ważnej dla bieżącej pracy rządu (Maciej Berek jest przewodniczącym Komitetu Stałego Rady Ministrów) nie mógł premier potraktować z tą bezceremonialnością, co wiceministra Sługockiego czy córkę Róży Thun, nie ryzykując buntu na pokładzie.

Tutaj ruch wykonało dwóch „uśmiechniętych” sędziów z Sądu Najwyższego, którzy rzekomo pomyłkowo podpis (w tzw. międzyczasie okazało się, że nie ma mowy o pomyłce, zresztą nie była to pierwsza taka kontrasygnata, Tusk znowu kłamał) zaskarżyli do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Jakkolwiek w tym zaskarżeniu pomylili tzw. właściwość – kardynalny błąd formalny, za który

Ok. jednej trzeciej ogółu stanu sędziowskiego, trudno znaleźć jakąkolwiek sprawę z ostatnich ośmiu lat, w której nie przewinęłby się „neosędzia”. Spełnienie oczekiwań „wolnych sądów” oznaczałoby nie mniejszą anarchię i dżunglę niż wprowadzenie możliwości „wycofania podpisu” po czasie.

„DEMOKRACJA WALCZĄCA”

Jeszcze bardziej dał Tusk do pieca na spotkaniu w Senacie RP, choć tam miał nieco inny cel. Zebranie to, z udziałem czołowych profesorskich autorytetów prawniczych znanych z TVN24, podzielono na dwie części: otwartą i zamkniętą. W jawnej Tusk zapowiedział owym autorytetom, że ponieważ reprezentuje „demokrację walczącą” (pojęcie z lat 30., czyli kolejne zrównanie przez Tuska ośmioletnich rządów PiS z rządami NSDAP w III Rzeszy) i oczekuje się po nim podejmowania decyzji, to on będzie podejmował decyzje niezgodne z prawem, „ryzykując”, że się one zebranym tu „purytom” nie spodobają. Bo i rzeczywiście, co „puryści” robią, choćby Tusk nie wiem, jak łamał konstytucję i prawa człowieka? Narazą się na ogłoszenie ich „pisowcami”?

Ponieważ ewentualne odpowiedzi prawniczych autorytetów miały miejsce w części niejawnej, Tusk zapewnił sobie tym sposobem ich milczącą akceptację dla bezprawia „demokracji walczącej” – bo wątpliwe, by któryś miał tyle charakteru, aby publicznie zaprotestować, raczej ostrożnie przez jakiś czas przestaną się wypowiadać w ogóle (co też jest pewnym zyskiem dla debaty publicznej).

W programie Marcina Fijołka w Polsce toczył się kuriozalny dialog. Bodnar: – Nikt nie mówił, że będzie się zmuszać sędziów do czynnego żalu. Fijołek: – Pan to mówił. Bodnar: – To było tylko takie porównanie.

Jak widać, były RPO szybko uczy się od szefa, bo przecież zapowiedź zmuszania „pisowskich sędziów” do „czynnego żalu”, kojarzącą się ze stalinowskim „składaniem samokrytyki” czy publicznym upokarzaniem „wrogów ludu” podczas chińskiej „rewolucji kulturalnej”, słyszeli wszyscy. Spełniła już ona swoje zadanie, „konfesyjne” spotkanie się skończyło, a horrendalna pogróżka została generalnie źle odebrana przez ogół sędziów, więc

– wcale nie mówiłem tego, co mówiłem, taka metafora, nie ma tematu.

I to jest przyczyna, dla której otwarte zapowiedzi obalenia w Polsce ustroju demokratycznego i odrzucenia konstytucji, po której powinny rozdzwonić się wszystkie alarmowe dzwony, kończy medialny żywot po kilku dniach, jak każda inna „wrzutka”. Gdyby potraktować słowa Tuska poważnie, prezydent powinien ogłosić stan wyjątkowy, zdelegalizować PO i ukarać Tuska za próbę zamachu stanu.

Jednak trudno go traktować poważnie, bo buńczuczne zapowiedzi nie mają w sobie żadnego konkretnego. Tusk nie jest Hitlerem ani Leninem, choć o „konieczności” łamania prawa „w okresie przejściowym” mówi słowo w słowo jak oni. Jest ślizgaczem, lawirantem, który obsługuje takimi grepsami emocje swoich zwolenników i stara się stworzyć pozory

„Rozliczeniowy” szał lustracji czy innych jacejek anty-PiS to nic innego niż najczystsze warcholstwo

swejej sprawczości. Lenin czy Hitler mieli konkretne plany – zbrodnicze, ale spójne i logiczne. „Konieczność odejścia od burżuazyjnych (żydowskich) kodeksów” wynikała z „konieczności” budowy nowego ładu. Tusk nawet nie próbuje udawać, że łamanie prawa ma służyć czemuś więcej niż wsadzenie kogoś dla zemsty do aresztu tymczasowego albo wyrzucenie kogoś z pracy i zastąpienie nominatem swojej sitwy. Nie zapowiada żadnych reform, żadnej ustrojowej budowy, która by usprawiedliwiała „odrzućcie prawnicze formalizmu” (określenie prof. Safjana).

Zresztą gdyby miał zamiar coś konkretnego zrobić, nie czekałby z tym dziewięć miesięcy! Każdy wie, że radykalne zmiany trzeba wprowadzać natychmiast po zdobyciu władzy, kiedy przeciwnik jest w rozsypce, a zwycięskie wojska nie ostygły jeszcze z entuzjazmu. Tymczasem Tusk przez pierwsze miesiące chował się za plecami swych ministrów, prowadził drobne gierki z koalicjantami i uważał, żeby nie zostawić podpisu pod

żadnym „deliktem”. A teraz nagle zrywa się z rykiem do szarży przeciwko wszystkim zasadom obowiązującym w cywilizowanym państwie? Dlaczego?

Na pokaz. Żądacie, żeby wasz wódz był groźny? Myśleliście, że nie jestem, bo podpisałem Dudzie kontrasygnatę? Nie, nie, jestem groźny, uaaaaa, jestem groźny, patrzcie i popierajcie mnie nadal!

Farsa – ale jej skutki są jednak dramatyczne. Polska w błyskawicznym tempie wtrącana jest w bałagan i anarchię, w których nie była od czasów króla Sasa. Sejm zamiast ustaw podejmuje uchwały, ministrowie zamiast rozporządzeń wydają swym podwładnym „zalecenia” i „wskazania”. Prawo nie zostało unieważnione, ale nie jest stosowane. Marszałek Hołownia, który też się od Tuska uczy, choć może wolniej niż Bodnar, zapowiedział, że Sejm nie wybierze sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Że ma taki obowiązek i termin? „Nie mamy pańskiego płaszcza. I co nam pan zrobi?”.

Im dłużej to trwa, tym bardziej potrzebne w dyskursie publicznym staje się staropolskie słowo „warchoł”. Inne kraje miały w swej historii Cromwellów, Robespierre’ów i Leninów, często zbrodniarzy, ale na serio. My mieliśmy rokosze – Żebrzydowskiego czy Lubomirskiego – i mieliśmy Zborowskich, Stadnickich oraz Łaszców. Ludzi, którzy robili zamęt – właśnie „robili warchoł”, jak to ujmowano – bo im ktoś nadepnął na odcisk, bo chcieli zabrać komuś jego włości albo żonę, bo się czuli niedowartościowani, albo po prostu: bo tak. Bez liczenia się z jakimikolwiek konsekwencjami, bo szlachcicowi co kto zrobi, ale i bez zachowania konsekwencji samemu. Warchoł zajędzie, podpali, zerwie Sejm, rozwali, i to mu wystarczy. Nie opanuje terenu, nie buduje reżimu (choć często otwiera do tego drogę najeźdźcy), tylko idzie narozrabiać gdzie indziej.

Te zachowania właśnie odtwarzają się w III RP. „Rozliczeniowy” szał lustracji czy innych jacejek anty-PiS to nic innego niż najczystsze warcholstwo i reakcja Tuska na grozę zachwiania jego prestiżu w oczach rokoszan w togach to też nic innego jak najczystsze warcholstwo. A czym jest warcholstwo? Tragedią i farsą? Losy Rzeczypospolitej pokazały, że obydwoma w jednym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wrześniowe produkty Republiki!



KOSZULKA "HITY W SIECI"



KOSZULKA REPUBLIKA
GRANATOWA



KUBEK REPUBLIKI
GRANATOWY mat - 400ml

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl
lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4



Towarzyszka Nowacka



Krystian Kratiuk

Lewica się zaklina, że chce wyzwolić szkołę od polityki i ideologii. Tymczasem pod rządami Barbary Nowackiej polska szkoła przechodzi największą ideologiczną rewolucję w ostatnich dziesięcioleciach – antychrześcijańską

Na początku roku sam pisałem na tych łamach, że gabinet Donalda Tuska będzie najbardziej antykościelnym rządem III RP. Skala buty i arogancji polityków względem katolików i przedstawicieli Kościoła okazała się jednak zaskakująca. Nawet

postkomuniści z rządów SLD nigdy nie ośmielili się przecież nazwać postulatów biskupów „wyciem o kasę”, a taki rynsztokowy język zaprezentowała minister (ministra? ministerka? ministerczyni?) edukacji narodowej. Trudno jednak dziwić się tego typu sformułowaniom, jeśli padają z ust osoby z przeszłością w obłęsnym Ruchu Palikota. Bo to właśnie postulaty tamtej partii Barbara Nowacka zainstalowała w polskich placówkach oświatowych wraz z początkiem nowego roku szkolnego.

WALKA Z KATECHEZĄ

Nie bez powodu zgodnie z nowymi propozycjami ministerstwa z programu nauczania o starożytności ma zniknąć obowiązek omawiania „kulturotwórczej nowości” chrześcijaństwa, co jest kluczowe dla zrozumienia roli tej religii w historii. W kontekście nauki o wcze-

snym średniowieczu uczniowie nie będą już musieli zapoznawać się z pojęciem Christianitas, a temat reformy gregoriańskiej, istotnej dla historii globalnej, będzie wymagany jedynie w ramach kursu rozszerzonego. W liceach zabraknie także informacji o współpracy pierwszych władców Polski z Kościołem na rzecz umocnienia suwerenności kraju, a nawet w kursie rozszerzonym nie znajdzie się miejsca na omówienie konfliktu króla Bolesława Śmiałego ze św. Stanisławem.

Najbardziej jaskrawym przykładem na antykatolicką obsesję rządu pozostaje oczywiście walka ze szkolną katechizacją. Od nowego roku w życie wejść miało rozporządzenie Nowackiej, zgodnie z którym lekcje religii zostaną ograniczone o połowę. Zabezpieczenie wykonania tegoż rozporządzenia – a więc zablokowanie jego wejścia w życie – zarządził tuż przed końcem wakacji Trybunał



świadomości, że misję katechety oraz związane z nią długie studia teologiczne wybiera się z nieco innych, szerszych pobudek niż zawód nauczyciela jako taki. Albo przeciwnie – Nowacka ma tego świadomość, ale po prostu gardzi katolikami od lat wykonującymi powierzone im obowiązki pedagogiczne.

Przy tej okazji minister również nie omieszkała uderzyć w biskupów: „Kościół decyduje, kto uczy religii, katecheci oraz księża, którzy mają inną pracę. Może by Kościół wykazał więcej empatii do osób, które dla nich pracują, i zatroszczył się o nie. W przeciwieństwie do Kościoła my się o nich zatroszczymy”. Brzmi dość złowrogo. Czego w szkole pod rządami Nowackiej mieliby uczyć katecheci? Języka niemieckiego czy edukacji seksualnej?

SEKS TO ZDROWIE!

Bo właśnie lekcji edukacji seksualnej w polskiej szkole nie zabraknie! Tak, dobrze państwo czytają, mimo że gdy wasze dzieci wróciły ze szkół, nie przyniosły wam przecież takiej wiadomości. Jak to więc możliwe?

Otóż w szkołach od kolejnego roku szkolnego (2025/2026) pojawi się nowy przedmiot o niegroźnej z pozoru nazwie – edukacja zdrowotna. A któż nie chciałby, aby jego dzieci wiedziały, jak zdrowo żyć, nieprawdaż? Jednak pod płaszczykiem troski o zdrowie kryje się program indoktrynacji seksualnej. Jeszcze wiosną potwierdzała to sama Nowacka, mówiąc, że na lekcjach przedmiotu, który zastąpi nieobowiązkowe do tej pory wychowanie do życia w rodzinie, nauczać się będzie „o zdrowiu psychicznym i fizycznym, odżywianiu, profilaktyce, uzależnieniach, a także edukacji seksualnej”.

Trwa dopiero planowanie programu edukacji zdrowotnej, nie sposób więc powiedzieć jeszcze nic o przebiegu tych lekcji. Warto jednak zauważyć, że pod koniec poprzedniego roku szkolnego na wiadomość o nowym przedmiocie entuzjastycznie zareagowali członkowie Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, rekomendując konkretne cele nowego przedmiotu.

Jakie to cele? Między innymi „wyposażenie dzieci i młodzieży w wiedzę, umiejętności i kompetencje społeczne istotne dla prawidłowego rozwoju psychoseksualnego, zaakceptowania własnej

seksualności i czerpania z niej satysfakcji zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym, indywidualnie i w związkach”, „wyposażenie dzieci i młodzieży w wiedzę, umiejętności i kompetencje społeczne mające znaczenie dla utrzymania i ochrony zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego”, „wyposażenie dzieci i młodzieży w wiedzę, umiejętności i kompetencje społeczne potrzebne dla zrozumienia i zaakceptowania ludzkiej różnorodności w odniesieniu do płci, tożsamości płciowej i seksualnej (orientacji psychoseksualnej), wieku, stanu zdrowia, sprawności, neuroróżnorodności, statusu społecznego, przynależności etnicznej i kulturowej oraz wyznania”.

Według zaleceń tego samego środowiska edukacja seksualna „powinna uwzględniać wszelką różnorodność osób uczestniczących, w szczególności ich płć, tożsamość płciową i tożsamość seksualną (orientację psychoseksualną), stan zdrowia, sprawność, pochodzenie etniczne i kulturowe, wyznanie, światopogląd”.

Może przesadzam? Może o seksie i rozlicznych płciach rozmawiać się będzie mniej niż o zdrowiu, szczepionkach, grypie i ospie? W końcu to przedmiot o nazwie edukacja zdrowotna! Być może uwierzyłbym w taki rozwój wydarzeń, gdyby nie to, że koordynatorem zespołu ekspertów do prac nad przygotowaniem projektu podstawy programowej nowego przedmiotu został prof. Zbigniew Izdebski, seksuolog. Jeśli sądzą państwo, że tym tytułem przedstawia się lekarz, to wyprowadzam z błędu – Izdebski jest profesorem nauk humanistycznych z zakresu pedagogiki. Jest także stałym współpracownikiem aborcyjnego giganta – Planned Parenthood – oraz WHO. Już 20 lat temu badał polską młodzież szkolną ankietami zawierającymi pytania typu: „jak bardzo prawdopodobne jest, że zdecydowałbyś/zdecydowałabyś się na stosunek seksualny z dzieckiem, gdybyś był/była pewien/pewna, że nikt się nie dowie i nie będziesz za to ukarany/ukarana? Jaki rodzaj wynagrodzenia otrzymałeś/otrzymałaś za świadczenie usług seksualnych? Przypomnij sobie Twój pierwszy stosunek seksualny? Czy Twoje pierwsze kontakty seksualne były udane czy nie? Pomyśl o tym, jak się czułeś/czułaś, czy było Ci dobrze, czy

Konstytucyjny, chcąc zbadać sprawę. Szefowa resortu edukacji stwierdziła jednak, że „Julia Przyłębska nie jest źródłem prawa. Episkopat idzie do Manowskiej [pierwszy prezes Sądu Najwyższego – przyp. red.], by ta poszła do Przyłębskiej i Pawłowicz – nie, eldorado się skończyło”. Zwróćmy uwagę nawet nie tyle na butny ton tej wypowiedzi, ile na jej wydźwięk – ze słów Nowackiej wynika, jakoby katolicy pod rządami Tuska i jego ekipy nie mieli prawa zgłaszać zastrzeżeń do Sądu Najwyższego. To przecież wyraźna systemowa dyskryminacja grupy wyznaniowej, w dodatku... największej.

Nowacka za nic miała też protesty świeckich katechetów – wielu z nich z pewnością straci pracę wskutek obcięcia liczby lekcji o połowę. Nowacka stwierdziła łaskawie, że „pomocze im się przekwalifikować”. Zapewne nie ma

„czułeś/czułaś podniecenie?”. Problem ten podnosił wówczas Jan Pospieszalski w programie „Warto rozmawiać”. Dziś Izdebski wraca w glorii i chwale, jako człowiek do zadania specjalnego od minister Nowackiej.

Czy w tej sprawie odbyły się konsultacje z licznymi organizacjami rodziców, od miesięcy podnoszącymi larum w tej sprawie? Czy wysłuchano rodziców katolików albo po prostu rodziców, które nie chcą, by dzieci uczyły się w szkole o dobrodziejstwach masturbacji, najrozmaitszych „tożsamościach płciowych” czy doświadczają propagandy homoseksualizmu? To oczywiście pytania retoryczne, mimo że pikiet, manifestacji i internetowych protestów w tej sprawie jest naprawdę sporo.

„PIĄTA WŁADZA” W EDUKACJI

Są to jednak odruchy obywateli traktowanych przez obecny rząd jako „społeczeństwo obywatelskie drugiej kategorii”. Bo przecież samo społeczeństwo obywatelskie i jego rozwój są dla centrolewicowego rządu niezwykle ważne. Tak ważne, że od 1 września 2025 r. do szkół wejdzie jeszcze jeden nowy przedmiot – edukacja obywatelska. Zastąpić ma historię i teraźniejszość. „To jest moment, kiedy młodzi ludzie mają już pewną wiedzę, narzędzia i zaczynają się interesować otoczeniem społeczno-politycznym. Chcemy, żeby ten przedmiot był jak najbardziej praktyczny, żeby zawierał elementy, które pozwolą uczniom zobaczyć, jak funkcjonuje samorząd, żeby zawierał elementy debaty oksfordzkiej, elementy kontaktu z ludźmi o innych poglądach” – powiedziała o swych zamiarach minister edukacji. Dodała, że potrzebne są „umiejętności debaty, konfrontowania się z osobami o innych poglądach i prowadzenia sporów”.

Czy wyobrażają sobie państwo, że takie lekcje mają wychować np. ludzi protestujących przeciwko zbereźnej edukacji seksualnej w szkołach? Albo tworzących organizacje sprzeciwiające się propagandzie LGBT, z którymi jej zwolennicy będą dyskutować, co stanie się „elementem kontaktu z ludźmi o innych poglądach”? Cóż, raczej nie – otóż koordynatorem zespołu ekspertów do opracowania podstawy programowej tego przedmiotu został

dr Jędrzej Witkowski, prezes zarządu fundacji Centrum Edukacji Obywatelskiej. CEO podejmuje liczne projekty, wśród których są takie zagadnienia jak... edukacja włączająca, wielokulturowa i antydyskryminacyjna, szkoła ekologiczna, szkoła globalna, równość płci, migracje. Brzmi zupełnie „neutralnie światopoglądowo”, nieprawdaż?

Dużo bardziej prawdopodobne wydaje się, że polska młodzież zostanie dzięki temu przedmiotowi wystawiona jako łatwy łup dla wszelkiego rodzaju NGO – niekoniecznie polskich – walczących z polskością, z tożsamością narodową i z religią katolicką. Nie od dziś wiadomo przecież, że za siecią organizacji pozarządowych stoją możni sponsorzy mający określone cele i realizujący je zgodnie z obowiązującą w ich głowach wizją świata. Grzegorz Górny sugerował niedawno, że „warto do naszej refleksji o funkcjonowaniu współczesnych spo-

**już dawno nie trzeba było
obawiać się polskiej
szkoły tak bardzo jak teraz**

łeczeństw wprowadzić pojęcie »piątej władzy«, niewybieralnej przez obywateli, niepodlegającej kontroli społecznej, a jednak wywierającej coraz większy wpływ na nasze życie”. Trudno się pod tymi słowami nie podpisać. Minister Nowackiej to zdaje się jednak nie przeszkadzać.

Ale czego oczekiwać po członku rządu, którego Kancelaria Prezesa Rady Ministrów składa z okazji roku szkolnego najserdeczniejsze życzenia... „osobom uczniowskim”?

„DOBROSTAN”

W filmie dokumentalnym „Zaorać szkołę”, opublikowanym niedawno na kanale youtube’owym PCh24.pl, Łukasz Korzeniowski zwrócił uwagę na jeszcze jeden niezwykle ciekawy wątek. Otóż w dokumentach Ministerstwa Edukacji Narodowej oraz w wypowiedziach jego urzędników coraz częściej pada słowo „dobrostan”. Słowo, które przez lata używane było jako kategoria dotycząca... hodowli zwierząt. „Dobrostan nie

przewiduje bowiem jednego elementu – duchowości. Tego, co człowiekowi przekazał Pan Bóg. Człowiek bowiem różni się od innych istot tym, że posługuje się rozumem, że potrafi logicznie wyciągać wnioski” – mówi w owym dokumencie Barbara Nowak, odwołana przez Nowacką z funkcji małopolskiego kuratora oświaty.

Elementem tej troski o „dobrostan dzieci” ma być również, według minister Nowackiej, możliwość adopcji dzieci w związkach partnerskich. „To zabezpieczenie interesu i uregulowanie praw dzieci w takich związkach” – powiedziała Nowacka. Podkreśliła, że dbając o dobrostan dzieci, należy jak najszybciej wprowadzić... związki partnerskie.

Cieężko jednak uznać używania sformułowania „dobrostan dzieci” za przypadek. Czyż bowiem w tym całym projekcie nowego człowieka, którym chwilowo dowodzi Nowacka, nie chodzi właśnie o to, by dzieci były wychowywane na wzór zwierząt hodowlanych? Aby robiły w przyszłości dokładnie to, co zaleci im szkolna hodowla? Czyż nie mają chodźć udeptanymi ścieżkami wyznaczonymi przez hodowców? Przedstawiciele jednej, drugiej czy wspomnianej wcześniej piątej władzy?

Czyż nie ku temu zmierza szkoła, która ogranicza uczniom lektury do pięciu książek rocznie? Ogranicza kontakt z jakimkolwiek myśleniem o nadprzyrodzoności (nawet jeśli poziom katechezy nierzadko pozostaje daleki od oczekiwań)? Ogranicza opinie ludzi myślących inaczej niż wszyscy np. o aborcji czy homoseksualizmie, a takimi przecież w większości pozostają katecheci. Czy mianem przypadku określić można próby wycięcia z procesu kształtowania młodych Polaków nierozłącznie związanych ze sobą losów Polski i Kościoła? A także wiedzy o najnowszej historii Polski i świata?

A może przeciwnie? Może o historii i teraźniejszości nauczać będą „autorytety”, z którymi konsultuje swoje pomysły minister Nowacka – prof. Izdebski, Jerzy Owsiak albo promująca permissywną seksedukację modelka Anja Rubik?

Jedno jest pewne. Już dawno nie trzeba było obawiać się polskiej szkoły tak mocno jak teraz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorem jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

RYSZARD GROMADZKI: Operacja „dorzyniania watahy” realizowana przez ekipę Tuska trwa w najlepsze. Chyba trudno inaczej tłumaczyć decyzję Państwowej Komisji Wyborczej w sprawie obciążenia subwencji dla PiS. Pan twierdzi, że w bliskiej perspektywie możliwy jest zwrot sytuacji, bo otwiera się opcja dla przedterminowych wyborów.

DR ANDRZEJ ANUSZ: Prezydent Andrzej Duda skierował ustawę budżetową do Trybunału Konstytucyjnego, twierdząc, że ta ustawa ma wadę prawną, dlatego że została uchwalona bez udziału dwóch posłów, Kamińskiego i Wąsika, których wykluczył z Sejmu marszałek Hołownia. Prezydent skierował wiele ustaw do TK dokładnie z tym samym zarzutem; teraz już tego nie robi, bo – jak wiadomo – posłowie Kamiński i Wąsik zostali eurodeputowanymi, więc ta przesłanka ustała. Tymczasem Trybunał Konstytucyjny uznał już, że jedna z ustaw skierowana przez prezydenta do TK, o Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, ma wadę prawną.

W moim przekonaniu de facto to pre-judikat, który pozwala sądzić z dużym prawdopodobieństwem, że TK uzna, iż również ustawa budżetowa ma wadę prawną, co w świetle konstytucji otwiera nową sytuację. Zgodnie z nią, jeśli Sejm nie uchwali w terminie ustawy budżetowej, to prezydent może go rozwiązać, ale nie musi. Uważam, że w ciągu kilku najbliższych tygodni ta kwestia zostanie rozpatrzona przez Trybunał Konstytucyjny. W momencie, kiedy Trybunał prawdopodobnie wyda decyzję, że ta ustawa została przyjęta z wadą prawną, prezydent otrzyma narzędzie, które może mieć ogromny wpływ na polską scenę polityczną.

Sądzi pan, że prezydent zdecyduje się z niego skorzystać. Doprowadziłoby to przecież i tak już ostry konflikt polityczny w kraju do stanu wrzenia. W imię jakich kalkulacji Andrzej Duda miałby podjąć taki krok?

W mojej ocenie prezydent w pierwszym ruchu dokonałby próby budowy koalicji „polskich spraw” – jak ją określił. Mając w zanadrzu możliwość rozwiązania parlamentu, prawdopodobnie zwróciłby się do PSL z ofertą zmiany układu politycznego i dołączenia do PiS oraz Konfederacji, które to partie wspólnie mogłyby utworzyć nową większość pod



Z dr. Andrzejem Anuszem,
politologiem z Instytutu Piłsudskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Prezydent mógłby rozwiązać parlament

patronatem prezydenta. Myślę, że to byłby pierwszy krok, który wykonałby Andrzej Duda. Pytanie, czy na taką frondę zdecydowałby się cały PSL czy tylko jego część.

Biorąc pod uwagę to, że trzecim uczestnikiem tej nowej koalicji miałyby być Konfederacja, pana pytanie należałoby rozszerzyć. W tym cały jest ambaras, żeby troje chciało naraz...

W sytuacji, jak pan to ujął, gdyby tych troje jednak „nie chciało naraz”, jest duże prawdopodobieństwo, że prezydent rozwiązałby parlament. Zważywszy na obligujący prezydenta termin ogłoszenia nowych wyborów w ciągu 45 dni od rozwiązania parlamentu odbyłyby się one już po wyborach prezydenckich w USA. Zakładając, że wybory w Stanach Zjednoczonych zakończyłyby się zwycięstwem Donalda Trumpa, stworzyłoby to dobrą polityczną koniunkturę dla PiS

i Konfederacji, które mogłyby zyskać na tej politycznej fali.

Po drugie, wracając do kwestii subwencji dla PiS, ta sprawa byłaby skasowana. Przypomnijmy, że zgodnie z ordynacją wyborczą subwencja jest uzależniona od wyniku wyborów parlamentarnych, w związku z tym w sytuacji, kiedy mamy przedterminowe wybory parlamentarne, kończy się kadencja obecnego Sejmu i mamy nowe rozdanie. W efekcie wszystkie obecne problemy finansowe Prawa i Sprawiedliwości, które mają miejsce w związku z decyzją PKW, zeszyłyby na dalszy plan.

PiS znowu byłby przy kasie...

PiS po tych wyborach, oczywiście gdyby nie popełnił jakichś błędów przy rozliczeniu, zyskałby nową subwencję. Nie trzeba nikogo przekonywać, że z punktu widzenia Prawa i Sprawiedliwości taki scenariusz jest korzystny.

Prezydent może otrzymać narzędzie, które może mieć ogromny wpływ na polską scenę polityczną

Żeby ten scenariusz się ziścił, konieczna jest dobra współpraca pomiędzy prezydentem a PiS. Tymczasem ona nie układa się najlepiej. Wystarczy przywołać ciągłe złośliwości pomiędzy Marcinem Mastalerkiem, szefem Kancelarii Prezydenta, a prezesem Kaczyńskim i innymi czołowymi politykami PiS.

■ W moim przekonaniu czas na tę współpracę bardzo się zawęża. W optyce PiS współpraca z prezydentem, szczególnie między nim a prezesem Kaczyńskim, jest trudna. Ponadto z punktu widzenia PiS lepszego prezydenta trudno sobie wyobrazić, mając przed sobą perspektywę wyborów prezydenckich, które dla Prawa i Sprawiedliwości na pewno będą bardzo trudne. Jeśli założymy, że przyszłoroczne wybory prezydenckie wygra kandydat Koalicji Obywatelskiej, to horyzont na współpracę między PiS a prezydentem Dudą skraca się jeszcze bardziej.

Czyli teraz albo nigdy?

Dokładnie tak. Moim zdaniem w polskiej polityce wchodzimy w okres przyspieszenia, możemy spodziewać się różnych zwrotów akcji. Katalizatorem, który może uruchomić nową dynamikę na scenie politycznej, byłoby ewentualne zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA.

Nie ma co ukrywać, że prezydent Andrzej Duda postawił na ten wariant bardzo dużo. Jest jednym z nielicznych przywódców politycznych w Europie, który ma bardzo dobre relacje z Trumpem. Gdyby ten wygrał wybory, to nie tylko wzmocniłyby położenie Polski z powodu dobrych relacji, które ma z nim Duda, lecz także, zwłaszcza w pierwszych miesiącach nowej kadencji Trumpa, prezydent Duda mógłby odgrywać rolę pośrednika między prezydentem USA a dużą częścią państw Zachodu.

Do tej roli aspiruje też Viktor Orbán. Premier Węgier wydaje się być w jeszcze bardziej przyjacielskich relacjach z Trumpem niż Andrzej Duda.

To prawda. Zresztą Trump cały czas bardzo pozytywnie wypowiada się o Orbánie, ale z punktu widzenia potencjału Polski, jej roli w regionie, naszego zaangażowania we wsparcie Ukrainy rola Andrzeja Dudy bardzo by urosła, a Polska zyskałaby na tym w jeszcze większym stopniu. Orbán jest poddany ostracyzmowi w Unii Europejskiej, Duda może jest tam krytykowany, ale o żadnym ostracyzmie nie ma mowy.

Prezydent ewidentnie nastawia się na taki wariant, o czym świadczą jego deklaracje dotyczące priorytetów prezydentury Polski w Unii Europejskiej, która przypadnie na pierwsze półrocze



2025 r., a więc ostatnie miesiące kadencji Andrzeja Dudy. Według niego poprawa relacji między Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską ma być jednym z głównych celów polskiej prezydentury.

Mówi pan o wstrząsie, który ewentualne zwycięstwo Donalda Trumpa w listopadowych wyborach prezydenckich w Stanach mogłoby wywołać w polityce światowej i w Polsce. Jednak warunkiem koniecznym do zmiany układu rządzącego musiałoby być też ostre tąpnięcie poparcia społecznego dla ko-

alicji Platformy Obywatelskiej, Polski 2050 i Lewicy. Patrząc na bieżące sondaże, na to się nie zanosi.

Moim zdaniem liderzy Prawa i Sprawiedliwości powinni uznać fundamentalną zmianę w scenariuszach politycznych i analizach budowanych na przyszłość. Sprowadza się ona do tego, że samodzielne rządy PiS są już mało prawdopodobne. Partia ta musi zacząć wielką pracę, żeby pokazać, że jest ugrupowaniem, które jest w stanie tworzyć koalicje. W pierwszym rzucie to jest koalicja z Konfederacją, w drugim – współpraca z Polskim Stronictwem Ludowym.

PiS ma do przepracowania dwie kluczowe kwestie. Priorytetem jest zbudowanie nowych relacji z Konfederacją. Na pierwszy plan wysuwa się tu sprawa napisania wspólnie nowej konstytucji. Jednym z głównych punktów programu

Samodzielne rządy PiS są już mało prawdopodobne. Partia musi pokazać, że jest w stanie tworzyć koalicje

konstytucyjna, która spełniła wtedy bardzo ważną funkcję integracyjną. W oparciu o to porozumienie powstała Akcja Wyborcza Solidarność.

Myślę, że wobec różnego rodzaju zaszłości i konfliktów personalnych pomiędzy politykami próbę budowy porozumienia podjąć można wokół tematu programowego. Kwestia napisania nowej konstytucji na pewno jest takim tematem. Współpraca PiS z Konfederacją w tym obszarze pokazałaby wyborcom, że te środowiska są w stanie współpracować. To mógłby być początek przyszłej współpracy po wyborach w ramach ewentualnej koalicji rządzącej.

Na jakiej podstawie uczestnikiem tej ewentualnej przyszłej koalicji rządzącej miałby zostać PSL? Ludowcy po 1989 r. nieraz byli kuszeni ofertą zmiany frontu, ale nigdy tego nie zrobili. Dlaczego teraz mieliby zachować się inaczej, mając do stracenia frukty związane z udziałem we władzy?

PSL jest obecnie w ciekawym położeniu. Ludowcy przyjęli na siebie rolę konserwatywnej kotwicy w koalicji rządzącej i płacą za to bardzo wysoką cenę, będąc obiektem brutalnych ataków. Widzieliśmy sceny z Campusu Polska, kiedy wicepremier Kosiniak-Kamysz był zakrzywany przez uczestników tej imprezy za stanowisko w sprawie aborcji. Jednak PSL jest konsekwentny w obronie swoich wartości, czego wyrazem było wspólne z PiS i Konfederacją głosowanie w sprawie ustawy antyaborcyjnej. Uważam, że to głosowanie może być w przyszłości pewnym symbolem i punktem odniesienia.

Ponadto PSL wystąpił z propozycją ustawy o wychowaniu patriotycznym; moim zdaniem PiS w ramach wypracowania nowego modelu relacji z PSL powinien jednoznacznie poprzeć tę ustawę i być może zaproponować ludowcom stworzenie i wspieranie innych ustaw, które określiłbym pakietem patriotycznym, w ramach obecnej koalicji rządzącej, żeby PSL miał pewność, że PiS będzie wspierał takie inicjatywy. To też może stanowić cenny przyczynek do współpracy w przyszłości.

Jest jeszcze jedna okoliczność, która może dobrze rokować współpracy pomiędzy obydwoma ugrupowaniami. PSL, jeśli chce zachować pozycję na scenie politycznej, musi pokazywać swoją pod-

miotowość, różnicować się od Koalicji Obywatelskiej, dlatego że ugrupowanie Tuska wchłania wyborców swoich koalicjantów. W mojej ocenie partia Hołowni jest w kryzysie, podobnie Lewica. PSL poprzez współpracę z partiami opozycyjnymi może zaznaczać swoją podmiotowość, a tym samym wzmacniać pozycję wobec Tuska, wykorzystując to, że jest najbardziej „obrotową” partią na naszej scenie politycznej.

Wobec prognozowanego przez pana przyspieszenia w polskiej polityce, być może perspektywy przedterminowych wyborów, kluczowa rola w tej rozgrywce przypadnie prezydentowi. Andrzej Duda nie ma opinii twardego gracza.

Priorytetem dla Prawa i Sprawiedliwości jest zbudowanie nowych relacji z Konfederacją.

Na pierwszy plan wysuwa się tu sprawa napisania wspólnie nowej konstytucji

Prezydent ma obecnie zupełnie inną perspektywę. Kończy się jego druga kadencja. Trzeci raz nie może być wybrany. Myślę, że jest politykiem z przyszłością, a wobec instrumentów politycznych, które uzyskałby dzięki spodziewanej decyzji Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ustawy budżetowej i ewentualnego zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA, chciałby dokonać ze swoim obozem politycznym rzeczy o wymiarze nadzwyczajnym, pokazać prawdziwe przywództwo. To pozwoliłoby mu zbudować polityczną przyszłość po zakończeniu kadencji – czy to na scenie krajowej, czy międzynarodowej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Andrzej Anusz – politolog,
Instytut Józefa Piłsudskiego.

Konfederacji jest przecież tzw. reset konstytucyjny. Z kolei Prawo i Sprawiedliwość, obserwując to, co koalicja rządząca wyprawia w obszarze prawa, musi uznać za nadrzędny cel po przejęciu władzy gruntowną reformę prawa i sposobu funkcjonowania struktur państwa. Wstępem do tego może być przygotowanie projektu nowej konstytucji.

Wydaje mi się, że gruntem, który może otworzyć drogę do współpracy obydwu ugrupowań, może być też atak ze strony obozu Tuska na organizatorów Marszu Niepodległości. To powinno skłonić konfederatów do refleksji i być może zmiany podejścia do kwestii współpracy z PiS. Obecny kryzys formacji centroprawicowych w Polsce przypomina trochę sytuację z połowy lat 90., kiedy wokół Solidarności powstała społeczna komisja



Jan Fiedorczuk

Katastrofa ekologiczna to tylko jedno z wielu wyzwań, z którymi musi mierzyć się minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska. W rządzie Donalda Tuska nie ma drugiego resortu, w którym tak często trzeba gasić kolejne pożary

Od początku sierpnia z jeziora Dzierżno Duże wyłowiono już ponad 120 ton śniętych ryb. Po ponad dwóch tygodniach od pojawienia się pierwszych przypadków z uspokajającym komunikatem wystąpiła minister Paulina Hennig-Kloska. – Katastrofa na Odrze i w jeziorze jest trudna, ale pod kontrolą, czyli nie rozprzestrzenia się – zapewniła polityk. „Kontrolowana katastrofa” na Odrze to jednak tylko jeden z wielu kryzysów, z którymi musi radzić sobie minister. Jeszcze przed objęciem przez nią urzędu nie brakowało kontrowersji dotyczących jej osoby, a w kuluarach krążyły plotki, że Donald Tusk w ogóle nie zdecyduje się jej powoływać do rządu i poprosi Polskę 2050 o wskazanie innego kandydata.

Te problemy dostrzegają zresztą już sami Polacy, gdyż Hennig-Kloska jest obecnie drugim najgorzej ocenianym ministrem w rządzie. Z sondażu IBRIS dla „Rzeczpospolitej” wynika, że aż 40,2 proc. respondentów ocenia ją źle, podczas gdy dobrze – jedynie 20 proc. Gorszy wynik uzyskał wyłącznie Władysław Kosiniak-Kamysz, ale i to nie jest takie jednoznaczne, gdyż w rzeczonym sondażu co prawda 41 proc. badanych oceniło go negatywnie (czyli niemal tyle samo co Hennig-Kloskę), ale za to pozytywnie – 28,9 proc. (znacząco więcej od minister środowiska). Ponadto MON jest w obecnych warunkach resortem bardziej prestiżowym, a także zdecydowanie trudniejszym do zarządzania. W społecznym odbiorze Ministerstwo Klimatu i Środowiska nie było może na tej samej stopie co tzw. ministerstwo równości,

Minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/REPORTER



Minister od „kontrolowanych katastrof”

ale niewątpliwie nigdy też nie skupiało na sobie przesadnego zainteresowania obywateli i jest wręcz zaskakujące, że stojącej na jego czele Hennig-Klosce udało się wywołać w społeczeństwie aż tak żywy odzew. Tradycyjnie emocje budziły MSZ, MON, Ministerstwo Sprawiedliwości, ewentualnie Edukacji, ale nie resort klimatu i środowiska.

POŻARY W MINISTERSTWIE

Do momentu objęcia resortu Paulina Hennig-Kloska zupełnie nie była kojarzona ze sprawami środowiska, a poziom jej przygotowania do objęcia ministerstwa dość brutalnie unaoczniał Robert Mazurek, który podczas wywiadu zapytał ją, ile w Polsce jest parków narodowych. – Wiem ile. Osiem-dziewięć. Nie będzie mnie pan przepyttywał – odparła polityk. W rzeczywistości parków narodowych mamy obecnie 23. „Ile jest parków narodowych? Za mało! Nie wstaję rano

i ich nie liczę, ale 1,1 proc. Polski objęte parkami narodowymi, przy średniej unijnej powyżej 3 proc., to porażka. Najwyższa pora to zmienić: stworzyć nowe parki i zwiększyć te istniejące” – napisała Hennig-Kloska następnie w mediach społecznościowych.

Mazurek słynie z „czepialskiego” sposobu prowadzenia wywiadów, jednak tym razem jego podchody były o tyle zrozumiałe, że pierwszy raz o dymisji Hennig-Kloski zaczęto mówić, zanim jeszcze zdążyła ona objąć swój resort, co było pokłosiem tzw. afery wiatrakowej. Jeszcze przed sformowaniem rządu grupa posłów KO i Polski 2050 wniosła do Sejmu projekt nowelizacji ustawy w sprawie wsparcia odbiorców energii. Projekt m.in. zmniejszał wymagane odległości od zabudowy mieszkaniowej do 300 m w przypadku zabudowy wielorodzinnej i 400 m w przypadku zabudowy jednorodzinnej. Na Hennig-Kloskę spadły wówczas fala

krytyki oraz zarzuty dotyczące lobbingu. Sprawa do dzisiaj jest niewyjaśniona i zawiera wiele interesujących wątków. Na przykład pod ustawą podpisał się poseł Adam Gomoła z Polski 2050, a – jak się następnie okazało – projekt miał ułatwiać działalność m.in. firmie jego rodziców. Co więcej, sama Hennig-Kloska dopytywana, czy autorem przepisów jest doradca Szymona Hołowni, którego żona jest dyrektorką w firmie wiatrakowej, przyznała, że „żona jednego z naszych doradców dotyczących klimatu pracuje w firmie zagranicznej, ale absolutnie na żadnym etapie nie miała nic wspólnego z ustawą”. Co więcej, asystentem społecznym Hennig-Kloski w przeszłości był Jacek Kosakowski – prezes Centralnej Grupy Energetycznej SA w Koninie, która zajmowała się inwestowaniem w OZE. Jakby tego było mało, na początku grudnia na posiedzeniu połączonych Komisji Finansów i Energii pojawił się nieznany politykom mężczyzna, który poproszony przez posła sprawozdawcę odpowiadał na pytania dotyczące ustawy wiatrakowej. Następnie okazało się, że owym tajemniczym gościem był Adam Romanowski, założyciel kancelarii adwokackiej m.in. reprezentującej... duże firmy energetyczne.

Gdy afera wybuchła, Hennig-Kloska próbowała zrzucić odpowiedzialność za ustawę na Borysa Budkę i Platformę Obywatelską, ostatecznie jednak przyznała, że to ona wprowadziła do projektu przepisy zezwalające stawianie wiatraków w odległości 300 m od zabudowań. Projekt wywołał olbrzymie zamieszanie, politycy PiS złożyli zawiadomienie do prokuratury i CBA, a od ustawy zaczęło dystansować się nawet współtworzące Trzecią Drogę PSL.

Kolejny „pożar” miał miejsce w Lasach Państwowych. W styczniu ministerstwo wprowadziło moratorium na wycinkę lasów, a w czerwcu przedłużyło jego obowiązywanie do końca września. Wobec tych zmian w lipcu protestowali leśnicy. Krytykowali oni również proponowane zmiany w ustawie o lasach i ustawie o ochronie przyrody. Ich zdaniem nowe przepisy mogą doprowadzić do wzrostu bezrobocia i destrukcji polskiego sektora leśno-drzewnego. Leśnicy domagali się natychmiastowej dymisji Hennig-Kloski oraz odpowiadającego za leśnictwo wiceministra Mikołaja Dorożały. Już sama

Tym, co wisi nad minister Hennig-Kloską niczym miecz Damoklesa, są rosnące ceny prądu

pierwsza decyzja ministerstwa, jeszcze ze stycznia, o natychmiastowym zakazie wycinki w 10 kompleksach leśnych wywołała spore kontrowersje, gdyż – jak donosiły media – resort mógł działać bezprawnie. Portal DoRzeczy.pl dotarł do pisma zakazującego wycinki, gdzie podano dwie podstawy prawne – obie bardzo wątpliwe.

Minister klimatu i środowiska może bowiem wydać zakaz wycinki drzew w lasach państwowych, ale na podstawie art. 16 ust. 1 Ustawy o lasach, którego minister nie wymieniła. Hennig-Kloska rozporządzenia nie wydała, co pod znakiem zapytania stawia, czy jej zakaz był w ogóle zgodny z prawem. Co jednak ważniejsze, minister podpisała „polecenie” bez wyliczenia kosztów takiej decyzji. Jej zakaz tymczasem uderzył w konkretne firmy, powodując ich znaczące straty.

ZIELONA KATASTROFA

Największymi wyzwaniem, przed którymi staje Hennig-Kloska, nie są jednak ani kryzys ze śniętymi rybami, ani wycinka lasów, ani kontrowersje w sprawie ustawy wiatrakowej.

Tym, co wisi nad minister niczym miecz Damoklesa, są rosnące ceny prądu. Po 1 lipca ceny poszybowały, ale sama Hennig-Kloska zapewnia, że resort panuje nad sytuacją i ceny „nie wymkną się spod kontroli”. Najprawdopodobniej to właśnie rosnące koszty życia będą politycznym zapalnikiem, który – zwłaszcza w obliczu prezydenckiej kampanii – będzie rozbudzał emocje społeczne i może najbardziej uderzyć w popularność rządu Donalda Tuska. Wbrew pozorom Hennig-Kloska została rzucona na bardzo niewdzięczny odcinek politycznego frontu. Sama minister zapewniła już, że gospodarstwa domowe powinny być objęte ustawową osłoną ograniczającą ceny energii również w przyszłym roku. Koszt przedłużenia ceny maksymalnej dla gospodarstw domowych na kolejny cały

rok ma wynosić ok. 4,5 mld zł. Hennig-Kloska przyznała, że na obecną chwilę jest zagwarantowana połowa tej kwoty i trwa „budowanie drugiej nogi”.

Tym, co wydaje się najbardziej niepokojące, jest jednak entuzjazm Hennig-Kloski wobec forsowanej przez Unię Europejską ekorewolucji. Minister zapowiedziała, że transformacja energetyczna jest dla niej priorytetem, a Polska wyda na ten cel ok. 500 mld zł. Pytana o Zielony Ład polityk stwierdziła natomiast, że jest przeciwna, aby akceptację dla unijnej rewolucji poddać pod ogólnonarodowe referendum. Jeszcze większą zwolenniczką rewolucji jest jednak jej podwładna – wiceminister Urszula Zielińska – która chce radykalnego zwiększenia unijnych celów klimatycznych, a także np. odejścia od transportu rzeczno-gazowego na Odrze. Podczas nieformalnego szczytu unijnych ministrów środowiska Zielińska stwierdziła, że UE powinna przyjąć za cel redukcję emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. do 2040 r. Resort oficjalnie odciął się od tych słów, jednak sytuacja sama w sobie pokazuje kierunek, w którym zmierza polski rząd. Tu już nawet nie chodzi o to, czy sama transformacja jest konieczna, tylko pomysł, że można ją w tak radykalnej odstonie niemal w całości przeprowadzić w ciągu zaledwie 16 lat, jest po prostu niebezpieczny dla państwa.

Sama minister wydaje się zupełnie bagatelizować konsekwencje zielonej rewolucji. Sytuację dobrze obrazuje wywiad w Radiu Zet, w którym Hennig-Kloska jest pytana, jak małżeństwo emerytów ma przystosować swój dom do wymogów Zielonego Ładu, gdzie ocieplenie domu, wymiana ogrzewania, montaż paneli voltaicznych i wymiana okien to wydatek spokojnie ponad 100 tys. zł (a i to jest bardzo optymistyczny rachunek). Co radzi minister? – Pójść do najbliższej jednostki informacyjnej, zaciągnąć tam informacji. Pomagamy wypełniać wnioski, można skorzystać z programów, będzie kolejna pula, żeby takie inwestycje przeprowadzić przy pomocy państwa – stwierdziła Hennig-Kloska. Poziom dezynwoltury i lekceważenia okazywanego polskim obywatelom jest tu zaskakujący nawet jak na standardy polskiej polityki. Zielony Ład to najwyraźniej jedynie kolejna „kontrolowana katastrofa” o kolekcji pani minister.



Łukasz Warzecha

Historia z pozbawieniem PiS subwencji każe się poważnie zastanowić, czy wprowadzając finansowanie partii politycznych przez państwo, nie wylano dziecka z kąpielą. Dlaczego jest tak, że partie mogą otrzymywane pieniądze w nieskończoność akumulować? Dlaczego nie muszą funduszy niewykorzystanych na cele statutowe w ciągu roku lub przynajmniej kadencji zwracać? Brak takiej reguły sprawia, że bariera wejścia do polityki dla nowych ugrupowań stoi coraz wyżej

Jeśli decyzja Państwowej Komisji Wyborczej się ostoi, to PiS straci w tej kadencji przynajmniej 57,6 mln zł. Zresztą najprawdopodobniej straci je tak czy owak, nawet gdyby uchwałę PKW zakwestionowała Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Jest to bowiem izba, której obecna koalicja postanowiła – w ramach demokracji walczącej – nie uznawać, a zatem już teraz politycy Koalicji Obywatelskiej zapowiadają, że nawet gdyby odwołanie PiS okazało się skuteczne, i tak pieniądze nie trafią na konto ugrupowania. Nie jest jeszcze rozstrzygnięty los reszty subwencji.

Na już podjętą przez PKW decyzję – stosunkiem głosów pięć do trzech (dwóch przedstawicieli PiS i sędzia Trybunału Konstytucyjnego Wojciech Sych, jednocześnie wiceprzewodniczący PKW) przy jednym wstrzymującym się (sędzia Sylwester Marcinia, przewodniczący komisji) – warto spojrzeć bez uprzedzeń. Zobaczmy wówczas, że głównym argumentem w obronie PiS nie jest to, że komisja się fundamentalnie myli i że podczas imprez niefinansowanych przez komitet wyborczy tej partii nie było agitacji w tej czy innej formie, lecz to, że

Pieniądze na PiS: na biednego nie trafiło



FOT. WOJCIECH OLKUSZNY/EAST NEWS

jedynie wobec tej partii zastosowano tak restrykcyjną interpretację mocno ogólnikowych przepisów. Ten zarzut wydaje się zasadny, a sztandarowym przykładem jest Campus Polska Przyszłości, który faktycznie jest imprezą jednoznacznie partyjną, a odbywał się w ubiegłym roku w trakcie trwającej kampanii wyborczej. Nie był finansowany przez komitet wyborczy PO, za to łożyły na niego samorządy.

Z tak skonstruowaną obroną PiS jest jednak ten problem, że jej podstawą jest stwierdzenie, iż wszyscy prawo naciągali – PiS również – ale wzięto się akurat za ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego. Przypomina to trochę pretensje kierowcy jadącego z prędkością grubo powyżej dozwolonej, którego zatrzymała policja, a który z wyrzutem mówi do funkcjonariuszy: „Dlaczego nie zatrzymaliście

tych dziesięciu, którzy tu jechali tak samo szybko przede mną?”. Możliwe, że policjanci specjalnie czyhali na tego konkretnego kierującego, ale z drugiej strony – gdyby nie przekroczył prędkości, nie miałiby go za co zatrzymać.

5 MLN ZŁ I KOLEJNE KŁOPOTY

PiS zaapelował do swoich sympatyków o wpłaty. Ci odpowiedzieli tłumnie i zebrano już kwotę prawdopodobnie przekraczającą 5 mln zł. Wbrew temu, co sugerowali niektórzy w gorącej wodzie kąpani antypisowscy komentatorzy, ta forma wspierania finansowego partii jest legalna i nie podlega zgłoszeniu do MSWiA jako zbiórka publiczna. Wpłaty na partię reguluje bowiem Ustawa o partiach politycznych w artykule 25. Mówi on, że osoba fizyczna może w ciągu roku wspomóc ugrupowanie – wyłącza-

jąc składki członkowskie – maksymalnie 15-krotnością minimalnego wynagrodzenia za pracę. Obecnie stawia to granicę na poziomie 64,5 tys. zł.

Pięć milionów złotych w stosunkowo krótkim czasie to oczywiście dużo, ale wciąż dwa razy mniej niż suma, którą partia utraciła już ze swojej corocznej subwencji, i mniej niż 10 proc. tego, co ma stracić w sumie. Poza tym wpłatami rządzący będą najpewniej podobne zasady, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach: najpierw następuje wzmożenie i pieniądze płyną szerokim strumieniem, ale tylko niewielka liczba wpłacających pod wpływem pierwszej emocji chce lub może sobie pozwolić na wpłacanie regularne. Ponadto Tuskowa demokracja walcząca oznacza, że przynajmniej twarde elektorat PiS będzie miał motywację, aby ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego wspierać dłużej.

Prawo i Sprawiedliwość narobiło sobie jednak kłopotów, domagając się od wpłacających podania numeru PESEL. W tej sprawie, na wniosek poseł Agnieszki Pomaski z PO, uaktywnił się prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych Mirosław Wróblewski, żądając wyjaśnień od PiS. Jak to często bywa z polskimi regulacjami, sprawa okazuje się skomplikowana. Ustawa o partiach zezwala bowiem, aby na partię wpłacali jedynie obywatele polscy, mający stałe miejsce zamieszkania na polskim terytorium. Może w PiS ktoś uznał, że numer PESEL pozwala to ewentualnie zweryfikować. Lecz przecież swoje PESEL-e otrzymują także choćby Ukraińcy zamieszkujący w Polsce. Poza tym wpłat można dokonywać jedynie przelewem na konto partii. Nie da się zatem skorzystać z metod takich jak PayPal czy Blik, które pozwoliłyby ewentualnie ukryć część danych. A skoro tak, to otrzymujący widzi, kto wpłatę przekazał.

Ustawa wymaga także, aby partie prowadziły i częściowo (w odniesieniu do osób wpłacających ponad 10 tys. zł) upubliczniały rejestr wpłat, w którym nie ma mowy o PESEL-u, ale musi on zawierać imię i nazwisko wpłacającego, imię ojca, miejsce zamieszkania dokonującego wpłaty, datę wpłaty i jej wysokość. Dlaczego jedną z danych ma być akurat imię ojca – nikt nie wie i nikt nie potrafi wyjaśnić. Jednocześnie ustawa nie zakazuje przecież zbierania numerów PESEL,

choć trudno pojąć, po co miałyby one być potrzebne. Obecnie na stronie partii tego wymogu już nie ma.

Władzom PiS naraził się potężnie szef Kancelarii Prezydenta, Marcin Mastalerek, który oznajmił, że wpłacić nie zamierza, a partia powinna była oszczędzać. – Ja mam potakiwać i mówić: „Fajnie, dostaliście 300 mln w osiem lat razem ze zwrotami, nic nie zaoszczędziliście, ojejku jejkuj jejkuj, to teraz się wszyscy na was zrzucimy?”. To trzeba było oszczędzać, następnym razem oszczędzajcie. Tak zachowują się ludzie: dostają pensję i część z tej pensji odkładają – mówił minister w Radiu Zet. Zarzucił przy tym PiS, że wydawał ogromne pieniądze m.in. na konwencje, których efekt był znikomy: – Jeżeli ktoś chce mi powiedzieć, że 25 mln zł rocznie wtedy, kiedy się rządzi – bo to jest różnica – czy wtedy, kiedy jest się opozycją, to jest mało i nie można z tego zaoszczędzić, no to sorry, to może się zastanówcie, czy wszystkie konwencje, na które wydawaliście kilka milionów złotych były potrzebne lub inne różne niepotrzebne wydatki.

PATOLOGICZNY UKŁAD

Nie pierwszy raz Marcin Mastalerek daje się poznać jako ostry krytyk postępowania partii Jarosława Kaczyńskiego. W tym jednak wypadku warto byłoby potraktować jego słowa jako punkt wyjścia do zakwestionowania całego systemu subwencyjnego.

Skąd się on w ogóle wziął? Ustawę o partiach politycznych uchwalono w 1997 r. i wtedy właśnie wprowadzono finansowanie ich przez państwo. Jednym z głównych architektów tego rozwiązania był śp. Ludwik Dorn. Projektodawcy wyszli z dwóch założeń. Po pierwsze – że oparcie działalności partii na nieograniczonych wpłatach od obywateli i podmiotów sprawia, iż najzamożniejsi mogą sobie partię po prostu „kupić” i uzależnić swoje dla niej darowizny np. od przefinansowania w Sejmie określonych, korzystnych dla nich regulacji. Po drugie – że jeśli partia miałaby bardzo wielu zwolenników, lecz średnio mniej zamożnych, to będzie miała mniejsze możliwości działania niż partia o wielokrotnie mniejszym poparciu, ale za to wśród osób dobrze sytuowanych.

Nie można tym argumentom odmówić pewnej racji. W zamian ustanowiono

system, który uzależnia – poprzez skomplikowane algorytmy – poziom subwencji od wyniku uzyskanego w wyborach (począwszy od przekroczenia progu 3 proc.). W 2010 r. dokonano korekty tego systemu poprzez obcięcie subwencji o połowę. Pojawiały się wówczas także głosy, żeby z subwencjami zerwać w ogóle, ale było w tych wezwaniach wiele populizmu.

Jednak historia z pozbawieniem PiS subwencji – po raz pierwszy na taką skalę i w tak napiętej sytuacji politycznej, bo wcześniej zdarzało się już, że partie bywały karane obcięciem pieniędzy – każe się poważnie zastanowić, czy w 1997 r. nie wylano dziecka z kąpielą. Dlaczego jest tak, że partie mogą otrzymywane pieniądze w nieskończoność akumulować? Dlaczego nie muszą funduszy niewykorzystanych na cele statutowe w ciągu roku lub przynajmniej kadencji zwracać? Brak takiej reguły sprawia, że duże, działające od wielu lat ugrupowania mają coraz bardziej dominującą finansowo pozycję, a bariera wejścia do polityki dla nowych ugrupowań stoi coraz wyżej. Petryfikuje to patologiczny układ: im ma się więcej pieniędzy, tym łatwiej robić dużą kampanię, a więc zdobywać wysokie wyniki wyborcze, co przekłada się na duże subwencje, które umożliwiają zrobienie dużej kampanii – i tak w kółko.

Czy subwencje naprawdę muszą być aż tak wielkie? Bo sumy rzędu 100–150 mln zł na kadencję dla największych ugrupowań to naprawdę gigantyczne sumy. Dlaczego nie sięgnąć po wzór amerykański i, pomniejszając subwencje, nie dać partiom wyboru: albo zostają w danym okresie przy publicznym zasilaniu, pewnym, ale względnie niskim, albo zrzekają się go i apelują do swoich zwolenników o pieniądze, które mogą, choć nie muszą okazać się większe?

Ma rację minister Mastalerek, że w prośbach PiS o pieniądze jest coś nieestosownego. Ugrupowanie do niedawna rządzące przez sześć kadencji swojego istnienia kumulowało ogromne fundusze i otrzymało z pieniędzy podatnika przez cały ten czas zapewne ok. miliarda złotych. Duża część tej sumy została wydana na wątpliwej jakości propagandę wyborczą. Teraz zaś zachowuje się tak, jakby na kontach nie pozostała ani złotówka.



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Złe traktowanie pracownika czy fatalny sposób jego zwolnienia dziś oznaczają poważne konsekwencje. Te sprawy są upubliczniane w sieci, a to może nawet zrujnować biznes

Właśnie zwolnili mnie z pracy. Pierwszy dzień po powrocie po macierzyńskim. Czy się spodziewałam? Oczywiście, że nie – mówi na nagraniu opublikowanym w serwisie TikTok zapłakana blondynka. – Możecie powiedzieć, że trzeba było złożyć wniosek o zmianę czasu pracy, to bym miała tę ochronę. Nie zadziałało. Jakby więc zawsze wszystko można obejść. X-kom [sklep ze sprzętem elektronicznym – przyp. red.], dziękuję bardzo. Wspieranie matek wracających na rynek pracy macie opanowane do perfekcji. Chyba muszę zacząć szukać na Rocket Jobs [portal z ofertami pracy – przyp. red.] – dodaje Agnieszka, która na portalu funkcjonuje pod nazwą „matka-polkaczestochowska”.

Odzew internautów był masowy. Tysiące polubień, udostępnień, komentarzy wsparcia dla zwolnionej kobiety oraz słów krytyki pod adresem zwalniającej firmy. Nagranie stało się wiralem – zdobyło ponad 300 tys. polubień. Internauci, nie czekając na wyjaśnienia firmy, mając tak naprawdę niewiele informacji, jednoznacznie orzekli, że zawinił pracodawca. Profile X-kom w mediach społecznościowych zalała fala niekiedy wulgarnego hejtu, a przede wszystkim wezwania do pokajania się.

Dzień po publikacji filmiku Agnieszki głos zabrał prezes Michał Świerczewski. „Po komentarzach w Internecie wiem, że wiele osób oczekuje od nas szczegółowych wyjaśnień, dlatego w ogóle podjęliśmy taką, a nie inną decyzję... Cóż, obowiązuje mnie tajemnica pracodawca – pracownik, nie mogę więc zbyt wiele wyjaśnić” – napisał na portalu X. Ale dodał: „Likwidacja dawnego stanowiska Agnieszki (i kilku innych podobnych stanowisk) nastąpiła już na początku



FOU ADRIE STOCK

Szef w sieci

2023 r. w ramach większej reorganizacji działu wsparcia. W maju 2024 r. Agnieszka zasygnalizowała nam o tym, że planuje powrót. Wiem, że nasz dział HR sprawdzał różne możliwości, ale nie byliśmy niestety w stanie zaproponować Agnieszce nowego, adekwatnego do jej doświadczenia stanowiska. W takiej sytuacji rozwiązanie umowy o pracę odbywa się najczęściej pierwszego dnia po powrocie”.

Dwa dni później Świerczewski poinformował, że spotkał się z byłą pracownicą i udało się załagodzić konflikt. „Przedstawiliśmy sobie perspektywę obu stron. To było naprawdę miłe spotkanie, mimo tak trudnej sytuacji. Uznałmy,

że zamykamy ten temat. Rozstajemy się w dobrych relacjach. Jako firma na pewno wyciągniemy wnioski, bo mogliśmy poprowadzić ten temat z większą empatią oraz lepszą komunikacją” – zadeklarował szef X-kom.

W trakcie gdy w sieci trwała gorąca dyskusja, Agnieszka opublikowała kolejnego tiktoka, w którym ogłosiła, że szuka pracy.

– Dzisiaj już bez łez. Z uśmiechem na twarzy zaczynamy nowy dzień i nowy rozdział. Matka Polka Częstochowska wraca na rynek pracy, więc jeśli ktoś z was szuka młodego, z zapałem do pracy pracownika, szczególnie działu marketingu bądź social media, to polecam

siebie. Obiecuję nie biegać co chwilę na L4 ze względu na to, że maluchy chorują. Mam opiekę stałą – ogłosiła, dziękując za „ciepłe komentarze i wiadomości”.

O ile spór zakończył się happy endem, o tyle sprawa zwolnionej matki pozostawi wyraźną rysę na wizerunku firmy. – Czy lawina negatywnych komentarzy wpłynie dramatycznie na sprzedaż w spółce? Pewnie nie. Czy odbije piętno na wizerunku firmy? Jeśli mówimy o wizerunku pracodawcy, to tak. Nikt nie chce pracować w miejscu, w którym nie może czuć się bezpiecznie, i jest to oczywiste – komentuje na portalu Nowy Marketing Katarzyna Dworzyńska z PR Calling. Z kolei sama tiktokerka poprzez aferę poszerzyła bazę obserwatorów. Ciekawe jest jednak to, że wyjaśnienia szefa X-kom przekonały sporą część obserwujących całą sytuację. Sympatia internetowej opinii publicznej zaczęła przechylać się na stronę pracodawcy, o czym świadczy to, że pod kolejnym nagraniem z wyjaśnieniami kobieta wyłączyła komentarze. Pod innymi tiktokami, nie dotyczącymi sporu, komentujący wciąż wracają do tematu. „Za duże ryzyko, że nowej firmie, która Cię zatrudni, zrobisz podobny PR” – to jeden z komentarzy. W innych nie brak sugestii, że kobieta wywołała awanturę tylko po to, aby wybić się w sieci. – W przestrzeni medialnej oraz w social mediach wywołana została dyskusja o prawach kobiet, ich bezpieczeństwie, problemach związanych z powrotem do pracy, chęci posiadania dzieci etc. Takie rozmowy są potrzebne – ocenia Dworzyńska, dodając, że w tej konkretnej sytuacji wyjaśnienia firmy brzmią wiarygodnie.

PUBLICZNE SPRAWY

Nie jest to pierwsza sytuacja, gdy osoba uznająca, że jest traktowana przez pracodawcę niewłaściwie, nagłaśnia to w Internecie. To narzędzie darmowe, a temat łamania praw pracowniczych czy mobbingu jest dziś niezwykle nośny. „Każdy jest dzisiaj dziennikarzem z kamerą, nawet nie musi mieć zasięgów, jeżeli historia jest bulwersująca, to stanie się wiralem” – napisał w serwisie X ekspert do spraw komunikacji internetowej Wojciech Kardys.

W marcu w mediach społecznościowych wybuchła afeta nazwana „Janu-

szex” (pogardliwe określenie wobec firmy łamiącej Kodeks pracy, której szef ignoruje potrzeby i prośby pracowników). Zaczęło się od anonimowej skargi internautki na zwolnienie jej przez Skype’a, zaledwie trzy dni po przyjęciu do pracy. Graficzka oddała dziewięć z 15 wymaganych projektów. Wyjaśniała szefowi, że dopiero uczy się programu graficznego, z którym wcześniej nie miała styczności. „Co poszeeee. Chyba pani żartuje. Do widzenia” – napisała na ogólnofirmowym czacie właściciel firmy. „Dziękujemy za współpracę. Ja nie płacę za naukę” – podsumowała.

Szybko wyszło na jaw, że chodzi o firmę Giftpol i jej szefa Dariusza Jabłońskiego. Jako że sprawa zaczęła rozchodzić się po sieci z prędkością światła, Jabłoński wydał oświadczenie. „Zatrudniliśmy nową osobę w dziale graficznym, nasze wymagania były od początku jasne, mianowicie dobra znajomość programu graficznego Corel, na którym pracuje nasza firma. Osoba, która zgłosiła się do nas i została wybrana do pracy na tym stanowisku, zadeklarowała, że ma kwalifikacje i szybko opanuje program” – napisał.

Reakcja internautów była na tyle negatywna, że zarówno komunikat, jak i profile firmy zniknęły z Internetu. Obok niesmaku związanego ze stylem komunikacji pojawiły się wątpliwości prawne. – Przepisy Kodeksu pracy zakładają, że wypowiedzenie lub rozwiązanie umowy o pracę powinno nastąpić na piśmie. Tego wymogu nie spełnia oświadczenie pracodawcy złożone przez Skype’a, inny komunikator internetowej, SMS-a czy mailowo – ocenił mec. Marek Jarosiewicz, współnik w Kancelarii Wódkiewicz & Sosnowski, ekspert prawa pracy.

Radomska firma działa nadal, ale afeta zrujnowała jej wizerunek. W serwisie Google Giftpol ma ocenę 1,9/5 oraz wiele nieprzychylnych komentarzy (trudno stwierdzić, które pochodzą od faktycznych klientów, a które były pisane pod wpływem burzy w sieci). „Ta historia budzi emocje, ponieważ każdy z nas zna lub sam przeżył przykład takiego bardzo niesprawiedliwego potraktowania przez pracodawcę. Dlatego łatwo nam się z nią utożsamiać” – komentowała dla WP Finanse Maja Gojtowska, ekspertka do spraw rynku pracy. Dodawała, że pracodawcy ze starszego pokolenia nie rozu-

mieją podejścia tzw. zetek. „Pracownicy z Pokolenia Z są wyczuleni na brak szacunku. Co więcej, dysponują potężną siłą rażenia dzięki szerokiemu dostępowi do mediów społecznościowych. Na TikToku komentowane jest dzisiaj każde posunięcie pracodawcy – od metod rekrutacji, do komunikacji w firmie na co dzień, aż do procesu zwolnień” – wyjaśniała.

WOJNA O BIUSTONOSZ

W wakacje Internet żył przez parę dni historią Justyny z Kalisza. Kobieta została zwolniona z firmy produkującej zapachy do aut z powodu – jak przekonywała – nienoszenia do pracy biustonosza. Całą sytuację zrelacjonowała na TikToku. – W poniedziałek rano dostaliśmy komunikat. Pani kierownik przy wszystkich dziewczynach powiedziała, że od dzisiaj jest nakaz noszenia bielizny, że „proszę zakładać bieliznę”, i tyle. Taki był komunikat od kierowniczk, która ma zarządzać ludźmi. Interesuje się czyimś stanikiem, szczerze mówiąc, zszokowało mnie to – opowiadała.

Kobieta zaznaczyła, że nie nosi stanika od kilku lat dla własnej wygody, ale stara się, aby nie było to widoczne. Justyna nie zastosowała się do zaleceń. Dwa dni później kierowniczk miała złapać ją za rękę i zapytać, dlaczego nie ma biustonosza. – Poczułam się, jakby ktoś mnie obdarł z godności w jednym momencie. Zero szacunku. Poczułam się mega źle, stanęły mi łzy w oczach – relacjonowała.

Firma zaprzeczyła, jakoby powodem zwolnienia był częściowy brak bielizny. „Decyzja o zwolnieniu pracownika została podjęta zgodnie z przepisami prawa pracy i nie miała związku z brakiem bielizny. Jako organizacja dbamy o ochronę wszystkich pracowników przed wszelką dyskryminacją. Bardzo poważnie traktujemy osoby pracujące z nami i dla nas, zawsze działamy profesjonalnie, postępując zgodnie z najwyższymi standardami współczesnego społecznego” – czytamy w oświadczeniu Mateusza Wieczorka, dyrektora operacyjnego firmy MTM Industries.

Podobnie jak w przypadku Giftpolu reakcja internautów była zdecydowanie negatywna. Kaliski producent ma na Google ocenę 2,3/5 i całą masę nieprzychylnych komentarzy.

To był pomysł poprzedniej władzy – zbadać, jaką kondycję sportową mają dzieci w podstawówkach i szkołach ponadpodstawowych. Powody były dwa. Po pierwsze, diagnoza dzisiejszych dzieci. Po drugie, baza danych, z której kluby sportowe – po zgodzie rodziców – mogłyby łatwiej wyłuskiwać tych, którzy mogą wyrosnąć na gwiazdy sportu. Program nazwano zresztą „Sportowe talenty”.

Druga część tego planu została zniszczona. Przy rzekomej dbałości o dane osobowe uczniów znowelizowano ustawę i ustalono, że kluby sportowe i inne podmioty, owszem, będą miały dostęp do wyników testów sprawnościowych uczniów, ale... zanonimizowanych, do celów badawczych lub statystycznych. I tak cała idea wyławiania rokujących w sporcie małych legł w gruzach.

Zamiast „Sportowych talentów” mamy więc „Badanie kompetencji ruchowych uczniów”. Przeprowadzono je wiosną, w poprzednim roku szkolnym. Uczniowie podstawówek z klas IV-VIII oraz szkół ponadpodstawowych musieli podjąć próby sprawności: bieg 10 x 5 m, beep-test (bieg wahadłowy), „deskę” (plank) oraz skok w dal z miejsca. W sumie badanie objęło ponad 3 mln dzieci i młodzieży. Przeprowadziło je 96,5 proc. placówek, a więc nie wszystkie. – To był ustawowy obowiązek, który spoczywał na dyrektorach szkół. Te 3,5 proc. szkół kompletnie lekceważących ustawę budzi mój poważny niepokój i będą podejmowane działania, żeby wyjaśnić, co wydarzyło się w szkołach, że nie zdecydowały się do przystąpienia do programu – zapowiedziała minister edukacji Barbara Nowacka.

SŁABO BIEGAJĄ, SŁABO SKACZĄ

Wnioski, które Nowacka zaprezentowała na niedawnej konferencji wraz z ministrem sportu i turystyki Sławomirem Nitrasem, są niepokojące. Wyniki testu sprawności z tego roku porównano bowiem z wynikami, które wcześniej – w latach 1989, 1999 i 2009 – wykonywał Zakład Teorii Wychowania AWF w Warszawie.

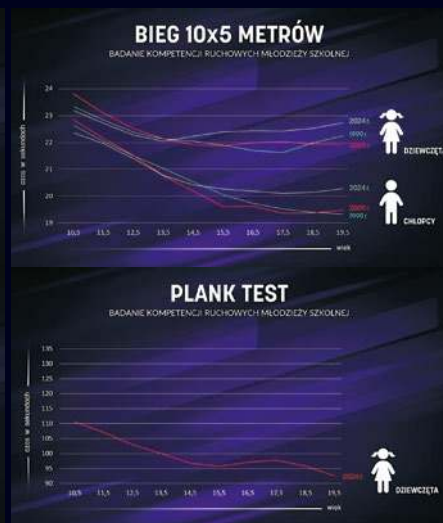
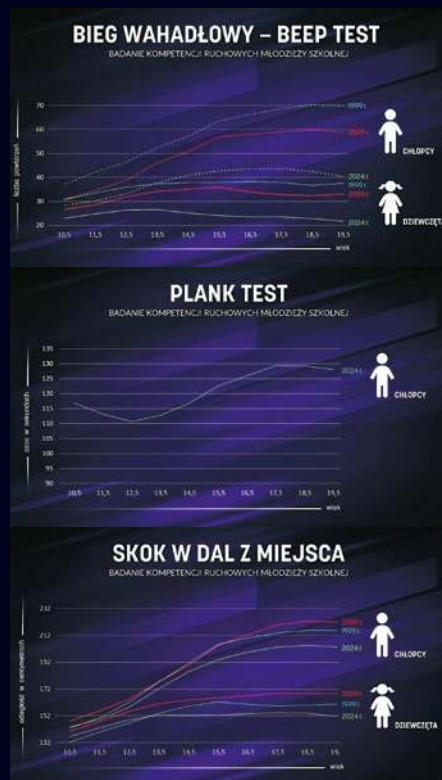
Dzięki temu można było porównać, jak uczniowie radzili sobie ze skokiem w dal i beep testem 25 lat temu i jakie mają wyniki dziś. A mają, niestety, dużo gorsze.

Wychowaliśmy pokolenie łamag



Łukasz Zboralski

Kondycja fizyczna polskich dzieci jest dramatycznie niższa od tej, którą mieli ich rówieśnicy 25 lat temu. A najgorsze jeszcze przed nami – niesprawne pokolenie na starość będzie miało gigantyczne problemy ze zdrowiem



FOT. MINISTERSTWO SPORTU I TURYSTYKI, ADRIAN STOK

Różnice widoczne są już u 10-latków, ale bardzo wyraźne stają się, gdy porówna się 19-latków. – Chłopcy i dziewczynki w 1999 r. byli w stanie skoczyć dalej niż w 2024 r. Różnica sięga nawet ponad 20 cm. To dużo, to wynik gorszy o nawet 10–12 proc. – podkreślał minister Nitras.

Jeszcze bardziej dramatyczny spadek widać w beep teście. W 1999 r. chłopcy w wieku 18–19 lat potrafili podczas takiego biegu wahadłowego wytrzymać aż 70 powtórzeń. Obecnie zaledwie 40. Dziewczeta w tym wieku 25 lat temu dociągały do prawie 40 powtórzeń, a dziś średnio udaje im się wykonać niewiele ponad 20.

Zatrważająca jest też inna statystyka. Testy pokazały jasno, że w pewnym wieku dzieci zaczynają mocno tracić sprawność fizyczną. Tu druzgocząc wręcz wyniki przyniósł plank u dziewcząt. Dziesięciolatki utrzymywały „deskę” najdłużej, bo średnio 110 sekund. Ale z każdym kolejnym rokiem życia dziewczeta wytrzymywały coraz mniej. Te w wieku 19 lat potrafiły średnio wytrwać zaledwie nieco ponad 90 sekund. U chłopców ten spadek był widoczny dopiero od 16. roku życia i nie był tak gwałtowny, bo z czasu ok. 130 sekund wytrzymałość obniżała się o dwie sekundy w wieku 19 lat.

Podobnie przedstawiają się wyniki dotyczące biegu wahadłowego 10 razy 5 metrów. – Około 15–16. roku życia czas potrzebny na wykonanie tego ćwiczenia rośnie, co oznacza, że kompetencja ruchowa naszej młodzieży maleje – wskazywał Sławomir Nitras.

STYL ŻYCIA, STYL WYCHOWANIA

Nie jest trudno odgadnąć, dlaczego polskie dzieci są coraz mniej sprawne fizycznie. Styl życia przez 25 lat zmienił się radykalnie. Dzieci spędzają coraz mniej czasu na aktywności na zewnątrz domów, a coraz więcej patrzą w ekrany smartfonów, komputerów i telewizorów. Nie pomagają im też coraz bardziej przetworzona żywność. Dodajmy do tego coraz większą – czasem być może wynikającą z nadopiekuńczości – wrażliwość młodych ludzi, dla których lekcja wychowania fizycznego i próba sił stały się nieznośną katorgą psychiczną. Wynik takiej mieszaniki to katastrofa, nie tylko fizyczna.

Warto tu przypomnieć „Ogólnopolskie badania jakości życia dzieci i młodzieży w Polsce” przeprowadzone w 2021 r. przez Rzecznika Praw Dziecka. Już wtedy wskazano, że co 10. uczeń klasy II szkoły podstawowej praktycznie w ogóle nie jest aktywny fizycznie – a wśród uczniów klas VI dotyczy to 12 proc. Wśród młodzieży aktywności fizycznej nie wykazywało aż 27 proc. I miało to głębokie konsekwencje dla zdrowia, także psychicznego. „Aż 19 proc. najmłodszych uczniów szkół podstawowych czuje się chorych, wyczerpanych fizycznie i brakuje im energii życiowej. Z wiekiem odczucia te się nieznacznie polepszają – źle się czuje 16 proc. uczniów VI klas szkół podstawowych i 15 proc. uczniów II klas ponadpodstawowych” – pisał w komunikacie z badań RPD.

Nie jest niczym nowym także wiedza o tym, że aktywność fizyczna znacznie ogranicza problemy związane np. z depresją. Czy zatem tak fatalne zaniedbanie naszych dzieci pod względem uprawnia-

gier sportowych) ogranicza możliwości korzystania w wieku dorosłym z atrakcyjnych form wypoczynku (nabycie tych umiejętności w okresie dorosłości jest trudne). Może także stwarzać większe zagrożenie wypadkami i urazami (np. utonięcia, upadki)” – pisała w 2010 r. prof. dr hab. med. Barbara Woynarowska („Podręcznik Polskiego Forum Profilaktyki”, red. prof. dr hab. Piotr Podolec, Medycyna Praktyczna, Kraków 2010).

CO Z TYM ZROBIMY?

Ministerstwa na podstawie testów sprawnościowych chcą działać. Będzie większy nacisk na prowadzenie lekcji WF już na poziomie wychowania wczesnoszkolnego w klasach I–III. Powołany zostanie też specjalny zespół, który ma zaplanować zmiany programowe w lekcjach wychowania fizycznego.

Tylko czy szkoła może nadrobić to, czego dzieci nie otrzymują jako wzór z domu? Wątpliwe. I zauważył to minister sportu. – Chcemy pomóc waszym dzieciom, istnie-

Sprawność dzieci załamuje się wraz z wiekiem. Szczególnie widoczne jest to u dziewczynek. Od 13. roku życia ich kondycja fizyczna zaczyna się pogarszać

nia sportu nie przynosi w konsekwencji tylu nagłaśnianych obecnie problemów zdrowia psychicznego?

A to dopiero początek. Brak nawyku w aktywności fizycznej to prosta droga do poważnych kłopotów z tym pokoleniem, które zacznie się starzeć. Brak aktywności ruchowej po 50. roku życia szybko prowadzi do niesprawności. Pokolenie szkolnych łamag zamieni się w przedwcześnie niesprawnych i schorowanych seniorów. Ich życie będzie gorsze, a jego koszt – dla całego społeczeństwa – znacznie wyższy.

„Niski poziom aktywności fizycznej w dzieciństwie, nierozbudzenie potrzeby systematycznych ćwiczeń i zajęć ruchowych oraz zaniedbania w edukacji fizycznej dzieci powodują, że wchodzą one w dorosłe życie jako »analfabeci ruchowi« i nadal są mało aktywni fizycznie. Brak podstawowych umiejętności (np. pływania, jazdy na nartach,

je obawa, że wasze dzieci w waszym wieku będą mniej sprawne, niż jesteście wy. Bez waszego wsparcia, bez zrozumienia tego problemu, bez świadomości wyzwania, przed jakim stoimy, bez waszej pomocy my tego procesu sami nie przeprowadzimy – powiedział Nitras.

Minister trafił w sedno. Skoro dzieci dziś same nie spędzają czasu „na trzepaku”, to tym bardziej potrzebni im są dorośli w otoczeniu, którzy pokazują, jak można aktywnie i miło spędzać czas. Ilu rodziców kładzie się dziś na tapczanie z dziećmi, otwiera przekąski i włącza seriale streamingowe, a ilu potrafi zabrać je na wspólną wyprawę rowerem, zagrać z nimi w badminton, siatkówkę czy pokopać piłkę na boisku?

Jeśli obecne pokolenie rodziców nie pomoże własnym dzieciom wydostać się z letargu fizycznego, to żadna poprawiona lekcja WF tego za nich nie zrobi.

Grzechy ojców



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE



Piotr Gociek

Jürgen mówi, że nic nie pamięta. Brigitte neguje Holocaust. Kai został księdzem. Poznajcie potomków komendanta Auschwitz, Rudolfa Hössa

Dzieciństwo miałem bardzo szczęśliwe – mówi Jürgen. Zdjęcia to potwierdzają, widzimy idyllę: tu bawi się z siostrą i bratem w pięknym ogrodzie. Tu pływa z tatą kajakiem po rzece, a tu siedzi w wielkim samolocie zabawce.

Jürgen ma na nazwisko Höss, dom stoi obok niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz, samolot zbudowali więźniowie na rozkaz taty. Żydzi? „Nie, chyba Polacy” – odpowiada Jürgen. Tyle czasu minęło, trudno wszystko spać. Ale jedno Jürgen pamięta na pewno: nigdy

nie wiedział, co tata tak naprawdę robił. Rano wychodził do pracy, po południu wracał. Czasem w domu podpisywał jakiś papier. Tata nazywał się Rudolf Höss i był komendantem Auschwitz.

STRACONA SZANSA

Dokumentalny film Daniela Völker „Cień komendanta” („The Commandant's Shadow”, 2024) można potraktować jako erratę do kinowego arcydzieła Jonathana Glazera „Strefa interesów”. Oglądać go można w serwisie Max, wchodzi też właśnie na ekrany wybranych polskich kin. Czy broni się także jako dzieło osobne? Do pewnego momentu tak – dopóty, dopóki założona z góry koncepcja nie stanie się przeszkodą w filmowym dochodzeniu. Wtedy okaże się, że jest i propozycją ciekawą, i straconą szansą.

Oczywiście skojarzeń z filmem Glazera nie możemy uniknąć, bo to, co oglądamy na ekranie w dokumencie, widzieliśmy niedawno odtworzone w filmie fabularnym. Co więcej, dopiero po obejrzeniu „Cienia komendanta” w pełni docenić możemy drobiazgowość i maestrię twórcy

„Strefy interesów”. W obu produkcjach oglądamy bowiem dokładnie ten sam świat, te same mury, często te same sceny. Nie mam wątpliwości, że te same stare fotografie, które przegląda Jürgen Höss, były materiałem źródłowym, który perfekcyjnie wykorzystał Glazer. Podobnie jak autobiografię Rudolfa Hössa napisaną już w więzieniu, zanim 15 kwietnia 1947 r. skończył na szubienicy.

U Daniela Völker widzimy nie tylko Jürgeną unikającego odpowiedzi na trudne pytania. Na ekranie pojawia się także Kai, wnuk Rudolfa i syn Jürgeną, pastor ewangelicki, przedstawiciel pierwszego pokolenia, które ma odwagę zmierzyć się z koszmarną przeszłością rodziny. Rudolf był mózgiem największej maszyny zagłady w dziejach ludzkości. Jürgen do perfekcji opanował sztukę wypierania prawdy. Dopiero Kai konfrontuje z tą prawdą i siebie, i ojca, i przy okazji widzów. Jürgen kluczy i zaprzecza. Pytany, czy naprawdę nie pamięta dymu, smrodu palonych ciał, dantejskich scen (okna dziecięcej sypialni wychodziły na krematorium), za każdym razem upiera



REŻ. DANIELA VÖLKER
„CIEN KOMENDANTA”
2024

się, że nie. Opowiada, że demaskatorskiej autobiografii Rudolfa nigdy nie czytał. „Jak to? – odpowiada Kai – przecież pamiętam, że stała u nas w domu na półce”.

Jako opowieść o milczeniu i przemilczeniu „Cień komendanta” ukazuje jego dwa rodzaje. Oto przed kamerą Daniela Völker pojawia się inna rodzina. Anita Lasker, Żydówka urodzona w Breslau, żyła po drugiej stronie drutów, była więźniarką w Auschwitz. Jej rodzice zginęli na Zamojszczyźnie. Anita przeżyła tylko dlatego, że grała na wiolonczeli, a akurat wiolonczelistki brakowało w obozowej orkiestrze. Swoich muzykantów mieli komendanci wszystkich obozów zagłady, Höss nie chciał być gorszy. Grali dla rodziny, dla strażników, ale przede wszystkim przygrywali więźniom maszerującym do miejsc przymusowej pracy. Anita Lasker także przez większość życia milczała. „Gdy przybyliśmy do Anglii – mówi – nikt nie pytał nas o Auschwitz”. Nie pytano, więc nie opowiadała. Zajęła się wychowaniem córki.

Maya, córka Anity, okazuje się osobą dotkniętą głęboką traumą, przepełnioną pretensjami do matki o trudne dzieciństwo i zmarnowane życie. Milczenie ocalałej, chłód kobiety, która widziała piekło na ziemi, a potem jako rodzic nie potrafiła wykrzesać z siebie emocji, to kolejny ślad Auschwitz w życiu następnego pokolenia. Maya buntuje się, konfrontuje z matką, wreszcie przeprowadza do Berlina, by spróbować odzyskać życie, którego wojna Hitlera pozbawiła jej rodzinę. Zaczyna określać się mianem „aktywistki”, chce upamiętnić zamordowanych dziadków, chce przypominać o Holokauście. W Niemczech spotyka ją rozczarowanie: antysemityzm wciąż jest żywy, a Niemcy kłopotliwe kwestie z przeszłości najchętniej chcieliby przemilczeć – tak jak matka Mai.

Pomysł reżyserki filmu był prosty: pokazać, jak zbrodnie komendanta Auschwitz kładą się głębokim cieniem na życiu kolejnych generacji – i u dzieci ofiar, i dzieci oprawców. Nakreśliwszy ten obraz, Daniela Völker prowadzi swoich bohaterów – Jürgena i Kaia Hössów oraz Mayę Lasker – do spotkania, które oczywiście musi mieć miejsce na terenie

muzeum w Auschwitz, tam, gdzie wciąż stoją baraki, krematoria, szubienica, na której zawisł Rudolf Höss. I tam, gdzie nadal stoi dom, w którym Jürgen miał spędzić swoje „szczęśliwe dzieciństwo”.

Problem w tym, że ta budowana długo kulminacja nie porusza tak bardzo, jak powinna. Nie winię za to ani bohaterów, ani autorów filmu „Cień komendanta”. Rozmiary zbrodni

III Rzeszy, potworność zorganizowana na zlecenie Himmlera przez Rudolfa Hössa to po prostu rzeczy zbyt przytłaczające.

Cóż można zrobić w obliczu konfrontacji z bezmiarem zła? Banalne „nigdy więcej” albo „straszna, straszna zbrodnia” wypowydane są w dobrej intencji. Ale ileż razy już je słyszeliśmy? Daniela Völker porusza się także po bardzo dobrze znanym terytorium, gdy dokręca do swej opowieści epilog w Izraelu: oto państwo powstałe, by dać bezpieczne schronienie ofiarom. Kto naprawdę nie chce powtórki z historii, musi Izrael wspierać. Tę argumentację też już słyszeliśmy, z różnych ust i z różnymi intencjami wypowydaną.

Żegluje więc autorka „Cienia komendanta” wprost do portu, który postanowiła osiągnąć już na początku podróży, i nie zawsze zwraca uwagę na to, co przy okazji egzorcyzmowania Rudolfa Hössa udało się jej odkryć. A były okazje. Prześlizguje się np. nad tym, kto właściwie we współczesnych Niemczech i z jakich powodów szerzy antysemityzm. Prawdziwe śledztwo w tej sprawie byłoby równie bolesne, jak przesłuchiwanie dzieci komendanta Auschwitz, a mogłoby wieść do nieoczekiwanych efektów, nieprzyjemnych zarówno dla społeczeństwa niemieckiego, jak i przybyłych do Niemiec imigrantów z krajów arabskich i fetującej ich lewicy.

TAJEMNICE DO WYJAŚNIENIA

Prawdziwie intrygujący moment widzimy, gdy po latach spędzonych w ukryciu Hedwig Höss zeznaje w 1964 r. przed sądem. Dowiadujemy się, że nie za bardzo ma z czego żyć, gdyż nie przysługują jej żadne zasiłki (jako wdowie po zbrodniarzu wojennym). Pytana, czy utrzymuje kontakty z dawnymi kamratami męża, przecza. Ale słyszymy nagle, że przycho-

dziły do niej jakieś tajemnicze przesyłki z Ameryki Południowej. Oto kolejna tajemnica, która domaga się wyjaśnienia, ale Daniela Völker szybko przechodzi nad tym do porządku dziennego. Niewiele dowiadujemy się więc o Hedwig, która wszystko wiedziała i nie wahała się budować szczęścia rodziny Hössów na łupach z Auschwitz, a dziś spoczywa na jednym z amerykańskich cmentarzy pod płytą z krótkim napisem „Mutti”.

O mamie bardzo ciepło opowiada Brigitte, siostra Jürgena, którą po ponadpółwiecznej rozłące spotyka w Ameryce. W kwestii Auschwitz ma do powiedzenia niewiele, ale i to wystarcza, byśmy unieśli brwi w zdumieniu. Na przykład: „Wszyscy mówią o tym, jak wielu ludzi zginęło w obozie. To w takim razie skąd się wzięli ci wszyscy, którzy przeżyli?”. Brigitte uciekała z Niemiec do Hiszpanii, tam zrobiła karierę modelki, m.in. u słynnego Balenciagi. Postać córki Hössa to kolejny element filmowego śledztwa, który wręcz woła o to, by go zgłębić. Polecam lekturę prasowych artykułów w sieci: ponad 35 lat pracowała w Waszyngtonie w sklepie żydowskiej rodziny ocalałej z Holokaustu. Żyła w nieustannym lęku, że Żydzi będą się mścić, bo nie nawidzą wszystkich Niemców. Wszystkie te boczne tropy są bardzo interesujące i wszystkie zostają odrzucone.

Są jednak w filmie Völker chwile, w których emocje rozsadzają kadr. I nie chodzi tu ani o cierpienie rodziny Laskerów, ani o odkrywanie prawdy przez sędziwego Jürgena. Głęboko cierpiącym wśród żywych okazuje się Kai, wnuk komendanta Auschwitz, który zmaga się nieustannie ze starotestamentowym przesłaniem o Bogu zazdrosnym, który „karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia” (Księga Wyjścia 20, 5). Kim jestem? Jaką winę niosę? Czy odpowiadam za grzechy ojca? – Kai Höss nieustannie powraca do tych pytań przed kamerą i w kazaniach. Tylko na chwilę przebłytek podobnej refleksji pojawia się u Brigitte, umierającej w bólu na raka: Czy to cierpienie spadło na nią z powodu jakichś przewin? Czyich? Film „Cień komendanta” najciekawszy jest w tych chwilach nie wtedy, gdy mówi o pojednaniu, lecz gdy staje się zwierciadłem dla udrećzonej duszy.



Złamane serce wieszczki narodowego



Tomasz Z. Zapert

13 września do kin wszedł film „Niepewność. Zakochany Mickiewicz”

Gdzie się spotkali? Kiedy trafiły ich strzały Amora? Jakie były reperkusje tego uczucia? Film nie tylko rekonstruuje legendarny romans, lecz także ukazuje narodziny nowej epoki. Na tle raczkującego romantyzmu Polacy marzą o odzyskaniu niepodległości. I usiłują swe pragnienie wcielić w czyn poprzez działalność konspiracyjną. Dojrzewanie Adama Mickiewicza, jego afekt oraz twórcze inspiracje oglądamy na tle pejzażu ziemiańskiej posiadłości.

Początkujący poeta spędza lato w dworku opodal Nowogrodka. Razem ze studenckimi rówieśnikami, Tomaszem Zanem oraz Michałem Wereszczaką, ćwiczą fechtunek i jazdę konną. Są gotowi walczyć o wolną Polskę. W oko Adama wpada siostra przyjaciela, Maryla. Przeżywają pierwszą miłość, wkrótce wystawioną na próbę.

Rozmowa z Aleksandrą Piotrowską, aktorką grającą Marylę Wereszczakównę

TOMASZ Z. ZAPERT: Kino kostiumowe to dla aktorów szczególne wyzwanie?

ALEKSANDRA PIOTROWSKA: Myślę, że każdą rolę powinniśmy tak traktować, lecz rzeczywistość w filmie kostiumowym „z marszu” się nim staje. Takie zadanie to nie jest raczej coś, co się ma w swoim „skarbczyku”, ot tak. Nad tym trzeba chwilę podumać, poczytać i przewidywać, co może się wpisywać w taką formę, a co nie.

Na moje „przenoszenie się w czasie” w naszym filmie najbardziej wpłynęły scenografia i lokacje. Te miejsca były naprawdę magiczne. Kręciliśmy nawet w dworku, gdzie ekranizowano „Pana Tadeusza”. Nie mogłam się doczekać,

co przyniesie kolejny dzień. Wchodząc na plan, „skanowałam” rewiry, w których mieliśmy grać. Wyobrażałam sobie sceny z dzieciństwa granej postaci w konkretnych miejscach, wyteżałam zmysł zapachu, obserwowałam światło i przepływ powietrza. To wszystko na potrzeby roli, choć poza tym, że to jest część pracy, to była także świetna zabawa. Czułam się niesamowicie, nawet „mistycznie”, mogąc cofnąć się o 200 lat.

Wizerunek Maryli Wereszczakówny tworzyła pani jedynie intuicyjnie czy też może posiłkując się archiwaliami?

Jedno nie istnieje bez drugiego. Scenariusz napisano na kanwie materiału źródłowego, więc i ja się nim wspomałam. O Maryli przeczytać możemy, że była ekscentryczką, wymykała się standardom zachowania panienek z tamtej epoki. Miała coś błyskotliwego w oczach, „więcej marząca niż myśląca”. To zdanie lubię chyba najbardziej, bo nie słyszę go w takim znaczeniu, że była głupia – tego na pewno zarzucić jej nie możemy. Chodziło bardziej o to, że odbierała świat niezmiernie emocjonalnie. Bardzo mocno odzwierciedlała to, co jej przynosił, a że nie okazał się dla niej łatwy (mimo dobrego statusu finansowego nie miała najzdrowszego życia wewnętrznego), to usiłowała przebudować go po swojemu. I ten jej mikrokosmos się burzył.

Konstruuje swą rolę poprzez połączenie tego, co intuicyjne, „człowiecze”, pierwotne, a zarazem uwzględniające to, co o Wereszczakównie przeczytałam. Bardzo poruszający jest jej list do Tomasza Zana po tym, jak odrzuciła Mickiewicza i bardzo tego żałowała. Bliscy zapewniali ją, że wybierając Wawrzyńca Puttkamera, nawet jeśli nie odnajdzie pełni szczęścia, to na pewno zazna spokoju. Wypiła te słowa, pisząc, że spokojna nigdy nie będzie. W końcu cały czas jej dusza połączona jest z Mickiewiczem. Ten list wciąż rezonuje. Nie trzeba czuć ducha tamtych czasów, żeby go odczuć. Nasze emocje się nie zmieniały, próbujemy radzić sobie na inne sposoby, znajdować rozmaite wentyle, ale w głębi mamy te same potrzeby, wątpliwości i rozterki.

Bohaterka początkowo kieruje się wyborem serca, ostatecznie jednak ulega środowiskowym konwenansom. Jak udało się oddać przed kamerą

huśtawkę nastrojów wywołaną przez tercet adoratorów?

To pytanie do widza. Gdy staram się z dystansu spojrzeć na swoją rolę, wydaje mi się, że nie wyszła najgorzej, chociaż czułam lekką irytację bohaterką początkowo zachowującą się trochę jak rozkapryszone dziecko, a potem uwodzącą Mickiewicza i nieco się przed nim „mizdrzącą”. Ostatecznie jednak coraz bardziej zaczynałam ją lubić, aż w końcu było mi jej niesamowicie żal.

W filmie przez długi czas nie wiemy, że jest ona zaręczona z innym mężczyzną. Odnoszę wrażenie, że Maryla jakby zapomina o Puttkamerze. Jednak nie jest to przecież narzeczeństwo z wyboru. Już sama sytuacja, kiedy narzuca się, kogo kochać, jest mocnym paliwem do tego, żeby zachowanie nie było w pełni szlachetne. Bo jeżeli ktoś jest w głębi duszy nieszczęśliwy odgórnym wyborem wpływającym na resztę jego życia, to uzasadniona będzie reakcja wypierająca takie narzeczeństwo.

Maryla bardzo pragnie miłości, tylko płacze się w swoich wyborach. Buntuje się, jest nonszalancka, a równocześnie trawiona lękiem przed przyszłością. Może boi się tej prawdziwej miłości? Może zмага się z jednym z problemów psychicznych czy neurologicznych, o którym teraz dużo i głośno mówimy? To jedynie hipotezy. Kiedy to grałam, nie do końca wiedziałam, o co mi – Maryli – chodzi. Ten wybór był bardzo impulsywny, jak większość działań, które podejmowała. Mam na myśli ostateczne rozstanie z Mickiewiczem, choć – jak wiemy – słowo „ostateczne” w przypadku ich historii nie jest do końca trafne.

Co na planie sprawiło najwięcej kłopotów?

Chyba warunki atmosferyczne. Próbowaliśmy się na coś przygotować, wchodziliśmy sobie myślowo w jakąś sekwencję, a tu przed kamerą dekoncentrują nas wiatr, upał, deszcz albo chłód. Proza planu filmowego, którą należy szybko zaakceptować. Przywyknąć do tego, że chronologia i konsekwencja (a w przypadku Maryli kontrolowana przeze mnie, jako aktorkę, niekonsekwencja), którą sobie „ułożyłam w domku”, właśnie idzie do śmietnika, gdyż realizujemy najpierw scenę szesnastą, a dopiero za pięć dni tę pierwszą.

Rozmowa z Piotrem Mikołajczakiem, producentem filmu

TOMASZ Z. ZAPERT: Czy rozważono pomysł, by zdjęcia powstały w autentycznej scenerii, czyli na Litwie?

PIOTR MIKOŁAJCZAK: Ze względów czysto budżetowych łatwiej nam było zrealizować film w Polsce. Jestem przekonany, że wybrane lokalizacje nie odbiegają urokiem od litewskich. Poza tym nie mieliśmy aż tak bardzo charakterystycznych obiektów jak np. Ostra Brama, toteż nie było w zasadzie powodu do sąsiedzkiej podróży.

Gdzie znaleziono plenery i wnętrza?

Między innymi w Muzeum Architektury Drewnianej Regionu Siedleckiego w Nowej Suchej, w Dworze w Turowej Woli oraz w Muzeum Adama Mickiewicza – Pałacu w Śmiełowie. Zdjęcia przyrody powstały na Mazurach.

Obsadę wyłoniono poprzez casting?

Większość aktorów zaangażowano tą drogą, lecz sama postać Mickiewicza – czyli Nikodem Rozbicki – siedziała w głowie reżysera od samego początku i z tego, co wiemy, nie miał konkurencji. No i – jak państwo w filmie zobaczą – nie miał.

Historyczne kino wymaga wysokich budżetów...

Z jednej strony to duży luksus, z drugiej ogromna odpowiedzialność, a z trzeciej przekleństwo dla producenta, ponieważ zebranie tak dużej liczby środków często graniczy z cudem. Tu się powiodło, dlatego wyszedł tak urodziwy film, z magiczną scenografią Magdy Widelskiej i przepięknymi kostiumami Marty Grudzińskiej. Oddający ducha tamtych czasów, atmosferę i klimat epoki. Zapewne każdy z wykonawców miał swój kłopot, gdyż nie wszyscy trenowali szermierkę, siedzieli w siodle, chodzili na szczudłach czy pisali gęsim piórem. Dla mnie jak zwykle najważniejsze było bezpieczeństwo przy arcyefektywnych scenach kaskaderskich.

Dlaczego film nie znalazł się na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni?

Nie wiem, należy pytać selekcjonerów tej imprezy. Jestem ciekawy, czy inne produkcje przyjęte do Gdyni będą na takim



poziomie realizacji jak nasz. Jeśli tak, to oddam honor, ale z doświadczenia wiem, że często wybory jurorów chodzą „pijanymi drogami”. Film się obroni albo nie, w kinach, bo – jak mawia się w tej branży – „ludzie głosują nogami”. Frekwencja pokaże, czy szanowne jury miało rację.

A kiedy zobaczymy wersję serialową?

Niestety, do tej pory nie udało się nam tego dowiedzieć. Chaos panujący od dłuższego czasu w TVP nie sprzyja promocji filmu. Biuro programowe milczy też poetycko w sprawie serialu – niczym Sfinks. Chyba taka koncepcja. Nie rozumiem tego, przecież jest się czym chwalić... Jednak w głowach decydentów z ul. Woronicza najpierw były Euro, później igrzyska olimpijskie, a potem plenery biesiady. Z tego, co wiem, filmy i seriale są teraz w ostatniej „kolejności odświeżania”. Przykre to, ale – cytując klasyka – „taki mamy klimat”.

Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński czy Cyprian Kamil Norwid również byli kochliwi. Może należy zilustrować to kamerą?

Bezwzględnie warto, niemniej jestem realistą i niestety nie mam w tej sprawie dobrych wieści. Poprzednia władza nie szczędziła pieniędzy na projekty tożsamościowe. Ta jest chyba tak bardzo europejska, że nie dostrzega korzeni. Obawiam się, że skończyły się dobre czasy dla filmowców i kultury, szczególnie w kontekście polskich bohaterów i historii. Cieszyć się więc z tego, co powstało, chociaż – szczerze mówiąc – jest to uśmiech przez łzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„NIEPEWNOŚĆ. ZAKOCHANY MICKIEWICZ”

REŻYSERIA: WALDEMAR SZAREK

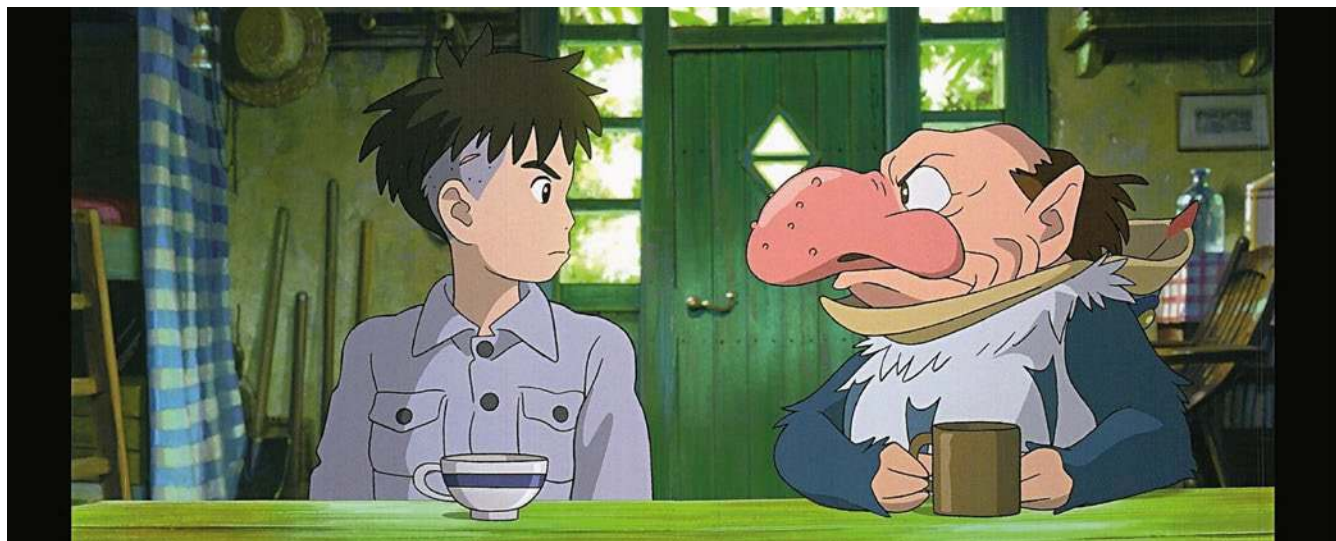
SCENARIUSZ: ZUZANNA SZAREK, WALDEMAR SZAREK, PAWEŁ JUREK

ZDJĘCIA: BARTOSZ PIOTROWSKI

MUZYKA: ANDRZEJ JAGODZIŃSKI

PRODUCENT: PIOTR MIKOŁAJCZAK

Obsada: Nikodem Rozbicki, Aleksandra Piotrowska, Marek Kalita, Piotr Garlicki, Andrzej Mastalerz, Dorota Landowska, Adrian Zaremba, Antoni Sałaj, Paweł Charyton, Łukasz Garlicki



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

polsat box go

NH nowe horyzonty

Życie to sen



★★★★★
REŻ. HAYAO MIYAZAKI
„CHŁOPIEC I CZAPLA”
 („KIMI-TACHI WA DŌ IKIRU KA”)
JAPONIA 2023

Hayao Miyazaki to geniusz animacji i jeden z najważniejszych japońskich reżyserów. A animacja to nie gatunek, lecz jeden z języków kina. Nie należy utożsamiać jej z kinem dla dzieci. Można tym językiem mówić rzeczy głupie lub tylko śmieszne, ale można i głębokie oraz piękne. Miyazaki mówi te drugie.

Pracując nad „Chłopcem i czapłą”, inspirował się jedną ze swych ulubionych powieści Genzaburo Yoshino (z roku 1937), ale zaczerpnął z niej niewiele – książka była osadzoną w czasach przedwojennych historią nastolatka, nad którym w szkole znęcają się rówieśnicy. W filmie Miyazakiego ten motyw się pojawia, ale najważniejsze jest co innego: akcja rozgrywa się już podczas wojny, Tokio płonie pod

bombami aliantów, a w jednym z pożarów ginie matka głównego bohatera. Mahito wraz z ojcem przenosi się na prowincję, gdzie szybko poznaje nową mamę: tatę poślubia siostrę zmarłej żony. Mahito czuje się odrzucony – i przez rówieśników, i przez rodzinę.

Jak to bywa u Miyazakiego, obok realnego świata istnieje świat magiczny, w którym baśniowe krainy pełne są mówiących zwierząt, przedziwnych wędrowców i tajemniczych stworów. Podróż między światami stanie się dla Mahito okazją do ozdrowienia. A ozdowiec oznacza w tym przypadku pojęć nieuchronność przemijania, pogodzić się ze stratą i zrozumieć, że choć w świecie dzieją się rzeczy niezrozumiałe i straszne, to

jednak można w nim żyć. I nie musi to być życie pełne bólu i rozpacz.

Jednocześnie świadomy jestem, że oferuję tylko jedną z wielu możliwych warstw odczytania tej historii. Jest tak przepełniona symbolizmem, tak bogata w znaczenia, że można mnożyć interpretacje. Pierwszym pokazom filmu w Japonii (gdzie trafił do kin bez żadnej tradycyjnej akcji promocyjnej) towarzyszyło przesłanie od reżysera: „Być może nie rozumiecie tej opowieści. Ja sam jej nie rozumiem”.

Miyazaki twierdzi, że „Chłopiec i czapla” to jego ostatni, pożegnalny film, ale przecież już raz się z nami żegnał (filmem „Zrywa się wiatr”, który recenzowałem i rekomendowałem w „Do Rzeczy” 5/2015), a potem zmienił zdanie. Liczę na powtórkę, bo świat jest lepszy dzięki opowieściom japońskiego mistrza – nawet jeśli czasem nie do końca je rozumiemy. Jest w nich wiele grozy, to prawda, ale jest i czyste piękno. ©



NOWE SERIALE: „PINGWIN”

Nie bez powodu pierwsze opowieści o Batmanie ukazywały się pod szyldem „Detective Comics” – najważniejsza była w nich walka z bandziorami. Twórcy serialu „Pingwin” idą jeszcze dalej: Batman nie jest im do niczego potrzebny, bo opowiedzieć chcą o samych bandziorach, znaczy o walce

o władzę w przestępczym półświatku Gotham. Główny chętny to Oswald Cobblepot „Pingwin” (Colin Farrell), któremu nie wystarcza już pozycja cyngla w gangsterskiej rodzinie Falcone. © © Piotr Gociek
• miniseria „Pingwin” („The Penguin”), USA 2024, Max



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• miniseria „To zawsze Agatha” („Agatha All Along”), USA 2024



• reż. Mitja Okorn „Bokser”, Polska 2024



• sezon 2 „Frasier”, USA 2024



KINO

Geniusz bez maski

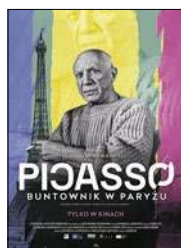
Picasso przebywa w zaświatach, ale jego legenda jest żywa. Miałyby się jeszcze lepiej, gdyby mistrzowi tak często nie wytykano paskudnego charakteru. Wyrachowany narcyz, pyszałek i macho, stale poniżał kobiety i wcale się tego nie wstydił. Jak rozbroić genderową bombę, zanim jej eksplozja obali monument, wzniesiony wysiłkiem krytyków sztuki i samowznających autorytetów?

Wystarczy udowodnić, że autor „Panien z Awinionu” nie był aż takim potworem jak Weinstein: wszak obdarzył muzy i kochanki częścią własnej sławy oraz przyjaźnił się z homoseksualistami. Zresztą „każdy twórca jest drapieżnikiem”. Dokument, nakręcony z okazji 50.

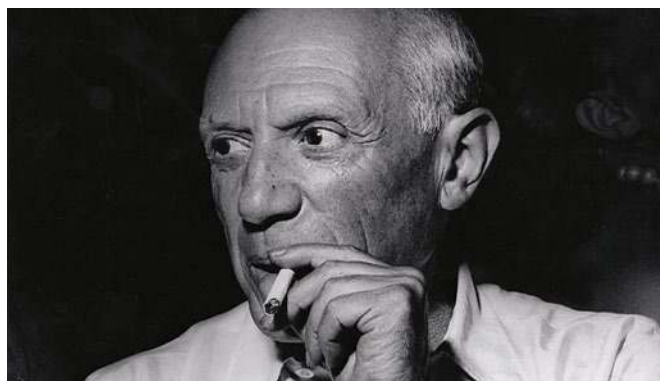
rocznicy śmierci Hiszpana, ma energię, której opowieści o popularnych artystach najczęściej są pozbawione. Po części jest monodramem irańskiej aktorki Miny Kavani, która – tak jak drzewiej Pablo – zakotwiczyła w Paryżu. Biedny imigrant, źle traktowany przez urzędników, podejrzewany przez policję o czyny kryminalne – czyż to nie brzmi współcześnie? Spad-

kobiercami bohemy sprzed lat stu jawią się utalentowani squatterzy tudzież neokubiści, urzeczni afrykańskimi maskami, dzięki którym Geniusz Sztuki Nowoczesnej mógł wymyślić się na nowo. Paryskie muzeum, przechowujące kolekcję i archiwum Picassa, umie zadbać o reklamę. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. SIMONA RISI
„PICASSO.
BUNTOWNIK
W PARYŻU”
WŁOCHY 2023



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z ŻYCIA MARIONETEK

KINO

Tryptyk o toksycznych związkach i ludziach dokonujących złych wyborów. Na upartego w fabule można się doszukać biblijnych inspiracji, lecz Boga tu nie uświadczysz. Diabeł natomiast jest wszechobecny. W pierwszej noweli przybiera postać pracodawcy, kontrolującego każdy aspekt życia podwładnych. W trzeciej – guru sekty poszukującej dziewczyny, obdarzonej nadprzyrodzoną mocą. Środkową opowiastkę mógłby zrodzić chory umysł Phillipa K. Dicka: Jak daleko można posunąć się w spełnianiu zachcianek ukochanej osoby? Sukces „Faworyty” i „Biednych istot” najwyraźniej rozbestwił greckiego reżysera. Paranoicznie-absurdalne „Rodzaje życzliwości” testują granice odporności widzów i aktorów (z wyjątkiem Willema Dafoe, ponieważ rola władcy marionetek to dla niego sam miód). Szyderczy finał pozwala podejrzewać, że Lánthimos po prostu nie lubi świata i ludzi. Nadejdzie kiedyś chwila, gdy odpląć mu tym samym. © ©



wyst. Jesse Plemons, Emma Stone, Willem Dafoe

★★★★★
REŻ. YÓRGOS LÁNTHMOS
„RODZAJE
ŻYCZLIWOŚCI”
USA/WIELKA
BRYTANIA/
IRLANDIA 2024

CHŁOPAK NA TIP-TOP



Gdy jurny inżynier Żarnowski obnaża tors, panna z dobrego domu spuszcza oczęta, lecz w myślach już widzi się jego małżonką. Komedia „Czy Lucyna to dziewczyna?”, która 90 lat temu wtargnęła na ekrany polskich kin, była dziełem mimowolnie przełomowym. Oprócz fabularnych klisz, damsko-męskich stereotypów i perlistego śmiechu Smosarskiej oferowała skok w nowoczesność. Przede wszystkim obyczajową. Kochających inaczej nikt nie potępia, papieros w rękę to symbol postępu. Warszawa – miasto nowoczesnych fabryk, nocnych klubów, rozwiązanych sekretarek, niewiernych małżonków, łaknących uwielbienia dam – da się lubić. Nawet na trzeźwo. Piosenka jest tylko jedna, ale za to jaka! Henryk Wars wymyślił dla „O'key” multum aranżacji. Film z udziałem najpopularniejszej aktorskiej pary II RP pokazywano również w III Rzeszy. Ciekawe, czy się tam spodobała? © ©



wyst. Jadwiga Smosarska, Eugeniusz Bodo, Mieczysława Ćwiklińska

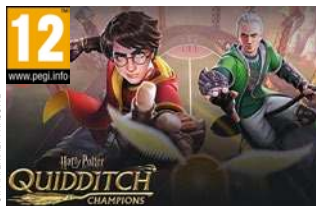
★★★★★
REŻ. JULIUSZ GARDAN
„CZY LUCYNA TO
DZIEWCZYNA?”
POLSKA 1934

Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „HARRY POTTER: MISTRZOWIE QUIDDITCHA”

Coś dla fanów Harry'ego Pottera. I to zagorzałych fanów. Mugole powinni zastanowić się dwa razy, nim sięgną po portfele. Kampania kończy się szybko, sieciowa rozgrywka dość prędko się nudzi, a trybu kanapowego (który

mógłby się sprawdzić i uczynić grę kandydatką na imprezówkę) brak. Na plus dobry stan techniczny oraz przemyślany i sprawdzający się podział ról. Jednak to wciąż za mało, by tytuł polecić. Może za jakiś czas, jeśli



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

gra będzie rozwijana... © ©
Radosław Wojtas

- **Gatunek:** zręcznościowa
- **Platforma:** PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC
- **Producent, wydawca:** Unbroken Studios; Warner Bros. Games

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

To naród tworzy państwo!

O Feliksie Konecznym nigdy za wiele. Ledwie zdążyłem odnotować jego, jakże pożyteczne, „Dzieje Polski opowiedziane dla młodzieży”, wznowione wraz z rozszerzeniem Joanny i Jarosława Szarków o historię najnowszą, a tu pojawia się kolejna ważna książka nie tylko przedstawiająca dorobek tego wybitnego badacza cywilizacji, lecz także wpisująca jego myśl historyczną w naszą współczesność. A do tego, co dzieje się na naszych oczach, koncepcje prof. Konecznego pasują jak ulał, niezależne od tego, że takiego np. genderyzmu nie mógł on przewidzieć 100 lat temu, gdy pisał swoje najważniejsze dzieła z „Polskim Logosem a Ethosem. Roztrząsaniem o znaczeniu i celu Polski” na czele. Co nie znaczy, że nie brał pod uwagę możliwości narodzin kolejnego terroru ideowo-politycznego. Dość przeczytać tekst „Polska między Wschodem a Zachodem (czyli poważne ostrzeżenie przed upadkiem), otwierający wydaną właśnie nakładem Białego Kruka książkę znanego dziennikarza Wojciecha Reszczyńskiego, od dawna popularyzującego myśli Feliksa Konecznego i odwołującego się do nich w swojej twórczości publicystycznej.

Dzisiaj, gdy oszalałe lewaczki rugują religię z polskiej szkoły, a firm, któremu zamarzyło się zostać „prezydentem wszystkich Polaków” wszczyna wojnę z krzyżem, słowa profesora wręcz zdumiewają. A ten świetny patriota nie patrzył przecież na naszą historię bezkrytycznie. I pisał:

„Jakież mylnym jest mniemanie, jakoby na naszych ziemiach nie było nigdy innej cywilizacji, jak tylko zachodnioeuropejska, łacińska! Polska położona jest pomiędzy Zachodem a Wschodem nie tylko



FOT. JAROSŁAW KRUK/WIKIPEDIA CC BY-SA 3.0

geograficznie, ale cywilizacyjnie. Wschód wysunął swe macki daleko ku Zachodowi, a orientalizm cywilizacyjny ciśnie nas z dwu stron: nadto zaś trzeci rodzaj orientalizmu wytwarza się w samej Polsce (cywilizacja żydowska). Nie uważajmy Polski za kraj niedostępny dla cywilizacji innych niż łacińska, bo historia temu przeczy! W okresie saskim szerzyliśmy nie łacińską cywilizację ku Wschodowi, lecz turańską ku Zachodowi i byliśmy sami tworem orientalnym. Baczmyż, żeby się to nie powtórzyło! A zasadniczą rzeczą do uniknięcia niebezpieczeństwa jest to, żeby sobie z niego zdawać sprawę.

Polska albo będzie katolicka, albo jej nie będzie [...]”.

Zaprząństwo, które objęło w naszej ojczyźnie rządy, nawet nie kryje specjalnie swej pogardy dla Polski. Czym zresztą dla niego jest Polska? To tylko zlepek europejskich, oczywiście, regionów – „małych ojczyzn”, lepszych i gorszych. Wojciech Reszczyński nieprzypadkowo przywołuje w tym kontekście zdanie prof. Franciszka Marka, który o takich „specach od rozbijania jedności narodowej” pisał, że „mają widocznie zbyt małe mózgi, niezdolne do ogarnięcia całej ojczyzny, skoro muszą ją drobić na kawałki”. A premier Jan Olszewski, w wywiadzie przeprowadzonym z nim przez Reszczyńskiego, zapytany, czy we

współczesnej Polsce możemy mieć do czynienia z nową targowicą, odrzekł: „W moim przekonaniu w tej chwili mamy nie tylko targowicę, bo targowica była zjawiskiem w gruncie rzeczy marginalnym w stosunku do ówczesnej polskiej państwowości, polskiego społeczeństwa. W tej chwili mamy do czynienia w Polsce z piątą kolumną, która jest silniejsza od czterech pierwszych”.

Z cywilizacją zachodnioeuropejską w rozumieniu prof. Konecznego dzisiejsi euroentuzjaści nie mają nic wspólnego. A już najbardziej uwierają ich narody; już samo słowo „naród” wydaje się mocno podejrzanym. Tymczasem czytamy: „Dzięki prof. Andrzejowi Nowakowi, który wydobył z historycznego kurzu postać XV-wiecznego polskiego polityka Mikołaja Cebulki herbu Cielepała, dowiadujemy się, że to, co dziś nazywamy prawem do samostanowienia narodów, nie było ówczesnym obce. Mikołaj Cebulka, przed sądem króla rzymskiego Zygmunta Luksemburczyka, zakwestionował prawo zakonu krzyżackiego do Żmudzi, która miała przyspaść zakonowi po śmierci księcia Witolda, argumentując, że nikt nie pytał Żmudzinów, czy chcą być pod władzą Krzyżaków”.

Nas też pytano, czy chcemy być w Unii Europejskiej, a nie o to, czy w praktyce oznaczać to będzie poddanie się władzy Niemców.

Warto wracać do myśli Feliksa Konecznego, czerpiąc nadzieję z tego, że – zacytuję tu Wojciecha Reszczyńskiego – „Naród polski przetrwał 123 lata bez własnego państwa, a kiedy poprawiła się międzynarodowa koniunktura, państwo to własnymi siłami odzyskał. Bo nie państwa zamieniają się w narody – pisze Koneczny – ale z narodów mogą wytworzyć się państwa”. I tego się trzymajmy. ©



★★★★★
**WOJCIECH
RESZCZYŃSKI
„POMIĘDZY
WSCHODEM
A ZACHODEM.
W KRĘGU
MYŚLI FELIKSA
KONECZNEGO”
BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2024**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Jest, jak jest

Dobra lektura na piłkarską jesień: mamy dwa kluby w fazie ligowej Ligi Konferencji, ale niesmak po eliminacjach został: Jagiellonia dostała baty od każdego rywala, prócz słabeuszy z Litwy, gra Legii nie porywała, krakowska Wisła boksowała powyżej swojej wagi (gra w I lidze, a walczyła na arenie międzynarodowej dzięki zdobyciu Pucharu Polski). A Śląsk... Cóż, ekipa z Wrocławia popełniła chyba najwięcej błędów spośród tych, które wylicza w swojej książce Michał Zachodny.

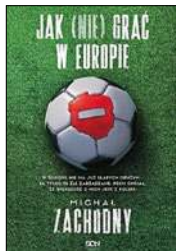
„Jak (nie) grać w Europie” to jednak nie spis katastrof, lecz próba podpowiedzi: Patrząc, co robią inni, uczcie się, nie ma dziś w Europie słabych drużyn, są tylko słabo zarządzane. Trenerzy, działacze, analitycy (z Polski i z zagranicy) opowiadają, jak zmienia się futbol, jak średni i mali próbują sposobem niwelować dystans do najbogatszych. Są to opowieści fascynujące. Frustracja zaczyna ogarniać czytelnika w chwili, gdy zadaje sobie pytanie: „Dlaczego tych oczywistych rozwiązań nie można zastosować nad Wisłą?”.

Tu anegdota. Ćwierć wieku temu na konferencji radiowe do Polski zaczęli przyjeżdżać fachowcy z zagranicy i opowiadać, co i jak trzeba robić, żeby zdobyć słu-

chaczy. Nie były to bajki, lecz konkretne wywody poparte wiedzą, badaniami i doświadczeniem. Prędzej czy później zawsze wstawał jakiś mądrała z sali i mówił: „Wszystko pięknie, ale u nas w Polsce to się nie przyjmie, Polska to zupełnie inny rynek”. Gdzie są dziś owi mądrala? Ano nigdzie. Ich stacje radiowe zostały wykupione, zsięciowane i sformatowane przez tych, którzy mieli wystarczająco oleju w głowie (i pieniędzy), żeby po sprawdzone sposoby sięgnąć.

Frustracja zamienia się we wściekłość, gdy zaczynamy układać listę grzechów, przez które polskie kluby są tam, gdzie są. Brak strategii. Brak cierpliwości. Brak konsekwencji. Brak umiejętności wychowania i ukształtowania młodych zawodników. Przekonanie, że najlepszą metodą na kryzys jest zwolnienie trenera. Przepalanie pieniędzy. Nieuczciwa konkurencja (jak ma

działać wolny rynek transferowy, skoro kluby dotowane przez miasta mają w nosie rachunek ekonomiczny). Niby o wszystkim tym wiemy, bo nic innego nie mówią eksperci w programach piłkarskich. Ale prze-mądrzałych gości od hasła „w Polsce to się nie przyjmie” wciąż nikt nie dał rady wyprowadzić z sali. ©©



★★★★★

MICHAŁ ZACHODNY
„JAK (NIE) GRAĆ W EUROPIE”
SQN 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Szukając tego, co ze światem nie w porządku, zacznij od siebie – mówił Chesterton. W głośnym eseju z 1910 r. przygląda się też edukacji, biznesowi, sposobom rządzenia czy feminizmowi.



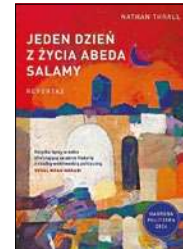
G.K. CHESTERTON
„CO JEST ZŁEGO W ŚWIECIE”
WYDAWNICTWO
DIECEZJALNE
SANDOMIERZ

Dzieje architektury opowiedziane od epoki brązu do czasów współczesnych, z naciskiem na konkretne przykłady – świetna przekrojowa praca profesora Penn State o polskich korzeniach.



WITOLD RYBCZYŃSKI
„O ARCHITEKTURDZIE”
REBIS

Nagroda Pulitzera 2024 – reportaż o życiu Palestyńczyków w Izraelu. Wychodząc od nieszczęśliwego wypadku, autor snuje opowieść o kraju, medycynie i sprawiedliwości dwóch prędkości.



NATHAN THRALL
„JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA ABEDA SALAMY”
ZNAK

Klasyka w nowym przekładzie – to już szósty tom serii „Philip Marlowe” i zarazem jedna z dwóch najważniejszych (obok „Żegnaj, laleczko”) powieści Chandlera. Autorem tłumaczenia jest Bartosz Czaratoryski.



RAYMOND CHANDLER
„DŁUGIE POŻEGNANIE”
KARAKTER

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„ZŁY KSIĄŻĘ”
Zanim czytelnicy zakochali się w słowiańskich wojach o imionach Kajko i Kokosz, Janusz Christa rysował komiksy, których bohaterem był bliźniaczo podobny duet: marynarze Kajtek i Koko. „Zły książę” to pierwszy tom pełnego wydania pasków z cyklu „Kraina baśni”. Plansze poddano renowacji i pokoloro-



JANUSZ CHRISTA
„ZŁY KSIĄŻĘ”
STORY HOUSE
EGMONT 2024

wano (oryginalnie ukazywały się na łamach „Wieczoru Wybrzeża” w latach 1963–1964).

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Rumuński etos

Uznawany za narodowego malarza Rumunii Nicolae Grigorescu spędził w Paryżu – licząc łącznie, bo przebywał w stolicy Francji z przerwami – trzy dekady życia. Ostatecznie powrócił do ojczyzny, przywożąc z Zachodu tematy i problemy tamtejszego artystycznego świata i wprowadził rumuńskie malarstwo na drogę nowoczesności.

Grigorescu zainteresował się pejzażem oraz codziennością zwykłych ludzi. W Paryżu przynależał do szkoły w Barbizon. Barbizończycy uważali, że pejzaż powinien powstawać w plenerze, dlatego że ich zdaniem powszechna wówczas wśród akademików praktyka malowania krajobrazów w pracowniach sprawia, że powstają obrazy sztucznie wyniosłe. Grigorescu wyszedł w plener jeszcze w Paryżu, rumuńskiego krajobrazu i ludzkiej codzienności także nie malował w dusznej pracowni. Zarzucano mu, że przedstawiał jedynie piękną stronę życia na wsi. Jednak robił to świadomie. Był piewą narodowego etosu. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Gdańsku
KIEDY? do 27 października



FOT. ANNA REZULAK



FOT. JACQUES VANDERWIS

OLIMPIJSKIE KARYKATURY

Ktoś powie, że najlepszą karykaturą olimpiady jest to, co rzeczywiście serwowano w Paryżu. „Olimpiada” była hasłem przewodnim tegorocznej edycji organizowanego w Zielonej Górze od 1986 r. (z przerwą w latach 1991–2003) Otwartego Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny. Na pokonkursowej wystawie zaprezentowano 100 prac spośród 1038 nadesłanych. ©©

GDZIE? Biblioteka Norwida
w Zielonej Górze
KIEDY? do 29 września

NA SŁUCH

Szczęśliwa jesień



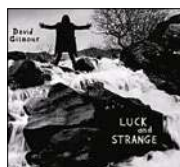
GRZEGORZ BRZozowicz

Można powiedzieć, że jest to płyta rodzinna. Polly Samson od 30 lat pisze teksty dla męża. Tym razem główną współpracowniczką Gilmoura jest jego najmłodsza, 22-letnia, córka Romany. Gra na harfie w trzech utworach, w siedmiu śpiewa w chórkach, a „Between Two Points”, z repertuaru zespołu Montgolfier Brothers, wykonuje solo. Charlie, adoptowany syn, jest współautorem jednego z tekstów, a najmłodszy z synów Davida, Gabriel, śpiewa w dwóch utworach.

Półtoraminutowy wstęp opromieniony srebrzystym brzmieniem gitary wprowadza nas w dobrze znane klimaty. Tytułowa kompozycja powstała wokół jamu, który Gilmour nagrał w 2007 r. z nieży-

jącym już klawiszowcem Floydów Richardem Wrightem. David wspomina w niej czasy dzieciństwa i ma nadzieję, że dobrobyt końca XX w. nie był jedynie „jednorożowym złotym wiekiem”. Album kończy się rytmicznym uderzeniem powolnego bicia serca, będącego przeciwwagą dla ataków paniki znanych z „The Dark Side of the Moon”. Nadrzędnym tematem płyty jest nadchodząca śmiertelność. „Jak się rozstaniemy / Czy będę trzymać cię za rękę czy ty będziesz trzymać moją?” – śpiewa 78-latek.

Jest to klasyczny album Gilmoura, na którym elegancka, liryczna gitara doskonale współgra z jego wokalem. Czy jest on wydarzeniem? Dla fanów z pewnością, ale tylko dla nich. ©©



★★★★★
DAVID GILMOUR
„LUCK AND STRANGE”
SONY



★★★★★
MERCURY REV
„BORN HORSES”
BELLA UNION

Utytułowany amerykański zespół

na 12. albumie łączy eksperymentalne dźwięki z mrocznymi emocjami. Jonathan Donahue zamiast śpiewu wybrał szeptałą deklamację, co nadaje albumowi klimat staromodnych kryminałów noir.



★★★★★
MAX RICHTER
„IN A LANDSCAPE”
DECCA

Jeden z krytyków uznał: „Muzyka

Richtera, powolna, prosta i powtarzalna, jest dla współczesnej muzyki klasycznej tym, czym heroina dla szczęścia”. Niemiecki kompozytor, czerpiąc z tradycji romantyków, udanie balansuje między dźwiękową ascezą a kulturą wzniosłą. ©©

Rzeszowski teatr przypomniał „sienkowską komedię” z 1664 r. pt. „Ermida albo Królowna pasterska to jest Ten szczęśliwy, który się swym stanem kontentuje”. To dzieło Stanisława Herakliusza Lubomirskiego – arystokraty, jednego z najciekawszych polskich literatów epoki baroku. Spektakl, inicjujący cykl pod nazwą „Scena Dworska”, miał premierę w Łańcucie w sali balowej dawnej rezydencji Lubomirskich i Potockich. Środki teatralne zostały tu świadomie uproszczone, aby dostosować go do grania w zamkach i pałacach. Z żartobliwą i nostalgiczną nutką ogrywa się tutaj iluzjonistyczna maszynierę sceniczną i symboliczne dekoracje, tak jak dawne konwencje literackie, mieszczące w jednej obsadzie antyczne bóstwa z nisko- i wysoko urodzonymi śmiertelnikami. Swojsko i obco wybrzmiewa tu, bez uproszczeń i fonetycznych uwspółcześnień, język późnej literatury staropolskiej. Bez patosu, w tonacji lekko pastiszowej, w dodatku z pięknie zaśpiewanymi piosenkami do napisanej współcześnie muzyki.

W Warszawie teatr zagrał w dawnym teatrze królewskim w Starej Oranżerii w Łazienkach Królewskich (gdzie można było obejrzeć wystawę poświęconą wielowymiarowej działalności i dziedzictwu Stanisława Herakliusza Lubomirskiego). To on – jako właściciel Jazdowa – założył Łazienki, a prapremiera „Ermidy” mogła się odbyć trzy i pół wieku wcześniej właśnie w tych okolicach. To niejedyny tego rodzaju smaczki, uruchamiane przez konteksty historyczne. Przypominanie postaci Lubomirskiego wznowia zadawane przez badaczy pytanie na temat przyczyn, dla których



Stanisław Herakliusz Lubomirski i pytanie o Arkadię



Grzegorz Kondrasiuk

Swojsko i obco wybrzmiewa tu, bez uproszczeń i fonetycznych uwspółcześnień, język późnej literatury staropolskiej

w naszym kanonie literackim nie wskazujemy wciąż postaci na miarę Szekspira, Moliere czy Calderona. Czy nazwisko Lubomirskiego może być wymieniane w takim towarzystwie? Głębsza warstwa filozoficzna, kryjąca się za pozornie prostą fabułą „Ermidy”, świadczy o tym, że Europa w XVII w. żyła tymi samymi motywami, także tymi krążącymi wokół koncepcji Arkadii, utopijnej krainy szczęśliwości. Były to rozważania na temat społecznego porządku świata, pytania o jego boską sankcję, wraz z poszukiwaniem alternatyw. Oto królowna pod wpływem miłosnego zawodu postanawia porzucić uroki swojego świata. Chce się wpisać w „pasterski regestr”, ponieważ świat

prosty ludzi pozbawiony jest dworskiego cynizmu, fałszu i zdrady. Perypetie, które następują w konsekwencji, jawnie ujawniają zdroworozsądkowy dystans autora w kwestii możliwości realizacji Arkadii tu, na ziemi. Innego świata nie mamy, ucieczka jest niemożliwa. Słuchając mądrego Lubomirskiego, myślałem choćby o komentarzu do librett oper Mozarta, zanotowanym przez Petera Sloterdijka w „Pogardzie mas”, albo o konsekwencjach emancypacji, wskazywanych przez Chantal Delsol w „Nienawiści do świata”. I tak teatr nie tylko wprowadza w intelektualny klimat ówczesnej Europy, który 100 lat później wywoła odpowiedź w pismach Woltera i Rousseau, lecz także umoż-

liwia kontakt z żywą myślą dawnego autora.

Przypomnienie scenariusza wystawionego kilkadziesiąt czy kilkaset lat temu – i to w całości, czyli od początku do końca, bez poważniejszych ingerencji i wtrętów – już z samego założenia stoi w opozycji do tzw. teatru postdramatycznego. Opiera się on przecież na kompilacjach czerpiących z dowolnych źródeł, zestawianych przez reżysera i dramaturga (nie mylić z dramatopisarzem) według własnego widzimisie. Głównymi celami są tutaj skonstruowanie komentarza do rzeczywistości i ekspresja własnych poglądów.

Nasz czas nie sprzyja oglądaniu się za siebie i przypominaniu o długim trwaniu kultury. Dziś już nawet teraźniejszość nie jest w cenie. W każdej dziedzinie sztuki mamy wszechobecną presję, czyli zamówienia na tematy przyszłościowe wyłącznie w katastroficznym ujęciu. Dlatego, jeśli istnieje coś takiego jak misja publicznych instytucji kultury, to zadbanie o kulturowe dziedzictwo (a nie jego ideologizowanie) jest jednym z ostatnich argumentów uzasadniających ich utrzymywanie. Bez mecenatu nie będą się pojawiały tego rodzaju propozycje i ostatecznie dokona się kulturowa amnezja, a miejsce historii zajmie polityka historyczna. ©©

STANISŁAW HERAKLIUSZ LUBOMIRSKI, „ERMIDA ALBO KRÓLEWNA PASTERKA”
TEATR IM. WANDY SIEMASZKOWEJ
W RZESZOWIE
REŻYSERIA: JAN NOWARA
POKAZ W RAMACH WYSTAWY
„SZTUKA DOBREGO MYŚLENIA. DZIEDZICTWO STANISŁAWA HERAKLIUSZA LUBOMIRSKIEGO”,
27 SIERPNI 2024 R., MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE
W WARSZAWIE

Suwerenność, suweren a praworządność



Lech Mazewski

Od momentu powołania rządu Donalda Tuska trwa walka o przywrócenie praworządności w Polsce. O co naprawdę toczą się te zmagania?

Twórcą nowożytnej teorii suwerenności jest Jean Bodin, który w fundamentalnej pracy „Sześć ksiąg o Rzeczypospolitej”, w szczególności w księdze I, rozdziale VIII, pisał, że „książę suwerenny nie jest związany prawami swych poprzedników”, a jedynie prawami natury, a przede wszystkim prawami boskimi. Ponadto „można wprowadzić otrzymywać prawo od drugiego, ale z natury jest niemożliwym, aby ustanawiać prawa dla samego siebie, podobnie jak nakazywać sobie rzecz, która zależy od własnej woli”.

Do logicznego końca doszedł Thomas Hobbes, głoszący tezę o niczym już nieograniczonej władzy suwerena.

W części II rozdziału XXVI „Lewiatana” czytamy, że bez względu na to, kto będzie suwerenem, ma on możliwość znoszenia wszelkich praw i ustanawiania nowych. Co więcej – nikt inny poza nim nie może uchylić prawa obowiązującego, „sam jednak nie jest poddany prawom państwowym. Mając bowiem moc, by tworzyć i znosić prawa, może on gdy mu się to podoba, zwolnić się z tej zależności od prawa przez zniesienie tych praw, które mu sprawiają kłopot, i ustanowienie nowych; a wobec tego był on wolny od nich jeszcze przed tym”.

To samo powtórzy Jean-Jacques Rousseau w „Umowie społecznej”. Dla lewicowych wielbicieli apostoła demokracji

może być zaskakujące, że w istocie w sprawie nauki o suwerenności, ale nie o suwerenie, którym mógł być tylko ogół, nie ma żadnej różnicy między poglądami obywatela Genewy a angielskiego filozofa polityki, apologety wszelkiej władzy, bo alternatywą jej braku byłaby anarchia.

W świetle tych wypowiedzi suwerenem – bez względu na to, czy będzie nim ogół, zgromadzenie czy jeden człowiek – jest ten, kto posiada władzę najwyższą, nieopartą na prawie, niezależną od jakiegokolwiek prawa, także przez siebie prawa ustanowionego. Kto taką władzę posiada, ten jest suwerenem. O suwerenności możemy mówić w aspektach zewnętrznym i wewnętrznym.





Tusk, stając się premierem pod koniec 2023 r., postawił przed sobą zadanie homogenizacji klasy panującej

traci suwerenne uprawnienia, a ogromna większość Polaków w kolejnych wyborach się na to godzi. Można nawet zaryzykować opinię, że poczynając od momentu upadku PRL, ta większość nie jest zainteresowana posiadaniem własnego państwa. Patriotyczna tromtadria PiS nie ma tu nic do rzeczy, bo im więcej niepodległościowego wzmocnienia Jarosława Kaczyńskiego, tym pewniejsze jest, że ten czy inny Mateusz Morawiecki dokona w Brukseli kolejnej rezygnacji z suwerennych uprawnień państwa polskiego. Nie zapominajmy, że nikt nie zrobił tyle dla podporządkowania Polski federalizującej się UE, co właśnie ten nominat prezesa PiS. Tusk dopiero będzie starał się mu dorównać.

W aspekcie wewnętrznym suwerenność oznacza, że jakaś grupa ludzi sprawuje władzę najwyższą w państwie wobec innych jej pozbawionych, władzę nieopartą na prawie, czyniąc to za pomocą różnych środków ją utrwalających, przede wszystkim odwołując się do prawa, choć niekiedy też decyzji politycznych. Aparat państwowy odgrywałby służebną rolę w rękach dysponentów władzy najwyższej, ważną dla jej utrzymania i sprawowania.

Takim suwerenem nie może być żaden organ państwowy, choćby zajmujący najwyższą pozycję w aparacie państwa. Czy jest nim naród w rozumieniu art. 4 Konstytucji RP z 4 kwietnia 1997 r.? Jest to wątpliwe dopóty, dopóki Polska jest członkiem UE. To właśnie w kierowniczych instancjach tej organizacji (Komisja Europejska, Rada Europejska czy Parlament Europejski) zapadają zasadnicze decyzje odnośnie do polityki naszego państwa, ostatnio często o charakterze ultra vires, bez kompetencji, istnienia stosownej podstawy prawnej, co w niczym nie przeszkadza głosić banałów o UE jako wspólnocie opartej na rządach prawa.

Demoliberalna klasa panująca zaczęła powstawać w Polsce w połowie lat 80.

zeszłego wieku, reprezentując teoretyczny interes powstającego kapitalizmu. Skład tej klasy nie był jednorodny, bo obok warstw nomenklaturowych pojawiły się tam środowiska solidarnościowe. W sensie społecznym i ideowym wyraźne było wychylenie o charakterze liberalno-lewicowym ponad wszelkimi podziałami. W latach 2015–2023 próbował to zmienić PiS, którego członkowie sami o sobie mówili, że są „patriotami”, a przeciwnicy określali ich mianem „prawicowych populistów”. Tusk, stając się premierem pod koniec 2023 r., postawił przed sobą zadanie homogenizacji klasy panującej, zgodnie z normami obowiązującymi na demoliberalnym Zachodzie, z wyjątkiem Węgier. O to w tej chwili toczy się walka.

SPOSOBY SPRAWOWANIA WŁADZY

W kontekście suwerenności wewnętrznej dobrze jest używać Marksowskiego określenia „klasa panująca”, będącego czymś węższym niż ogół posiadający prawo wyborcze, przy czym kryterium własności środków produkcji jako jedyny wyróżnik tej zbiorowości – o czym pisał Karol Marks – to jednak obecnie zbyt mało. Byłaby to zbiorowość, której interesy i wolę wyraża prawo, a aparat państwowy realizuje. W rezultacie prawo nie może wiązać tej zbiorowości, nie istnieją bowiem żadne normy wypływające z czyjejś woli i jednocześnie wobec tego kogoś obowiązujące. Tu bardziej zaufałbym Bodinowi, Hobbesowi czy Rousseau niż demoliberalnemu normatywiście Hansowi Kelsenowi, który twierdzi, że jest inaczej. Jak sprawowana była władza w Polsce po 2015 r.?

Artykuł 7 Konstytucji RP głosi: „Organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa”. To podstawowy element konstytucyjnego rozumienia praworządności. Dla PiS nie było to jednak określenie zbyt ścisłe, gdyż im chodziło głównie o rządy oparte na stanowieniu i stosowaniu ustaw, a nie prawa w ogóle. To, o czym piszę, dobrze jest oddane w innych językach. W języku francuskim mówi się „légalité”, w języku rosyjskim chodzi o „zakonnost”, a w języku niemieckim to „Gesetzlichkeit” – za każdym razem to rządy ustaw, a nie jakiegos znacznieszszego prawa.

W pierwszym przypadku chodzi o suwerenność państwa, a więc pewnej grupy ludzi zamieszkujących określone terytorium i posiadającej swoją władzę niezależną. W tym rozumieniu suwerenność ujmuje stosunki danego państwa z innymi podmiotami prawa międzynarodowego zarówno o charakterze państwowym, jak i niepaństwowym. Dane państwo jest zatem niezawisłe od jakiegokolwiek innego podmiotu, który nie może narzucać mu swej woli, mieszać się w jego sprawy wewnętrzne, sprawować władzy na jego terytorium i w stosunku do jego ludności.

Jest oczywiste, że od momentu przystąpienia Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. państwo polskie sukcesywnie

Wedle Kelsena, a więc w duchu dość naiwnego demoliberalizmu, miałyby to prowadzić do eliminacji rządów ludzi, także występujących w charakterze organów państwowych czy urzędników, których władza w stosunku do obywateli powinna być oparta wyłącznie na ustawie i w ustawie powinna być wyraźnie określona – zarówno co do granic, jak i metod jej sprawowania. Oczywiście wiemy, że w latach 2015–2023 bardzo często tak nie było, a nawet mogło być to powiązane z uzyskiwaniem osobistych korzyści majątkowych, co teraz stara się wykazać podległa ministrowi Adamowi Bodnarowi prokuratura.

Z rządami prawa w rozumieniu ustaw dobrze skorelowana jest treść ust. 1 art. 8 Konstytucji RP: „Konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej”. Trybunał Konstytucyjny wielokrotnie wypowiadał się, i to jeszcze w okresie przed objęciem stanowiska prezesa przez Julię Przyłębską, na temat wyższości polskiej konstytucji nad prawem unijnym. W przypadku kolizji między normami prawa UE a Konstytucją RP należy podjąć jedną z trzech decyzji: dokonać odpowiedniej nowelizacji Konstytucji RP, spowodować zmianę w regulacjach unijnych bądź zdecydować o wystąpieniu Polski z UE. Tyczy to się w takim samym stopniu prawa pierwotnego, chociażby traktatu akcesyjnego, jak prawa wtórnego. Taką linię orzeczniczą wypracował Trybunał, będący entuzjastycznie nastawiony wobec UE, a mimo to przeżywała troska o dalsze istnienie państwa.

Zupełnie inne stanowisko po 2015 r. w zakresie rządów prawa zajmowały środowiska liberalno-lewicowe. Treść art. 9 Konstytucji RP: „Rzeczpospolita Polska przestrzega wiążącego ją prawa międzynarodowego” abstrahowano od całości norm konstytucyjnych, zachowując się przy tym tak, jakby ust. 1 art. 8 Konstytucji RP już nie obowiązywał. Dało to w efekcie istotne przesunięcie w rozumieniu suwerena w stosunkach wewnętrznych.

We współczesnych państwach demoliberalna klasa panująca stanowi jedynie część szerszej zbiorowości, składającej się na zachodni system zinstytucjonalizowanego liberalizmu. Jest sprawą oczywistą, że czołową rolę

odgrywają tu anglosaskie elity – na czele z amerykańskim deep state. Odnosi się to również do nadwiślańskich realiów panowania klasowego. Charakterystyczne, że wcześniej zarzuty zbuntowanych sędziów, a dziś centrolewicowej koalicji w sprawie naruszania praworządności przez rządy PiS opierają się głównie na orzecznictwie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, a nie wystają z negatywnie ocenianych reform wymiaru sprawiedliwości ministra Zbigniewa Ziobry, choć to też ma miejsce. Wszystko to bowiem dzieje się w ramach tej samej walki z populizmem, względnie siłami skrajnej prawicy toczonej od Waszyngtonu do Warszawy.

We współczesnych państwach demoliberalna klasa panująca stanowi jedynie część szerszej zbiorowości

Sam Tusk odrzuca praworządność w rozumieniu rządu ustaw jako sposób sprawowania władzy przez przedstawicieli suwerena, bo wtedy byłby skrupowany wcześniejszymi decyzjami PiS. Z punktu widzenia nauki o suwerenności to nic nadzwyczajnego. Zadziwia jedynie, że w gruncie rzeczy nie czuje się on związany nową wykładnią art. 9 Konstytucji RP, skoro kontrasygnuje decyzję prezydenta Andrzeja Dudy w sprawie przeprowadzenia wyborów na preza Izby Cywilnej SN przez sędziego powołanego na podstawie ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa z końca 2017 r. Tłumaczenie premiera, że został wprowadzony w błąd przez jakiegoś urzędnika, jest niepoważne, a późniejsza próba uchylenia udzielonej przez siebie kontrasygnaty nie znajduje podstawy prawnej w Konstytucji RP.

Okazało się, że otoczenie Tuska jest za silne, żeby mógł on sobie pozwolić na tak lekceważące potraktowanie prounijnych sędziów, z prof. Ewą Łętowską na czele. Zlekceważenie wyroków ETPC i TSUE w sprawie tzw. neosędziów oznaczałoby odrzucenie pierwszeństwa prawa unijnego, a przede wszystkim orzeczeń sądów międzynarodowych, nad prawem

polskim. A o to tak zażarcie walczone w latach 2015–2023.

Teraz Polska nie będzie jeszcze rządzona na podstawie decyzji politycznych podejmowanych przez premiera centrolewicowego rządu, ale w przyszłości takiego obrotu spraw nie da się wykluczyć. Dziś nie wypada ośmieszać całej tej liberalno-lewicowej gadaniny na temat przywrócenia rządów prawa, z prawem unijnym na czele, jako sposobu sprawowania władzy przez przedstawicieli suwerena. Jednocześnie Tusk przez chwilę pokazał nieporadność partii Kaczyńskiego, której lider uchodzi za wychowanka Carla Schmitta, przeciwnika demoliberalizmu, a w rzeczywistości jest jedynie pilnym uczniem Kelsena, jednego z apologetów tego porządku.

KIEDY ZOSTANIE PRZYWRÓCONA PRAWORZĄDNOŚĆ?

Wielu zastanawia się, kiedy zostanie przywrócona praworządność w Polsce. Może nastąpić to wkrótce, po wygranych wiosną 2025 r. przez kandydata Platformy Obywatelskiej wyborach prezydenckich. Wtedy będzie wiadomo, że homogenizacja klasy panującej została uzyskana. Kto miał trafić do więzienia, tam się znajduje lub wkrótce się znajdzie. Reszta zostanie dostatecznie przestraszona i przedstawiciele suwerena będą mogli pokazać łagodniejsze oblicze, posługując się prawem, tak jak je rozumieją. Jeśli jednak prezydentem zostałby ktoś z PiS, to jest oczywiste, że konflikt w łonie demoliberalnej klasy panującej trwałby nadal. Zapewne wkrótce doszłoby do rozwiązania parlamentu, bo dwugłowa władza wykonawcza zostałaby kompletnie sparaliżowana i trzeba by się odwołać do wyborców, żeby wskazali, kto ma prawo do rządzenia Polską – nie mylić z panowaniem klasowym. Zwycięstwo partii Kaczyńskiego spowodowałoby, że do więzienia trafiłby kto inny. Wkrótce i w tym przypadku doszłoby do przywrócenia praworządności. Czas pokazałby, czy chodziłoby jedynie o to, komu UE powierzyłaby swoisty jarząk, uprawniający do rządzenia Polską.

W przybliżeniu na tym właśnie polega zależność między suwerenem a praworządnością, jako sposobem rządzenia przez jego przedstawicieli, w ramach zachodniego systemu zinstytucjonalizowanego liberalizmu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Hieny, orki i wartości Zachodu



Dariusz
Wieronijczyk

Polska dziennikarka sprzedaje na aukcjach nieśmiertelniki i zegarki rosyjskich żołnierzy

W roku 1866 Artur Grottger, znakomity polski malarz i rysownik, mając jeszcze w pamięci wydarzenia powstania styczniowego, tworzyć zaczął cykl czarno-białych rysunków zatytułowanych „Wojna”. Artysta pokazać chciał swoje dzieło na zbliżającej się wystawie światowej w Paryżu, dziś rysunki te oglądać można w zbiorach Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Ósmy rysunek z cyklu zatytułowany jest „Obdzieranie poległych. Ludzie czy szakale?”. Przedstawia leżących na polu bitwy, półnagich żołnierzy i ciemne sylwetki ludzi, zrywających z poległych odzież i resztki wojskowego ekwipunku. Na pierwszym planie widzimy autopotret wstrząśniętego artysty i odwróconą do grabieżców plecami, ukrywającą twarz w cieniu Muzę. Scena przedstawiona przez Grottgera odbierana była przez współczesnych mu ludzi jako obraz skrajnej demoralizacji i utraty człowieczeństwa. Podobnie musiała to widzieć poetka Maria Konopnicka, którą rysunki Grottgera zainspirowały do napisania poematu „Z teki Artura Grottgera: Wojna”. Ósmy odcinek cyklu opisany został takimi słowami:

*...O, niechaj zagasną
Zgwałcone czy w mojej nędznej
głowie!*

*To byli... Chryste! Tą się haribą
spalę...
Nie! To nie ludzie byli! – To –
szakale!*

*Lecz jam ich widział i nic już nie
zetrze
Tej okropności sprzed mojej
żrenicy,
A choć dokoła tak czyste
powietrze
I choć sam w sobie strzegę
tajemnicy,
Czuję, że żyję i dycham w tym
brudzie...
Nie! To nie były szakale... To –
ludzie!*

*Cisi i szybcy, z worami
zgrzebnymi,
Zdzierali trupy z odzieży do naga,
Piersi im gniotąc i szarpiąc po
ziemi...*

Romantyczne w stylistyce rysunki Artura Grottgera i podniosłe, egzaltowane frazy Marii Konopnickiej mogą wydawać się dzisiaj staromodne, oddają jednak zgrozę i obrzydzenie, którą jeszcze w XIX w. odczuwali cywilizowani ludzie na myśl o procederze „zabierania sobie pamiątek” z pola bitwy. U progu XX w. w innym już, pozornie tylko lepszym stylu opisywał podobne czyny autor „Przygód dobrego wojaka Szwejka” – Jarosław Haszke.

„Przypominam sobie szeregowca Sylwanusa z 8 kompanii marszowej [...]. Nie zawahał się skraść koledze ostatniego grosza, a jak przyszło do bitwy, to pierwszy poprzerywał zasięki z drutu, wziął do niewoli trzech chłopca, a jednego po drodze zastrzelił, bo, jak mówił, nie miał do niego zaufania. Dostał wielki medal srebrny, przyszyli mu dwie gwiazdki, i gdyby go później nie powiesili pod Duklą, to już dawno

byłby plutonowym. Ale go powiesić musieli, bo po jakiejś bitwie zgłosił się wprawdzie na ochotnika na zwiad, ale inny jakiś patrol widział, jak mój Sylwanus obdzierał trupy. Znaleźli przy nim osiem zegarków i sporo pierścionków. Więc go w sztabie brygady powiesili”.

Jak widać, jeszcze podczas pierwszej wojny światowej ludzie przynoszący z pola bitwy cudzą biżuterię i zegarki traktowani byli, nawet we własnych szeregach, w sposób stanowczy i jednoznaczny. Wieszano ich bez zbędnych ceregieli i względu na przeszłe zasługi.

Refleksje na temat szeregowca Sylwanusa i upadku obyczajów, cechującego nasze czasy, przyszyły mi do głowy podczas lektury ogłoszenia polskiej dziennikarki – Karoliny Bacy-Pogorzelskiej, która na portalu Zrzutka.pl zorganizowała aukcję przedmiotów pochodzących z poboju wojny na Ukrainie. Znalazły się na niej zegarki, biżuteria, elementy wyposażenia osobistego, a nawet nieśmiertelniki należące do rosyjskich żołnierzy. Pani Karolina zachęcała do zakupu w ten sposób: „Ruslan z 63. Batalionu 103. Brygady, mój narzeczony, przywiózł z Rosji »pamiątki«. Tylko my wiemy, w jakich warunkach zostały zdobyte. Niech zło zamieni się w dobro, a pieniądze z trofejek pomogą ZSU (siłom zbrojnym Ukrainy). Czapka Grupy Wągniera to absolutny unikat, więc cena musi być konkretna”.

Oburzeni internauci szybko wytknęli „dziennikarce”, że handel tego rodzaju trofeami budzić może wielorakie wątpliwości. Pani Karolina Baca-Pogorzelska demonstruje sprzedawane zdobyczne na

zamieszczanych w Internecie filmach, na których prezentuje także należące do „orków” zegarki. Ewentualne wątpliwości, dotyczące ich pochodzenia, „zamieniająca zło w dobro” moralistka podkreśla jeszcze enigmatycznymi frazami z opisów aukcyjnych: „Zegarek wygląda na nowy, ale uwierzcie, że ani trochę nowy nie jest... zdobyty w okolicznościach, o których opowiadać będziemy po wojnie”.

Nie trzeba być ekspertem wojskowym, by wiedzieć, że w chwilach najbardziej nawet panicznego odwrotu żołnierzy pozostawiać mogą zapasy żywności, ekwipunek i ciężki sprzęt, nie zdejmują jednak osobistych nieśmiertelników, zegarków ani biżuterii. Są to przedmioty lekkie, w niczym nieprzeszkadzające w późniejszej ucieczce z pola bitwy.

Nie chcę nawet zgadywać, w jak dramatycznej sytuacji muszą znajdować się ukraińskie siły zbrojne, skoro potrzebne fundusze zdobywać muszą przy pomocy pani Karoliny Bacy-Pogorzelskiej, w opisany powyżej sposób. Podczas pierwszej wojny światowej, która na ziemiach Galicji toczona była często z bezprzykładnym okrucieństwem, austriaccy dowódcy umieli poradzić sobie z kolekcjonującym „zdobyczne” zegarki żołnierzem Sylwanusem. Dzisiejsi propagandyści, z patosem przekonujący nas wszystkich, że stawka wojny na Ukrainie jest obrona europejskich wartości i całej cywilizacji Zachodu, nad „pamiątkami” sprzedawanymi przez panią Karolinę Bacę-Pogorzelską powinni się chyba gruntownie zastanowić. ©©

Dzietność na Starym Kontynencie jest tragicznie niska. Wyraźny spadek rozpoczął się pod koniec lat 60., kiedy zaczęła się upowszechniać antykoncepcja hormonalna, czemu towarzyszyła intensywna kampania propagandowa lewicowych elit intelektualnych i medialnych. Kilka tygodni temu Eurostat opublikował dane za rok 2022 dla większości krajów Europy, nie tylko Unii. W samej UE liczba urodzeń osiągnęła rekordowo niski poziom, spadając po raz pierwszy poniżej 4 mln. W żadnym z państw Europy wskaźnik dzietności nie przekroczył 2 – a to oznacza, że nie ma tu ani jednego państwa, które bez imigracji byłoby zdolne choćby do utrzymania własnej populacji. Różnice pomiędzy różnymi krajami są mimo wszystko dość wyraźne: najwięcej dzieci rodzi się we Francji (1,79 dziecka na kobietę), najmniej na Malcie (1,08). Uwagę zwraca dół tabeli: najgorsze są państwa katolickie. Po Malcie napotykamy Hiszpanię (1,16), Włochy (1,24), Litwę (1,27) i Polskę (1,29).

Dla każdego z tych państw można byłoby pewnie szukać osobnych wyjaśnień szczególnej głębi kryzysu demograficznego: zawirowania gospodarcze i finansowe w przypadku Hiszpanii i Włoch, masowa emigracja czy słabość rynku mieszkaniowego w Polsce itd. Zostawię to, bo jako katolika interesuje mnie coś innego: Co o kondycji Kościoła mówi to, że w państwach, gdzie duża część ludności wiąże swoje życie w ten czy inny sposób z katolicyzmem, dzietność jest tak niska? Lepiej jest nawet w ateistycznych Czechach (1,64) i Szwecji (1,53) czy islamskiej Turcji (1,63). Co więcej, w 2022 r. najwięcej dzieci (wyjąwszy imigrancką Francję) urodziło się... w krajach prawosławnych. To Gruzja (1,83), Mołdawia (1,81), Czarnogóra (1,78), Rumunia (1,71) i Bułgaria (1,65). Co się stało z nauczaniem Kościoła, które tradycyjnie wzywa do wielodzietności? Nikt go nie słucha? A może raczej takiego nauczania już... nikt nie głosi?

PRAWDZIWA KATASTROFA

Wielu zaangażowanych katolików mogłoby szybko odrzucić tę drugą odpowiedź jako absurdalną. Ktoś zacytowałby homilie św. Jana Pawła II, znanego jako „papież rodziny”. Inny wskazałby na zdecydowaną krytykę antykoncepcji, za którą

Bezdzienny jak katolik



Paweł Chmielewski

Kryzys demograficzny dotyka całego świata. Jednak w Europie najmniej dzieci rodzi się w krajach tradycyjnie katolickich. Dlaczego?

Benedykta XVI medialnie zlinczowano po jego wizycie w Afryce w 2009 r. Wreszcie ktoś wskazałby na istnienie w Kościele popularnych wspólnot, które przykładają bardzo dużą wagę do dzietności. To Droga Neokatechumenalna, Domowy Kościół czy też środowisko tradycjonalistyczne. To wszystko prawda – i w żadnej mierze nie można byłoby powiązać większości pasterzy Kościoła ostatnich dekad z aktywnym poparciem rewolucji seksualnej (abstrahuję na moment od pontyfikatu Franciszka). Problem w tym, że wystąpienia św. Jana Pawła II czy Benedykta XVI to tylko drobny element tego, co tak naprawdę buduje katolicyzm; a różne wspólnoty, choćby i prężne, ogarniają w sumie tylko niewielki procent całej katolickiej społeczności. Faktyczne nauczanie Kościoła kształtuje się w ciągłym dialogu między kilkoma najważniejszymi dokumentami nauczycielskimi a opiniami rozpowszechnionymi w świecie. Tutaj właśnie możemy mówić o prawdziwej katastrofie: teologia i codzienna praca duszpasterska nie są w ogóle zdolne do podjęcia wyzwania, często wręcz wspierają trendy antynatalistyczne.

Zaczął się od wydania w 1968 r. encykliki „Humanae vitae” przez św. Pawła VI. W tekście tym papież Montini, wbrew radom większości konsultowanych ekspertów i biskupów, a za namową m.in. Karola Wojtyły, sprzeciwił się możliwości sztucznego ubezplodniania aktów

mażeńskich. „Humanae vitae” uchodzi za kamień milowy katolickiej walki z rewolucją seksualną i jest prawdziwie kultowym tekstem dla wielu środowisk, w tym tych związanych z neokatechumenatem czy Ruchem Światło-Życie, z którego wywodzi się Kościół Domowy. Nie bez dobrej przyczyny, bo naciski na papieża były wówczas naprawdę wielkie i nawet jeżeli Paweł VI nie mógłby (z przyczyn doktrynalnych) wydać innego orzeczenia, to mógł przecież nie robić po prostu nic,

Stosowanie antykoncepcji przestało być tematem katechezy i kazań

pozostawiając sprawę do praktycznego „ułożenia” w różnych miejscach na świecie. Zdecydował się jednak na działanie, za co spadła na niego gigantyczna krytyka. Problem w tym, że tekst „Humanae vitae”, pomimo swojej niezaprzeczalnej wartości, jest zarazem w niemałej mierze dotknięty przez mentalność rewolucyjną. Papież przedstawia tam wielką pochwałę miłości małżeńskiej, co jest jako takie chwalebne, problem w tym, że w omawianym kontekście zostaje łatwo wykorzystane przeciwko Tradycji. Od początku chrześcijaństwa ojcowie i doktorzy nauczali, że lepiej jest chrześcijaninowi żyć w celibacie



FOT. ADRIAN STYCK

niż w małżeństwie, a jeżeli już – co czyni przecież większość – katolik zdecyduje się zawrzeć małżeństwo, to powinien pamiętać, że jego pierwszym i zasadniczym celem jest bynajmniej nie kultywowanie dobrych emocji pomiędzy małżonkami, ale płodzenie potomstwa. „Humanae vitae” dokonało tutaj drobnej, ale brzemiennej w skutki zmiany: w niektórych passusach wskazuje się cel prokreacyjny jako główny, by w innych zestawić go na jednej płaszczyźnie z celem budowania miłości małżeńskiej; taka narracja jest zresztą zgodna z ujęciem soborowej konstytucji „Gaudium et spes”, a nawet od niej treściowo po prostu zależna.

Paweł VI przyjął też za dobrą monetę propagandę antynatalistów straszących przeludnieniem ziemi – i to już jego własna innowacja. Lektura jego encykliki sugeruje, że na ziemi dzieje się źle i w gruncie rzeczy coś z tym należy zrobić. Wreszcie zakazując stosowania antykoncepcji, papież w ogóle nie wyjaśnia, czy złamanie tego zakazu jest grzechem lekkim czy raczej ciężkim, choć jego poprzednik Pius XI w encyklice „Casti connubii” wskazywał jednoznacznie że ciężkim.

W sumie Paweł VI ogłosił ważny i odważny zakaz – ale podał go do wiadomości w sposób słaby i nieprzekonujący, intelektualnie flirtując z tymi, którzy stoją na przeciwnym stanowisku. Nie przyniosło to dobrych efektów, bo w tym czasie do Kościoła jak fale tsunami wlewała się ide-

ologia antynatalistyczna, przedstawiająca sztuczne regulowanie poczęć jako moralny obowiązek cywilizowanego człowieka, a przy tym rzecz mogącą z powodzeniem służyć budowaniu wygodnego i przyjemnego życia. Zaczęła się też rozwijać tzw. etyka relacyjna, głosząca, że najważniejsza w związku małżeńskim jest dobra i stabilna „relacja”. W efekcie bardzo wielu biskupów, księży, teologów i świeckich nie przyjęło zakazu Pawła VI i otwarcie formułowało tezę mu przeciwną, afirmującą antykoncepcję – a Paweł VI tych postaw nie zwalczał, jakby akt opublikowania encykliki całkowicie go wyczerpał.

MYŚLENIE REWOLUCYJNE

W kolejnych dziesięcioleciach doszło do załamania w duszpasterstwie. Stosowanie antykoncepcji przestało być tematem katechezy i kazań. Owszem, traktowano je jako grzech, ale nie potrafiono przeciwstawić temu dosłownie nic. Przestano wzywać do wielodzietności. Zaczęto raczej gwałtownie promować tzw. katolicką antykoncepcję, czyli różne formy naturalnego unikania poczęć, np. współżycie wyłącznie w dni nieplodne. Takie metody prezentowano nawet na kursach przedmażeńskich. Tradycyjna nauka kościelna mówi, że, owszem, można to zaakceptować, ale wyłącznie jako rzecz konieczną dla uniknięcia jakiegoś poważnego zła. W praktyce doszło do odwrócenia: tzw. katolicka an-

tykoncepcja stała się w duszpasterstwie punktem wyjścia i życiową normą, którą tylko z rzadka odsuwają na bok dopuszczane przez małżonków dzieci. Kto na przestrzeni całego życia małżeńskiego dopuści tych dzieci dwoje, ten w gruncie rzeczy może uważać się za dobrego katolika. Nazywa się to eufemistycznie „odpowiedzialnym rodzicielstwem”, co jest zresztą terminem zaczerpniętym bezpośrednio od Pawła VI.

Nauka Kościelna jest jak wieża: nowe piętra wznosi się na poprzednich, wszystko jest ze sobą powiązane. Właśnie dlatego po wielu latach nikczemnienia duszpasterstwa i przesycania katolickiej mentalności przez myślenie rewolucyjne mogły pojawić się ekscesy pontyfikatu Franciszka. W 2015 r. następca św. Piotra ogłosił, że „katolicy nie muszą mnożyć się jak króliki”, a „dobra” liczba dzieci to troje, jako że tak mówią „eksperci od populacji” (sic!). Stwierdził też, że kobieta, która po siedmiu cięciach cesarskich zaszła w ósmą ciążę ze względu na zaufanie Bogu, jest „nieodpowiedzialna”, bo powinna skorzystać ze „środków, które daje Bóg” (?). Te papieskie słowa to w gruncie rzeczy nic innego, jak tylko podsumowanie esencji katolickiego duszpasterstwa rodzinnego po Soborze Watykańskim II i „Humanae vitae”. Podobnie jest z wychwalaniem przez Franciszka relacji homoseksualnych jako bogatych w różne wartości do tego stopnia, że można je jakoby błogosławić: mamy tu do czynienia z wyciągnięciem radykalnych konsekwencji z tezy o miłości małżeńskiej jako celu równoważnym albo nawet ważniejszym od prokreacji. Wymieniać można byłoby dalej, a czym zaskoczy nas przyszłość, nie wiemy – tym bardziej że papież od kilku lat bardzo mocno promuje teologicznych ekspertów uzasadniających stosowanie antykoncepcji.

Jedno jest w każdym razie pewne: nawet jeżeli trudno byłoby obwiniać Kościół o demograficzną zapaść katolickiej części Europy, to z całą pewnością nie zrobiono wystarczająco wiele, by ją zatrzymać. Pasterze, mając przecież odpowiednie narzędzia, zamiast głosić prawdziwe nauczanie o rodzinie – woleli iść z duchem czasu i mówić o „odpowiedzialnym rodzicielstwie”. Pytanie: Czy to się kiedyś zmieni?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

TOMASZ D. KOLANEK: Kim w sensie politycznym jest papież? Monarchą? Naczelnikiem? Imperatorem?

PROF. MAREK KORNAT: Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że istota papieństwa zakłada monarchiczną formę rządów sprawowaną w Kościele. Papież jest najwyższym prawodawcą, rządcą i sędzią. Skupia więc w swoich rękach potrójną władzę.

Oczywiście ustrój Kościoła nie jest monarchią, ale ma formę mieszaną – w rozumieniu arystotelesowskim. Jest tak dlatego, że w Kościele musi być obecny czynnik rządów monarchicznych, ale przy udziale zarówno elity zasługi (Kolegium Kardynalskie), jak i instytucji soboru (tj. zgromadzenia biskupów). W przypadku samej władzy papieskiej bezspornie mamy do czynienia z władzą monarchiczną i tak była ona od zawsze rozumiana przez Kościół. Definitywnie Kościół jeszcze i dzisiaj nie odstąpił od tej zasady, ale tzw. proces synodalności – jeśli dojdzie do finału – przyniesie przewrót o skali niewyobrażalnej. Jeśli prowincje Kościoła (jak np. Niemcy) będą przyjmować na własną rękę swoje prawa – niezgodne ani z depozytem wiary, ani z normami prawa kanonicznego, ani z nauką moralną – a papież będzie się temu przyglądał, to sprowadzi swoją rolę do funkcji honorowego przewodniczącego Kościoła.

Dlaczego?

Władza monarchiczna zakłada, że podmiot, który ją wykonuje i sprawuje, nie jest związany żadnymi ograniczeniami, które nakładałby na niego ustrój Kościoła, oczywiście z jednym wyjątkiem. Mianowicie: papieżowi nie wolno działać przeciwko wierze. Ma on być strażnikiem dogmatów już ogłoszonych i sługą Kościoła w przestrzeganiu nauki moralnej. Papież ma budować wiarę, a nie działać przeciwko niej. Jest nie do pomyślenia, aby było inaczej.

Nakładem wydawnictwa PROHIBITA ukazała się książka pt. „Pius IX. Ostatni papież-król”. Czy rzeczywiście był. Pius IX był ostatnim prawdziwym królem na Tronie Piotrowym?

Zanim odpowiem na pana pytanie, pozwolę sobie na krótki komentarz odnośnie do samej książki. Jest to niezwykle ważna pozycja. Z pewnością nie w znaczeniu nowych odkryć na temat



Z prof. Markiem Kornatem, historykiem, współautorem cykli papieskich w PCh24.tv i PCh24.pl rozmawia Tomasz D. Kolanek

Pius IX

– ostatni papież-król?



Pius IX FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

pontyfikatu bł. Piusa IX (1846–1878), tylko w skutek zebrania bardzo ważnych tekstów o najdłużej po św. Piotrze panującym papieżu.

„Pius IX. Ostatni papież-król” otwiera znana od ponad 100 lat biografia tego wybitnego biskupa Rzymu i męża stanu autorstwa francuskiego pisarza J.M. Villefranche’a. Następnie mamy zbiór najważniejszych dokumentów pontyfikalnych oraz przemówień bł. Piusa IX. To jednak nie wszystko. W książce znajduje się bowiem jeszcze opis najważniejszych wydarzeń pontyfikatu, np. ceremonii koronacji Piusa IX autorstwa bp. Józefa Sebastiana Pelczara, a także kilka tekstów dotyczących spraw Polski, której papież ten był niestrudzonym orędownikiem w dobie niewoli.

Pyta pan, czy bł. Pius IX był ostatnim prawdziwym królem na Tronie Piotrowym? Odpowiedź na to pytanie musi być dwójaka: na płaszczyźnie historycznej i prawnej. Jeśli władza królewska wymaga do dyspozycji określonego terytorium w znaczeniu państwa, to można powiedzieć, że tak – przynajmniej do czasu paktów laterańskich (1929). W roku 1870 zeszło ze sceny państwo, które miało swoje terytorium, ludność, rząd, gospodarkę itd. Jeśli natomiast chodzi o monarchiczną pozycję ustrojową, to monarchami byli również papieże następujący po bł. Piusie IX – aż do czasu zredefiniowania prymatu papieskiego po wstrząsach Soboru Watykańskiego II.

Co ma pan na myśli, mówiąc o zredefiniowaniu prymatu papieskiego?

Po Soborze Watykańskim II stworzono nową definicję posługi papieskiej. Krótko mówiąc: chodzi o oddzielenie rządzenia od nauczania. Chodziło o to, żeby powiedzieć wiernym, że papież jest nauczycielem, ale niekoniecznie rządcą. Tu bowiem dochodzą koncepcje kolegialności, synodalności etc. Papieże Paweł VI, Jan Paweł II i Benedykt XVI często w swoich wypowiedziach wskazywali właśnie na tę redefinicję papiestwa. Żaden z nich nie stworzył dokumentu, który definiowałby na nowo zakres władzy papieskiej. I bardzo dobrze. Oni jedynie wypowiadali się na ten temat, z tym że tu każde słowo się liczy.

Sytuacja zmieniła się po 13 marca 2013 r., kiedy na Tronie Piotrowym

Po Soborze Watykańskim II stworzono nową definicję posługi papieskiej

zasiadł kard. Bergoglio. Od tego czasu słyszymy nawet, że Stolica Apostolska pracuje nad dokumentem, który na nowo określałby, kim jest papież i na czym polega jego posługa. Jeśli do tego dojdzie, to bez wątpienia będziemy mieli do czynienia z kolejnym rewolucyjnym przewrotem, których wiele już doszło do skutku w ostatnich latach.

Przypomnę tylko, że już w końcowej fazie pontyfikatu Pawła VI pojawił się wstrząsający pomysł. Chodziło o stworzenie wykazu „praw fundamentalnych” Kościoła, co potocznie nazywano „Konstytucją Kościoła”. Kościół na wzór republik miałby więc swoje prawa konstytucyjne i papież byłby nimi związany, co oznaczałoby całkowite zaprzeczenie definicji jego urzędu jako takiego, który ze swej istoty nie podlega nikomu i nie jest sprawowany na podstawie ograniczających go praw pisanych. W latach 70. XX w. pomysł ów udało się jednak obalić.

Powiedział pan, że władza królewska wymaga do dyspozycji określonego terytorium w znaczeniu państwa. Watykan – jak by nie było – jest państwem o powierzchni 44 ha, posiadającym swoich obywateli, własne siły zbrojne, reprezentację piłkarską, znaczki, kilka samolotów oraz dyplomatów...

Miasto-państwo Watykan to namiastka państwowości bez wątpienia po to, aby papież mógł zachować podmiotowość w rozumieniu prawa międzynarodowego, a ta podmiotowość musi mieć podstawy terytorialne.

Państwo Kościelne upadło do pontyfikatu bł. Piusa IX. Dlaczego do tego doszło? Czy zjednoczenie Włoch było ważniejsze niż Państwo Kościelne?

W XIX w. doszło do utworzenia rewolucyjnego z samej definicji ruchu na rzecz zjednoczenia Włoch (Risorgimento). Dużą rolę w tym odegrała kultura romantyzmu inspirowana bardzo mocno ideą narodowe. Włosi nie dążyli do odzyskania państwa tak jak my, Pola-

cy, pozbawieni go całkowicie wskutek totalnego rozbioru. Im chodziło o zjednoczenie i o uwolnienie się od przewagi Austrii, aby stanąć na nogi jako państwo stosunkowo duże, silne i aspirujące do uzyskania pozycji mocarstwowej. Państwo katolickie, którym była monarchia austriacka, zwłaszcza pod rządami kanclerza Klemensa von Metternicha, stało na przeszkodzie realizacji projektu zjednoczenia Włoch w taki sposób, jaki rewolucyjny, liberalny nacjonalizm włoski sobie stawiał. Włosi potrzebowali określonej koniunktury politycznej. Tę koniunkturę przyniósł im taktyczny sojusz z Francją (1859).

Cesarz Napoleon III był człowiekiem próbującym wpisać się w rolę swojego wielkiego stryja Napoleona I, jednak nie poprzez imperialne wojny i podboje. Chciał zaistnieć w świecie jako organizator państw narodowych w Europie na gruzach imperiów, w myśl „zasady narodowości” (principe des nationalités), czyli samostanowienia. To było również powodem, że na ile mógł, na tyle popierał sprawę polską, nie decydując się jednak na wojnę z Rosją z tego powodu. Były różne koncepcje zjednoczenia Włoch.

Jeden z pomysłów, które koła katolickie wówczas rozważały, polegał na stworzeniu konfederacji, czyli luźnego związku państw z zachowaniem dotychczasowych krajów, którego przewodniczącym byłby papież. W takim ustroju zapewne nie byłoby centralnego rządu. Drugi pomysł zakładał stworzenie państwa unitarnego poprzez zjednoczenie wszystkich ziem ułożonych za włoskie. To zaś mogło się dokonać tylko nad drodze wywłaszczenia papieża z Państwa Kościelnego i inkorporację tegoż państwa do Królestwa Włoskiego. Trzeci pomysł zakładał, że papież dobrowolnie zrzeknie się na rzecz Włoch Państwa Kościelnego, ale z wyjątkiem Rzymu, który jako święte miasto pozostanie pod władztwem przywódcy Kościoła. Taką propozycję złożył wspomniany już Napoleon III Piusowi IX, ale papież odpowiedział mu odmownie, podkreślając, że nie jest właścicielem terytorium Państwa Kościelnego, ale monarchą elekcyjnym i depozytariuszem państwa, którego władztwo w chwili śmierci papieża przechodzi na Kolegium Kardynalskie. Tak się mniej więcej to kształtowało.

■ Zwyciężyła koncepcja numer dwa (w powyższym wywodzie) – tj. zjednoczenie przez zabór i stworzenie państwa unitarnego, co oznaczało de facto skok na Kościół i jego prawa oraz podeptanie stanu posiadania Kościoła. Rewolucjoniści jednak się nie wahali. Ich determinacja, żeby przeprowadzić plan zjednoczenia Włoch bez papieża i przeciw papieżowi, była olbrzymia.

Całkowity zabór Państwa Kościelnego nastąpił w dwóch etapach. Najpierw Państwo Kościelne (ale bez Rzymu) zostało zajęte zimą 1861 r. Z kolei sam Rzym zajęto we wrześniu 1870 r. Bardzo mocno uderzyło to w doktrynę monarchicznej pozycji papieża.

Niemniej jednak papież nawet bez terytorium państwowego nadal mógł (i może) sprawować władzę w samym Kościele. Nie jest mu konieczne potrzebne do tego terytorium państwowe. Przeciwnie przez lata 1870–1929 tak było. Co więcej, społeczność międzynarodowa uważała nadal papieża za przywódcę państwowego mimo utraty podstaw terytorialnych dla jego władztwa. Podróżując do Rzymu, głowy obcych państw prosiły zawsze o audiencję w Watykanie – z wyjątkiem prezydenta Republiki Francuskiej Émile’a Loubeta. W języku dyplomacji, czyli francuskim, nazywało się to gestem „pour déference de Souverain Pontiff” (czyli „dla wyróżnienia papieża”).

Problem jednak polegał na tym, że występowała groźba zniewolenia Stolicy Apostolskiej w jakimś momencie, a nawet naruszenia wolności osobistej papieża. To dlatego nie przyjął Pius IX włoskiej oferty ustawy gwarancyjnej, bo to, co się jednostronnie daje, można kiedyś odebrać. Potrzebna była umowa międzynarodowa. Do zawarcia takiej doszło w lutym 1929 r.

W 1870 r. w wielu domach wrogów Kościoła wyrzucili korki od szampańskich. Panowało bowiem przekonanie, że wraz z upadkiem Państwa Kościelnego upadnie Kościół...

Był to niestety powszechny pogląd w tamtym czasie. Ale okazał się jednak nieprawdziwy. O ile chodzi o Włochów, o tyle u nich idea zjednoczenia państwa w postaci unitarnego królestwa jako monarchii konstytucyjnej była absolut-



„PIUS IX. OSTATNI PAPIEŻ-KRÓL”
WYDAWNICTWO
PROHIBITA 2024

nie kluczowa i najważniejsza. U wielu z nich – ludzi przecież ochrzczonych i praktykujących wiarę – niechęć do papieżstwa brała się właśnie stąd, że papież nie chce dobrowolnie oddać Państwa Kościelnego w drodze aktu ofiary na rzecz dzieła zjednoczenia narodu w jednym państwie.

W świecie natomiast, gdzie nie było takiego emocjonalnego zaangażowania, mieliśmy do czynienia z tradycyjnym podziałem na dwa oboje: opinii publicznej. Konserwatyści bronili Kościoła, ale jednocześnie byli przerażeni obrotem spraw.

Na wezwanie Piusa IX nie pospieszili na pole bitwy europejscy katolicy – z wielkimi wyjątkami, jak np. Edward Raczyński (ojciec późniejszego ambasadora w Londynie i ministra w rządzie na uchodźstwie). Liberałowie zaś, ludzie oświeceni i inni wrogowie papieżstwa mieli wyjątkowe poczucie triumfu.

Polityka Watykanu wywoływała w sumieniach wielu katolików szkodliwy rozdźwięk

Panował wówczas pogląd, że papieżstwo jest sercem Kościoła. Wrogowie Kościoła nie przewidywali, że papieżstwo ma przed sobą jeszcze ok. 100 lat wspólnego rozwoju i jego nauczycielskiej misji. To się dopiero zachwieje w wyniku rewolucyjnych reform wywołanych przez Sobór Watykański II, a przede wszystkim znajdzie wyraz w teorii kolegializmu w rządzeniu Kościołem.

Józef Mackiewicz w książce „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy” zwrócił uwagę, że kiedy Paweł VI został zaproszony do wzięcia udziału w sesji ONZ, wielu katolików zwróciło uwagę, iż to właśnie on powinien być szefem tej organizacji, a szef ONZ papieżem... Dlaczego po Soborze Watykańskim II z jednej strony mamy do czynienia z redefinicją papieżstwa, a z drugiej można odnieść wrażenie, że papież chce być szefem jakiegoś międzynarodowego gremium, które będzie zajmować

się pacyfizmem, ekologią, prawami człowieka, a nie duszpasterstwem?

To wszystko wynika z przyjęcia agendy liberalnej przez papieżstwo w polityce międzynarodowej. Próby narzucenia przedsoborowym papieżom takiej agendy były zresztą podejmowane, lecz zawsze nieskuteczne. Anglikanie np. domagali się, aby papież Pius XI stanął na czele ruchu ekumenicznego, którego początki przypadają na przełom wieków XIX i XX. Przyjęcie agendy liberalnej podkopuje Tron Piotrowy, bo ten jest po to, aby być gwarantem wiary, a przede wszystkim dawać silny rząd Kościołowi. Bez rządzenia posługą nauczycielską papieża jest nieskuteczna. Co do ofensywy pacyfistycznej papieża posoborowych – trzeba powiedzieć, że o ile Jan Paweł II jako syn narodu polskiego, który przeszedł to, co przeszedł w czasie drugiej wojny światowej i pod dyktando komunistów, potrafił zachować minimalny umiar w retoryce pokojowej, o tyle Paweł VI w ogóle nie miał takiego umiaru. Jego przemówienie w ONZ było deklaracją pacyfistyczną służącą obiektywnie nie Zachodowi, ale Moskwie.

Ten wzorowy papież liberalny prowadził retorykę, którą przywództwo ZSRR witało z nadzieją, a nawet entuzjazmem. Moskwa wówczas potrzebowała takich przemówień. Mało tego: Moskwa chciała, aby papieżstwo było właśnie takie jak za pontyfikatu Pawła VI.

Pacyfistyczny dyskurs papieżstwa powodował pogubienie się i brak poparcia wielu ludzi Zachodu dla idei zbrojeń, aby nie dopuścić do strategicznej przewagi sowieckiej. A przecież obiektywny interes Zachodu był właśnie taki. Polityka Watykanu wywoływała w sumieniach wielu katolików szkodliwy rozdźwięk, bo przecież papież jest najwyższym autorytetem dla nich.

Na szczęście Jan Paweł II nie kontynuował już tej taktyki. Niestety, krok dalej poszedł na tym polu obecny papież, wracając do integralnego pacyfizmu, ale to już temat na oddzielną, długą dyskusję.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Marek Komat
– historyk, współautor
cykli papieskich
w PCh24.tv i PCh24.pl



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Narodowcy w powstaniu

Od Powstania Warszawskiego mija już 80 lat, ale jego historię nadal rządzi polityka i ideologia. Gloryfikacja jednych uczestników i pomijanie innych to rzecz nienowa. Do 1989 r. robili to w Polsce ludowej komuniści. Po względnej zmianie władzy w 1989 r. zmieniło się niewiele – nadal trwa promowanie jednych formacji kosztem drugih. I to wbrew dokumentom i elementarnym faktom.

Rzecz dotyczy przede wszystkim formacji narodowych, które albo się notorycznie pomija, albo też deprecjonuje się ich znaczenie. Ilu żołnierzy, narodowców, brało udział w powstaniu? Dziś już nikt ich dokładnie nie policzy – przez upływ czasu i brak rzetelnych badań. Ale to nie znaczy, że jesteśmy skazani na całkowitą niewiedzę.

Aż cztery wojskowe formacje narodowe wzięły udział w powstaniu i nie były to siły marginalne. Pierwszą z nich była Narodowa Organizacja Wojskowa (nominalnie scalona z AK). Powszechne szkolenie wojskowe w tej formacji skutkowało wystawieniem czterech doborowych batalionów: „Gustaw”, „Harnaś”, „Dominik” i „Antoni”. Mocno skrwawiły się one na polu walki, stale przebijając na pierwszej linii. Do legendy przeszły przede wszystkim bataliony „Gustaw” i „Harnaś” i są one najbardziej znane. Z oddziałów tej formacji szczególnie należy wyróżnić m.in. „Tygrysy Woli” (dawny

oddział Jana Kaima „Filipa”), pod dowództwem Zygmunta Marii Urbanyego „Juliusza”.

Były również dwie struktury Narodowych Sił Zbrojnych (jedna scalona z AK, druga samodzielna). Scaleniu wystawili przede wszystkim Brygadę Dyspozycyjną Zmotoryzowaną (krypt. Koło), liczącą 1,2 tys. żołnierzy, oraz powołali od podstaw Zgrupowanie „Chrobry II”, przez które przewinęło się 3,2–3,5 tys. ludzi. Mniejsze oddziały i grupy żołnierzy tych formacji można odnaleźć w ewidencji powstańczej praktycznie we wszystkich dzielnicach i batalionach. Piękną kartę bojową zapisała kompania „Warszawianka” (NSZ-ONR; a nie był to jedyny oddział tej organizacji). Warto dodać, że oddziały NSZ walczyły też na obrzeżach Warszawy: w Puszczy Kampinoskiej (bateria „Kampinos”) i w Lasach Chojnowskich (Kompania Leśna im. por. Szarego).

Prawie całkowicie pomija się udział oddziałów Miecza i Pługa (w lipcu 1944 r. scalonego z NSZ-AK). Miecz i Pług również wystawił do walki swe warszawskie oddziały, a ich dowódcy – kpt. Lucjan Fajer „Ognisty” i kpt. Lucjan Giżyński „Gozdawa” – bardzo szybko weszli do powstańczej legendy.

To, że komuniści deprecjonowali i pomijali narodowców, jest zrozumiałe, bo byli oni antykomunistami. Ale robili to również „koledzy” z AK. A dotyczy to przecież tysięcy żołnierzy. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Przywilej koszycki

Następca Kazimierza Wielkiego, Ludwik Węgierski, nie miał synów. Doczekał się tylko trzech córek. Jednak w Polsce kobiety nie mogły dziedziczyć i król musiał uzyskać zgodę rycerstwa na objęcie władzy przez jedną z nich.

Z tego powodu wezwał polskie rycerstwo do Koszyc, które od XI w. należały do Węgier i były jednym z najważniejszych miast monarchii Andegawenów. Ponadto Koszycy leżały niedaleko od granic Polski, a król nie lubił przebywać w naszym kraju, twierdząc, że klimat mu nie odpowiadał. Rycerstwo miało drogę do przebycia niewiele dłuższą niż do Krakowa, jednak rozmowy na własnej ziemi dawały Ludwikowi przewagę.

W Koszycach względnie szybko osiągnięto porozumienie i 17 września 1374 r. król ogłosił przywilej dla szlachty. Rycerstwo zgodziło się uznać za władcę Polski najstarszą z córek Ludwika, w zamian za co monarcha zgodził się na wiele ustępstw. Wbrew pozorom nie były to jednak wyłącznie przywileje mające zapewnić szlachcie wygodniejsze życie.

Wprawdzie ograniczenie podatku do dwóch groszy od domu chłopskiego było zwycięstwem rycerstwa, ponieważ za czasów Kazimierza Wielkiego płacono sześć razy więcej, ale w przyszłości miało to zaowocować przyspieszeniem rozwoju gospodarczego. Ważniejsze

jednak było to, że rycerstwo zażądało, aby starostami byli wyłącznie Polacy, gdyż miano już dość węgierskich urzędników. Natomiast obowiązkiem szlachty za wyprawy poza granice kraju ograniczał samowolę królewską. Czasy się zmieniały i coraz większą rolę zaczynały odgrywać wojska zaciężne.

Przywilej koszycki zakończył niepewność w sprawie dalszej obsady tronu polskiego. Ludwik poważnie chorował i trzeba było podjąć wiążące decyzje. Najważniejsza była jednak zapowiedź zerwania unii z Węgrami, gdyż rządy nad Dunajem miały przyspaść innej córce Ludwika.

Załatwienie sprawy następstwa tronu miało też kluczowe znaczenie dla Ludwika. W Polsce nie brakowało bowiem pretendentów do tronu, jak Władysław Biały z kujawskiej linii Piastów, który z powodu pretensji dynastycznych opuścił nawet klasztor, do którego wstąpił po śmierci żony. Poza tym był jeszcze ukochany wnuk Kazimierza Wielkiego, Każko Słupski, który też miał swoich zwolenników. Jednak zgoda rycerstwa na sukcesję córki króla Węgier rozwiązywała te problemy. Nawet jeżeli przewidziana na tron polski Katarzyna zmarła w wieku ośmiu lat i ostatecznie królową (a właściwie królem) Polski została najmłodsza córka Ludwika, Jadwiga. Ale to już zupełnie inna historia. ©©

Jarosław Kaczyński 35 lat temu otrzymał od Lecha Wałęsy nominację na stanowisko redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”. To wydarzenie może dziś dziwić młodszego czytelnika. Jarosław Kaczyński po pierwsze, nigdy nie miał temperamentu dziennikarza, a po drugie, choć do dziś jest życzliwy NSZZ „Solidarność”, to trudno go kojarzyć z ruchem związkowym.

Wówczas jednak, jesienią 1989 r., było to w łonie obozu solidarnościowego wydarzenie, które wywołało ogromne emocje. Z jednej strony padały oskarżenia o zawłaszczenie pisma, którym bardzo długo kierował Tadeusz Mazowiecki, z drugiej strony czytelnicy liczący na szybkie zerwanie z PRL zaczęli odnajdywać na łamach „Tysola” teksty stawiające pytania, których na łamach „Gazety Wyborczej” wystrzegano się jak ognia.

W pewnym sensie objęcie szefostwa nad „Tygodnikiem Solidarność” było dla Jarosława Kaczyńskiego początkiem politycznej drogi, która doprowadziła go do roli jednego z dwóch największych rozgrywających polskiej sceny politycznej od początku XXI w. Aby zrozumieć specyfikę tamtej epoki, trzeba cofnąć się do wydarzeń od początku 1989 r.

KONIEC JEDNOŚCI, POCZĄTEK RYWALIZACJI

Ruch Solidarności przez cały okres najpierw stanu wojennego, a potem rządów ekipy Wojciecha Jaruzelskiego rytualnie wzywał władze PRL do podjęcia z nim rozmów. Gdy jednak po strajku w Stoczni Gdańskiej i wielu kopalniach na Śląsku ówczesny szef komunistycznego MSW gen. Czesław Kiszczak zgodził się 31 sierpnia 1988 r. w rozmowie z Lechem Wałęsą na bliżej jeszcze nieokreślone rozmowy z przedstawicielami opozycji, nagle okazało się, że przeciwnicy systemu muszą szybko rozstrzygnąć wiele ważnych kwestii.

Po pierwsze, było pytanie, czy negocjacje z władzą Lech Wałęsa podejmuje jako szef NSZZ „Solidarność” czy też jako patron szerszej palety środowisk opozycyjnych, grup obywatelskich, zlikwidowanych związków twórczych. Wałęsa niemiłe zaskoczył liderów podziemnej Solidarności decyzją, że rozmowy podejmie jako szef arbitralnie przez niego powołanego Komitetu Obywatelskiego przy Przewod-



„Tysol”, czyli Jarosław Kaczyński wskakuje na beczkę



Piotr Semka

Szef PiS nie stałby się jednym z dwóch największych rozgrywających w polskiej polityce początku XXI w., gdyby nie został szefem „Tygodnika Solidarność”



Jarosław Kaczyński na uroczystości poświęcenia siedziby „Tygodnika Solidarność”
FOT. JAROSŁAW STACHOWICZ/FORUM

rów podziemnej Solidarności, i ten o wiele bardziej skuteczny i sprawny, któremu przewodzili byli doradcy szykujący się już do roli polityków, a nie związkowców. Miliony zwolenników Solidarności nie zauważały rozchodzenia się dróg robotniczej Solidarności i wyrosłych na doradztwie Wałęsie aktywistów, którzy z wolna zaczęli już myśleć o nowym kształcie PRL. Kształcie, w którym opozycja miała wypracować jakiś konsensus z obozem komunistycznej władzy.

FASADA I TEATRUM POLITYKI

Na przełomie lat 1988 i 1989 wydarzenia tak przyspieszyły, że na ówczesnej fali utrzymać się mogli tylko najsprawniejsi polityczni surferzy. Widać to było dobrze na przykładzie negocjacji Okrągłego Stołu. Jarosław Kaczyński wspominał po latach, że szybko zorientował się, iż faktycznie istnieją dwa Okrągłe Stoły. Pierwszy to były formalne negocjacje, które w dużej mierze dotyczyły postulatów socjalnych, a także kwestii legalizacji zlikwidowanych przez władze związków i organizacji. Jednak w kuluarach i równoległe do Okrągłego Stołu miało miejsce wzajemne poznawanie się liderów lewicy solidarnościowej na czele z Michnikiem i Kurońem z tymi przedstawicielami obozu PZPR, którzy rozumieli już, że aby uratować wpływy partii, należy zdecydować się na jakąś formę koegzystencji z opozycją.

Ten drugi proces był na tyle mało rzucający się w oczy, że nieliczni krytycy tego zjawiska mieli ogromne trudności z zasygnalizowaniem solidarnościowej opinii publicznej, iż dzieje się coś niepokojącego. Krzysztof Wyszkowski swoje pierwsze obawy dotyczące bratania się byłych opozycjonistów z komunistami mógł wydrukować jedynie w mającym niewielki zasięg numerze paryskiej „Kultury”.

Niepokój przed wtapianiem się Solidarności w nowe ramy polityczne, które budowali postkomuniści w dyskretnych negocjacjach z doradcami Solidarności, dostrzegała jedynie niewielka grupa publicystów związanych z tak długo nielegalnym związkiem zawodowym. Jednym z uważnych obserwatorów i krytyków tego procesu był Jarosław Kaczyński. Jego pozycja w świecie wykreowanym przez osiem lat zamrożenia Solidarności po 13 grudnia była słaba. Intuicyjnie wyczuwał, że trzeba wykreować jakąś siłę, która

rzuci wyzwanie lewicy solidarnościowej w jej dyskretnych dążeniach do zdobycia dominacji nad już czysto polityczną emanacją ruchu Solidarności.

Sojusz Wałęsy z lewicą solidarnościową miał się dobrze w okresie przygotowań do pierwszych w połowie wolnych wyborów do Sejmu i Senatu 4 czerwca 1989 r. Jego wynikiem było mianowanie przez Wałęsę Adama Michnika na stanowisko redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”, która miała być głosem wszystkich środowisk Solidarności. Mało kto wtedy rozumiał, że Michnik nie ma ambicji wyłącznie dziennikarskich, a chce uczynić z „Wyborczej” polityczny taran do wykreowania sojuszu lewicy solidarnościowej z tzw. reformatorskim skrzydłem PZPR. Na fali optymizmu po wyborach 4 czerwca powstał mieszany rząd solidarnościowo-komunistyczny, na którego czele stanął Tadeusz Mazowiecki. Wałęsa, którego instynkt polityczny bardzo często górował nad polityczną praktyką, szybko pojął, że po obsadzeniu premiershipwa przez Mazowieckiego grupa dotychczasowych doradców, takich jak Geremek, Kuroń czy Michnik, chce go odsunąć na boczny tor w ramach wygaszania wpływów robotniczej Solidarności. Nie zamierzał dać się strącić z politycznego piedestału i zaczął rozglądać się za sojusznikami, którzy pomogą mu odzyskać inicjatywę.

Jedynymi politycznymi indywidualnościami, które gotowe były poprzeć go w konflikcie z lewicą solidarnościową, byli bracia Lech i Jarosław Kaczyńscy. Wałęsa przypomniał sobie, że jako nominalny szef NSZZ „Solidarność” ma jeszcze władzę nad innym pismem, które zalegalizowano w ramach politycznego przełomu. Chodziło o „Tygodnik Solidarność”, którego nominalny naczelny Tadeusz Mazowiecki odszedł na stanowisko premiera i mianował swoim następcą swego współpracownika publicystę Jana Dworaka. Rychło jednak ściągnął go do rządu. Wałęsa na wolne miejsce naczelnego powołał Jarosława Kaczyńskiego.

NOWY TON

Zaczął się od wielkiego skandalu. Dotychczasowy zespół żądał, aby Jan Dworak pozostał szefem tygodnika, a gdy okazało się, że Wałęsa na te protesty nie zważa, dziennikarze „Tyśola” zaczęli odchodzić. Była to pierwsza ważna próba dla Jarosława Kaczyńskiego. Przy pomocy

niczącym NSZZ „Solidarność”. Rozwiązanie takie było niezwykle korzystne dla grupy doradców podziemnych władz związków, którzy szybko wysunęli się na czoło negocjacji w Magdalence jesienią 1988 r. i zepchnęli na dalszy plan liderów strajkowych. Ta część opozycji, która utożsamiała się z tradycją konserwatywną i prawniczą, była w Komitecie przy Lechu Wałęsie reprezentowana bardzo słabo. Natomiast lewica solidarnościowa, której twarzami byli Bronisław Geremek, Jacek Kuroń czy Adam Michnik, dysponowała znacznie sprawniejszą praktyką polityczną i cieszyła się wpływami, które w tamtych latach nazywano „dostępem do ucha Lecha”.

Temu wysunięciu się na czoło Geremka czy Tadeusza Mazowieckiego sekundowały też najważniejsze zachodnie ambasady, które obserwując przemiany w Europie Środkowej i Wschodniej, rozpoczęte przez Michaiła Gorbaczowa, ówczesnego lidera sowieckiego, więcej troski poświęcały zapobieganiu jakiemś niekontrolowanemu wybuchowi antykomunistycznemu niż chęci wspierania jak najszybszego oddania władzy przez komunistów.

W obozie Solidarności były więc dwa obozy. Ten formalny, składający się z lide-

Wojciecha Giełżyńskiego udało mu się przyciągnąć do redakcji całą grupę ludzi, którzy albo nie zostali zaproszeni do „Gazety Wyborczej”, albo już od wielu miesięcy z niepokojem obserwowali marginalizowanie robotniczej Solidarności i cichy flirt obozu Michnika z obozem Aleksandra Kwaśniewskiego.

Ważnym punktem oparcia dla Kaczyńskiego było środowisko warszawskiego podziemnego pisma „Wola”, z którego wywodzili się Maciej Zalewski, Andrzej Urbański czy Krzysztof Czabański. Do obozu „Tysola” przyłączył się szybko Krzysztof Wyszkowski, który wówczas był jednym z najbardziej dynamicznych publicystów. Ważnym wzmocnieniem zespołu był Józef Orzeł, który dostrzegł wagę pisma jako miejsca krystalizowania się alternatywy dla środowiska „Gazety Wyborczej”. Oczywiście środowisko Michnika nie przyglądało się przejęciu przez Kaczyńskiego „Tysola” obojętnie. Natychmiast rozpoczęto historię wokół rzekomej kradzieży tygodnika i rozpoczęto bojkot towarzyski tych, którzy odważyli się wejść w skład jego nowej redakcji. To wtedy po raz pierwszy przetestowano techniki ogłaszania bojkotu towarzyskiego czy szeptanki, w której rozsiewano plotki o rzekomych gigantycznych pieniądzach, za które ci, którzy zgodzili się przyjść do „Tygodnika Solidarność”, mieli okupić swoją rzekomą hańbę.

Teresa Bochwic, która dołączyła do zespołu jeszcze w epoce Dworaka, ale nie odeszła wraz z przyjściem Kaczyńskiego, wspomina: „W ciągu miesiąca potraciłem wielu znajomych. Jedną z koleżanek zaatakowała mnie przy spotkaniu na ulicy: „Jak ty możesz pracować w takim antysemitycznym piśmie?”. Gdy zapytałam, czy może mi podać jakiś antysemityczny cytat, odparła: „No, tak na poczekaniu ci nie podam, ale ktoś mi mówił, że pisaliście, że Polska musi być krajem katolickim”.

Tę salonową wojnę przeciwko nowemu pismu zrównoważyło zaciekawienie części elit dawnego solidarnościowego obozu nowymi, wręcz rewolucyjnymi tezami, które zaczęły się pokazywać na jego łamach.

CELNY STRZAŁ

Pierwszą medialną „bombą”, którą odpalił Kaczyński, był tekst Piotra Wierzbickiego „Familia, dwór, świta”. Autor, który zdobył sobie już pewną sławę

w „drugim obiegu”, publikując w końcu lat 70. błyskotliwy „Traktat o gnidach”, był wtedy w doskonałej formie publicystycznej. W swoim tekście nazwał po imieniu to, o czym od miesięcy szeptały solidarnościowe elity, ale nikt nie był gotowy na powiedzenie tego głośno. Wierzbicki narysował krajobraz dzielącego się obozu dawnej Solidarności. W tym schemacie rodzinie stanowiła lewica solidarnościowa, której przewodzili Geremek, Michnik i Kuroń, dworem zaś było otoczenie Lecha Wałęsy, który zaczął bronić się przed spychaniem na polityczny margines. Świętę tworzyli zausznicy nowego premiera Tadeusza Mazowieckiego. Tekst wywołał kaskady oburzenia w salonie. Samo nazwanie oczywistych w gronie elit podziałów uważano za świętokradztwo. Rafał A. Ziemkiewicz, który atakom na „Tysol” przyglądał się z pewnego dystansu, wspomina tamten czas tak: – Wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że tych, którzy nie chcieli śpiewać w jednym chórze z „Gazetą Wyborczą”, zaczęto atakować jako pseudodziennikarzy i nominatów partyjnych.

Kolejnym ważnym momentem w wybijaniu się „Tysola” jako pisma politycznej alternatywy dla obozu lewicy solidarnościowej był programowy tekst Jarosława Kaczyńskiego, który skomentował nieudaną próbę środowiska Michnika przejęcia oddolnego ruchu Komitetów Obywatelskich Solidarności. Kaczyński sformułował wtedy i wypowiedział na głos doktrynę politycznego i moralnego sprzeciwu wobec tzw. sojuszu mądrych, czyli koncepcji Michnika, w myśl której polityczną kuratelę nad remontowywaniem systemu PRL mieli sprawować oświeceni reformatorzy z dawnej Solidarności w ścisłym porozumieniu z młodymi aktywistami dawnej PZPR, takimi jak Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller czy Włodzimierz Cimoszewicz.

PRÓBA BOJOWA

Wiosną 1990 r. bracia Kaczyński sformułowali tzw. koncepcję przyspieszenia. Nie mając specjalnego wyboru, wsparli się Wałęsą, który wówczas był jedynym głośnym nazwiskiem kontestującym plany lewicy solidarnościowej. Z racji tego wyboru politycznego byli surowo osądzani w przyszłości jako koniunkturaliści, którzy wkradli się w łaski Wałęsy,

aby potem z nim zerwać. Wówczas jednak Lech Wałęsa sprawiał wrażenie polityka zainteresowanego gruntownym odcięciem się od PRL i przeprowadzeniem radykalnej dekomunizacji państwa.

Od wiosny 1990 r. „Tygodnik Solidarność” stał się głównym pismem wspierającym kampanię prezydencką Wałęsy, przeciwko któremu jako kontrkandydat wystąpił Tadeusz Mazowiecki. Wygrana Wałęsy wysłała potem wielu czołowych publicystów „Tysola” z redakcji. Do Kancelarii Prezydenta jako jej szef przeszedł Jarosław Kaczyński. Maciej Zalewski został sekretarzem Komitetu Obrony Kraju, a Krzysztof Wyszkowski doradcą głowy państwa.

Józef Orzeł, który wówczas został w piśmie, nie kryje, że między październikiem 1989 r. a jesienią 1990 r. pismo było inkubatorem powstania Porozumienia Centrum – pierwszej partii Jarosława Kaczyńskiego. – To tu spotkali się i razem nauczyli się działać ludzie, którzy przez kolejne dekady będą w otoczeniu Jarka – mówi Orzeł.

Od wiosny 1990 r. „Tygodnik Solidarność” stał się głównym pismem wspierającym kampanię prezydencką Lecha Wałęsy

Kaczyński odszedł do kancelarii Wałęsy, jednak „Tysol” jako punkt refleksji antykomunistycznej i niepodległościowej się nie zmienił. Andrzej Gelberg, jeden z działaczy warszawskiego podziemia, który zastąpił Kaczyńskiego na stanowisku szefa „Tysola” wiosną 1991 r., podtrzymał linię nonkonformizmu. Sam tygodnik w większym stopniu wrócił do roli pisma o charakterze raczej związkowym niż politycznym. Nie zrezygnował jednak z zaangażowania w podstawowe spory początków III RP.

Jarosław Kaczyński nie wrócił już nigdy do dziennikarstwa i skupił się na tworzeniu Porozumienia Centrum. „Tysol” był swoistą beczką, na którą wskoczył 35 lat temu, by na nowo zdefiniować polską scenę polityczną. I na bezce tej utrzymuje się do dziś.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



WIGILIA W PAŹDZIERNIKU

Nicolás Maduro – przywódca Wenezueli – ogłosił, że planuje zmienić oficjalny kalendarz świąt swojego państwa. Na początek zajął się terminem świąt bożonarodzeniowych. „Jest wrzesień i już pachnie Bożym Narodzeniem, i dlatego w tym roku w hołdzie dla walecznego ludu, w podziękowaniu dla was, zadekretuję przesunięcie Bożego Narodzenia na 1 października” – zapowiedział w swoim programie telewizyjnym.

FILMIKI Z ĆWICZENIAMI NIE DLA DZIECI

Platforma YouTube planuje ograniczyć nastolatkom wyświetlanie reklam niektórych filmów. Nie, nie chodzi o żadne tam rozbierane filmy, przemoc czy pokazywanie patologicznych streamów. Chodzi o... ćwiczenia fizyczne. Nastolatkom nie będzie się wyświetlać za dużo treści fitness. Oczywiście dla ich dobra, dla lepszego samopoczucia. YouTube twierdzi bowiem, że tego rodzaju filmy ukazują nierealistyczne sylwetki, które wpędzają młodych ludzi w kompleksy.

KARA ZA SELFIE NA IGRZYSKACH

Podczas igrzysk w Paryżu sportowcy z Chin i obu Korei zrobili sobie wspólne zdjęcie smartfonem. Była do tego okazja, bo w mikście w tenisa stołowego chińska para wygrała, srebro zdobyli zawodnicy z Korei Północnej, a trzecie miejsce na podium należało do

tenisistów z Korei Południowej. Problem w tym, że sportowcy z Korei Północnej przed wyjazdem na igrzyska dostali instrukcje od reżimu, które nakazały im unikać „niepożądanych wpływów”. Przez wspólne zdjęcie po powrocie do kraju zostali poddani „ideologicznej kontroli”. Nie jest wykluczone, że zostaną też ukarani.

AWARYJNE AUTO ZA MILIONY

Kierowca Formuły 1 Fernando Alonso kupił sobie wymarzone auto. To Aston Martin Valkyrie, którego wyprodukowano jedynie 150 sztuk. Samochód warty jest 4 mln euro. – Trudno wyrazić słowami, jak bardzo czekałem na ten dzień. Zajęcie miejsca za kierownicą mojej własnej valkyrie, samochodu nad którym pracowałem z zespołem Q by Aston Martin, to zdecydowanie niezapomniana chwila – cieszył się hiszpański kierowca. Radość trwała zaledwie godzinę. Po takim czasie jazdy samochód musiał zostać wciągnięty na lawetę i odwieziony do serwisu. Nie podano, co było przyczyną awarii. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zaimko**z**brodnia

Nauczyciel transfob skazany po raz trzeci” – odnotował portal Vibe.pl, który – jak przekonuje Wirtualna Polska – „łączy jakościowe dziennikarstwo z nowoczesnym sposobem konsumpcji treści”. Jak zauważa Vibe.pl, o nauczycielu z Irlandii zrobiło się głośno, bo „odmówił zwracania się do transpłciowego ucznia wybranymi przez niego zaimkami”. „Sprawa wydaje się naprawdę absurdalna. Nawet w obliczu zrozumienia trudnej sytuacji osób niebinarnych i transpłciowych, zmagających się z dysforią i brakiem akceptacji wśród

społeczeństwa, trudno kibicować aresztowaniom za zwracanie się do kogoś złymi zaimkami” – zauważa autorka, zaznaczając natychmiast, że „taka sytuacja nie miała miejsca”, a jedynie „prawicowi aktywiści i konserwatywne media” prowadzą taką narrację, licząc – jak domniemuje jakościowa dziennikarka – „na zasianie strachu i oburzenia »terrorem ideologii gender«”.

Jak było naprawdę? Enoch Burke rzeczywiście został już trzeci raz aresztowany. Ponownie złamał bowiem wydany przez sąd zakaz zbliżania się do Wilson’s Hospital School. Zakaz ten wydano na wnio-

sek szkoły. Burke odmówił bowiem nazywania transucznia zaimkami „oni/one”. Nie byłby to problem, bo „oni/one” nie chodził na żadne zajęcia prowadzone przez Burke’a. Nauczyciel śmiał jednak publicznie i głośno oznajmić dyrekcji, że ani myśli przestrzegać zasad polityki inkluzywnej. Dyrekcja wysłała go więc na przymusowy urlop i rozpoczęła postępowanie dyscyplinarne. Burke nadal przychodził jednak do pracy. Dostał więc zakaz zbliżania się. Ten też zignorował. Efekt: choć spędził już łącznie ponad 400 dni za kratkami, to nadal upiera się, że są tylko dwie płcie. No co za „terror”...



FOT. ALEX BRANDON/AP/EAST NEWS

Harris wygrała bitwę, Trump może wygrać wojnę

Stawka tego pojedynku była niezwykle wysoka. Niecałe dwa miesiące przed kluczowymi wyborami w Stanach Zjednoczonych na antenie telewizji ABC starli się 78-letni Donald Trump i 59-letnia Kamala Harris. W poprzedniej debacie jako kandydat Partii Demokratycznej występował jeszcze prezydent Joe Biden, ale udowodnił wówczas jedynie, że jest niezdolny fizycznie i psychicznie do pełnienia tak ważnej funkcji.

Demokraci szybko odsunęli więc na bok niedołęznego staruszka i z uśmiechem na ustach poparli kandydaturę Kamali Harris, która dzięki temu nie musiała rywalizować z nikim w partyjnych prawyborach. Aby nie mówić głupot, przez kilka tygodni kandydatka demokratów jak ognia unikała wywiadów. Przed telewizyjnym pojedynkiem sztab Kamali Harris bardzo skrupulatnie przeanalizował zaś debaty Trumpa (wziął już udział w wielu), a następnie w hotelu, w zaaranżowanym studiu ze sceną, mównicą i telewizyjnymi reflektorami, eksperci godzina po godzinie ćwiczyli z wiceprezydentem nie tylko chwytły retoryczne, lecz także mimikę i gesty, bo dla odbiorców w telewizyjnych debatach kluczowa jest właśnie mowa ciała.

NIEUCZCIWA GRA

Mimo różnego rodzaju ograniczeń (np. braku widowni czy mikrofonach



Jacek Przybylski

Donald Trump w telewizyjnym pojedynku z Kamalą Harris wypadł gorzej niż w debacie z Joe Bidenem. I to nie tylko dlatego, że wiceprezydent mogła liczyć na wsparcie moderatorów z ABC News. Mimo straconej okazji były prezydent ma wciąż duże szanse na wygraną w wyborach

wyłaczanych po zakończeniu każdej wypowiedzi) podczas debaty aż kipiało od emocji. Kamala Harris pokazała, że potrafi dotrzymać kroku byłemu przywódcy Ameryki, który ewidentnie na przygotowanie do tego pojedynku poświęcił od niej mniej czasu i z uwagi przez to wypadł dobrze, ale nie rewelacyjnie. Tymczasem świetnie wytrenowana Harris zastawiała na przeciwnika dobrze przemyślane pułapki. Mogła też liczyć na sprzyjających jej pseudodziennikarzy moderujących debatę, którzy przerywali Donaldowi Trumpowi i prostowali jego wypowiedzi, nie próbując jednocześnie – choćby dla zachowania pozorów obiektywności – korygować niezgodnych z prawdą słów wiceprezydent.

Donald Trump wyraźnie lepiej wypadł na początku debaty, gdy mowa była o kwestiach gospodarczych. Słusznie przywołał problem wysokiej inflacji, która mocno dała w skórę Amerykanom. Repu-

blikańskim wyborcom podobać musiały się też słowa o „niszczeniu kraju” przez obecną administrację, planie nałożenia wysokich ceł na towary z Chin, a także o przejmowaniu amerykańskich miast przez kolejne rzesze imigrantów. To ważne, bo gospodarka i imigracja są kluczowe dla większości Amerykanów. Są również niewygodne dla obecnej administracji, więc przychylni Harris moderatorzy poświęcili na nie zaskakująco mało czasu.

Trump bardzo trafnie punktował też Harris za kompletną zmianę poglądów w wielu fundamentalnych kwestiach – od szczelinowania hydraulicznego do pomyślnego cofnięcia funduszy dla policji. Skoro nagle zmieniła je w jedną stronę, to po wyborze na prezydenta może równie szybko zmienić zdanie w drugą stronę. – Wszystko, w co wierzyła trzy i cztery lata temu, nagle poszło w zapomnienie – teraz tak bardzo poszła w stronę mojej filozofii, że chciałem jej wysłać czapkę z napisem „MAGA” – mó-

wił Trump, nawiązując do swego słynnego hasła „Make America Great Again”. W ostatnich minutach debaty słusznie zauważył również, że skoro obecna wiceprezydent twierdzi, że ma tyle dobrych pomysłów na poprawę życia Amerykanów, to dlaczego od trzech lat czekała z ich realizacją, zanim zdecydowała się wrócić do Białego Domu i jak najszybciej wcielić je w życie. Trump w pięknym stylu sparodiował też Harris, prosząc, aby mu nie przerywała.

Mimo kilku mocnych ciosów ze strony Trumpa ten pojedynek wygrali... doradcy Harris. To dzięki nim obecna wiceprezydent podczas trwającej niemal dwie godziny debaty kilkakrotnie za pomocą personalnych ataków wyprowadzała kandydata republikanów z równowagi, sprawiając tym samym, że nie tylko tracił on kontrolę nad wypowiedzią i wydawał się zbyt chaotyczny, lecz także nie przeprowadzał celnych ataków. Schemat tych zagrywek był prosty: Harris podjadła, mówiąc np. o ludziach, którzy jakoby znudzeni opuszczają wiece Trumpa przed ich końcem. Trump swoich strategów ewidentnie nie posłuchał. I zamiast trzymać się prostej strategii punktowania Harris za błędy obecnej administracji, łapał każdą rzucaną przez konkurentkę przynętę (bo jest dumny z siebie i ze swoich wieców) i podnosząc głos, przechodził do defensywy. Szkoda. Te chwile słabości byłego prezydenta sprawiły bowiem, że nie wykorzystał w pełni szansy, którą była wielomilionowa widownia.

Trump przegapił szansę na kontrę choćby w momencie, gdy Harris – chcąc zdobyć poparcie wyborców polskiego pochodzenia z Pensylwanii – przywołała konflikt ukraińsko-rosyjski i zarzuciła swemu rywalowi, że sprzedałby Polskę Putinowi. Wystarczyło przypomnieć, że to Trump za swej prezydentury jasno promował rolę rządu w Warszawie jako nowego lidera na Starym Kontynencie i jednoznacznie sprzeciwiał się budo- wie gazociągu z Rosji do Niemiec. I że to Trump konsekwentnie naciskał na europejskich przywódców (i naciska nadal), aby zwiększyli inwestycje we własne zdolności obronne. Tymczasem Donald Trump powtórzył jedynie, że zakończy wojny na świecie jako prezydent elekt i że zajmie mu to tak mało czasu, iż zrobi to, zanim oficjalnie złoży prezydencką przysięgę. Oczywiście nie przedstawił

żadnych konkretów, które by ten scenariusz uwiarygadniały. Straszyl też trzecią wojną światową, a na poparcie ze strony światowych przywódców mógł przywołać jedynie premiera Węgier Viktora Orbána.

Harris lepiej niż Trump zaprezentowała się też w przemówieniu końcowym. Zwróciła się bezpośrednio do Amerykanów, przekonując, że stoją przed wyborem jednej z dwóch wizji Ameryki: jednej skupionej na przyszłości (swojej) i drugiej skupionej na przeszłości. I próbowała kupić głosy nieprzekonanych, podkreślając, że to ona jest w stanie zasypać podziały między demokratami a republikanami.

Sondaże przeprowadzone po debacie potwierdzają te wnioski. Aż 63 proc. badanych w badaniu zleconym przez CNN stwierdziło, że wygrała Harris.

DEBATY RZADKO PISZĄ HISTORIĘ

Gdyby nieznana zbyt dobrze Amerykanom Harris bez prompterów i notatek w debacie poniosła sromotną klęskę, ten telewizyjny pojedynek mógłby mieć znaczenie dla wyników listopadowego głosowania. Na szczęście dla Donalda Trumpa zdaniem politologów i specjalistów do spraw komunikacji debaty telewizyjne – choć przedstawiane jako kluczowe narzędzie dla świadomego wyboru najlepszego kandydata – rzadko mają kluczowy wpływ na ostateczny wynik wyborów. Oczywiście każdy student dziennikarstwa wie, że to dzięki błyskotliwym występom w telewizji Amerykanów zjednali sobie John F. Kennedy w 1960 r. i Barack Obama w roku 2008. W większości przypadków debaty nie sprawiają jednak, że zadeklarowani wyborcy danego polityka nagle odkrywają, że to tak naprawdę szuja i złodziej, po czym decydują się głosować na kandydata drugiej strony.

Ten dość trywialny wniosek potwierdza choćby badanie opublikowane już w roku 2017 przez naukowców Wydziału Komunikacji Uniwersytetu Missouri. Po przebadaniu efektów debat telewizyjnych z całej dekady profesorowie zadali pytanie: „Czy debaty prezydenckie mają znaczenie?” i zauważyli, że aż 86,3 proc. wyborców nie zmieniło swoich preferencji pod wpływem debat. Siedem procent widzów deklarowało, że debaty pomogły im podjąć ostateczną decyzję, na kogo głosować, a tylko 3,5 proc. respondentów

pod wpływem telewizyjnego pojedynku kandydatów zmieniło swoje polityczne preferencje. Taki znikomy wpływ na ostateczne rezultaty wyborów miały zarówno debata Trump kontra Biden z 2020 r., jak i trzy telewizyjne pojedynki Clintona z Trumpem z roku 2016 (choć po każdej debacie więcej respondentów wskazywało na zwycięstwo Hillary Clinton, do Białego Domu przeprowadził się ostatecznie Donald Trump, bo to on wygrał w kluczowych stanach). W listopadzie obecnego roku może być podobnie.

PRYSKA KAMALI CZAR?

Sondaże publikowane, jeszcze zanim Kamala Harris i Donald Trump starli się w telewizyjnym studiu, pokazywały, że skończył się miesiąc miodowy kandydatki Partii Demokratów. Według sondażu dziennika „New York Times” i Siena College były amerykański prezydent cieszył się poparciem 48 proc. ankietowanych i miał nad swoją rywalką przewagę jednego punktu procentowego. I chociaż inne badania wskazywały na nieznaczną przewagę Harris nad Trumpem, to widać, że przybywa Amerykanów, którym nie wystarcza już tylko to, że kandydatem Partii Demokratycznej nie jest Joe Bidenem (czytaj: sprawnie chodzi, nie zapomina, gdzie jest, i potrafi dokończyć rozpoczęte zdanie). Jedna trzecia ankietowanych wyborców deklarowała, że potrzebuje więcej informacji o Harris i o jej programie. Część z nich Harris mogła do siebie przekonać. Niewykluczone, że w erze poppolityki większe znaczenie niż mniej lub bardziej merytoryczna debata telewizyjna będzie miało oficjalne poparcie, którego w mediach społecznościowych udzieliła Kamali Harris piosenkarka Taylor Swift (przed laty w podobny sposób Baracka Obamę wspierała legendarna Oprah Winfrey). I chociaż można wątpić, że za głosem piosenkarki pójść tysiące zwolenniczek Partii Konserwatywnej, to może się okazać, iż wsparcie Taylor Swift sprawi, że młode sympatyczki demokratów pójść w listopadzie do lokali wyborczych, których w przeciwnym razie by nie odwiedziły.

Do czasu oficjalnego ogłoszenia wyników listopadowych wyborów prezydenckich najbardziej prawdopodobny scenariusz zakładać powinien, że Trump i Harris będą w sondażach szli łeb w łeb.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Druga wielka wojna ojczyźniana



Rzecz jasna, to Rosja napadła na Ukrainę, nie odwrotnie. Operacja kurska jest jedynie formą obrony przed agresorem. Do tego formą w dużym stopniu akceptowaną przez zachodnich sojuszników Kijowa, którzy zrozumieli, że Moskwy nie trzeba się bać. Zajęcie kawałka ziemi rosyjskiej to kompromitacja Putina, a także jedna z wielu (obok np. puczu Prigożyna). I jak poprzednie wpadki ta również pozostanie bez konsekwencji. Po pierwsze, straty terytorialne Rosji są mikroskopijne. Po drugie, po ponad miesiącu walk widać wyraźnie, że nie zachwiały one pozycję Putina, nie mówiąc już o absurdalnych scenariuszach rozpadu państwa, rewolucji czy wojny domowej. Po trzecie, Rosjanie co prawda nie stawiają czynnego oporu Ukraińcom, ale też nie zwracają się przeciwko własnej władzy, co najwyżej narzekając na nieudolnych urzędników. Po czwarte, w czasie gdy SZU zajmowała rosyjskie wioski bez większego znaczenia militarnego, trwała ofensywa rosyjska na Donbasie.



Maciej Pieczyński

Atak Ukraińców na Rosję nie tylko nie osłabił pozycji Putina, lecz także w pewnym sensie ją wzmocnił. Kremłowska propaganda nie wstydzi się walk w obwodzie kurskim. Rosjanie wreszcie mogą wejść w swoją ulubioną rolę „oblężonej twierdzy”, „niewinnej ofiary agresji” i chełpić się własnym bohaterstwem. A poza tym w końcu zaczęli odbijać utracone tereny

Na razie nie spełniły się nadzieje na to, że brawurowy atak na Rosję odciągnie siły rosyjskie z frontu ukraińskiego. Ukraińcy oczekują od swojej armii obroby własnego kraju, a nie zajmowania terenu wroga. Satysfakcji z „dokopania” Rosji na jej własnym terenie nie wystarczy na długo, jeśli skutkiem ubocznym będzie utrata kolejnych miejscowości we własnym kraju. Po piąte, operacja kurska pomogła Putinowi uwiarygodnić się w oczach swoich poddanych. Do tej pory

telewizja im wmawiała, że „specoperacja”, a nawet mobilizacja są potrzebne, żeby zneutralizować zagrożenie ze strony Ukrainy. Można było w to wierzyć (jak we wszystko, co mówi propaganda), ale można było też wątpić. Teraz to zagrożenie stało się ciałem. Rosyjscy cywile naprawdę muszą uciekać przed ukraińskimi czołgami. Po szóste – nie tylko ukraińskimi, lecz także zachodnimi. Propaganda kremłowska chętnie wylicza, ile na froncie kurskim zostało



8 września w programie „Więści Niedzieli” („Informacje Tygodnia”) wyemitowany został reportaż na temat gimnazjum w Kursku, które zostało „przygotowane do nowego roku szkolnego”, czyli otoczone betonowymi blokami i workami z piaskiem FOT. VESTIZ.RU

zniszczonego sprzętu NATO-wskiego. A to tylko utwierdza Rosjan w przekonaniu, że choć ich państwo średnio sobie radzi na froncie (tego propaganda już nie ukrywa), to jednak jest ze wszech miar usprawiedliwione. Walczy bowiem nie tylko z pogardzanymi „ukronazistami”, lecz także z całą potęgą kolektywnego Zachodu. Wreszcie – po siódme – choć jedni Rosjanie uciekają przed „inwazją”, to inni, na fali patriotycznego wzmożenia, tym chętniej zasilają szeregi własnej armii.

PROPAGANDOWE DÉJÀ VU

Oglądając rosyjską telewizję po 6 sierpnia, można doświadczyć déjà vu. Kremlowska propaganda praktycznie kopiuje narrację Ukraińców, serwowaną po 24 lutego 2022 r. Widzowie dowiadują się, że państwo zostało zaatakowane przez wroga, poznają historię bohater-skich żołnierzy i zwykłych mieszkańców czy wolontariuszy pomagających pokrzywdzonym. Agresor chce zająć elektrownię atomową (Rosjanie zajęli

zaporoską, Ukraińcy maszerowali w kierunku kurskiej), co grozi nowym Czarnobylem. Co prawda, co najmniej przez cały pierwszy miesiąc walk sytuacja na froncie była trudna. Ale to rozumiałe – w końcu agresor jest potężny (Ukraińcy i ich „NATO-wscy kuratorzy”). Nasi robią, co mogą, by odeprzeć najazd barbarzyńców. Tak, barbarzyńców. Żołnierze wrogiej armii bestialsko mordują cywilów i okradają sklepy. To nie są nawet żołnierze – to maruderzy. Tak Ukraińcy mówili o Rosjanach. Tak dziś Rosjanie mówią o Ukraińcach. Tyle że w pierwszym wypadku to była o wiele bardziej uzasadniona narracja. Przede wszystkim dlatego, że wszystko zaczęło się od inwazji Rosji właśnie.

Media rosyjskie chętnie nagłaśniają opowieści o bohaterskich mieszkańcach tego przygranicznego regionu czy o równie odważnych i skłonnych do poświęceń lekarzach i wolontariuszach, pomagających uchodźcom. Można odnieść wrażenie, że całe społeczeństwo rosyjskie zjednoczyło się w obliczu zewnętrznego zagrożenia. Przy czym zjednoczyło się nie po to, aby wyprzeć intruza, ale po to, aby wzajemnie się wspierać w niedoli i cierpieniu. „Podobnie jak cały kraj Dima był przekonany, że uda się szybko wypędzić SZU poza granice Rosji. Gdy jednak stało się inaczej, ruszył na ratunek bliskim” – pisze korespondent wojenny tygodnika „Argumenty i Fakty” Dmitrij Grigorjew. Pochodzący spod Kurska „młody człowiek o imieniu Dima” wrócił z Moskwy w rodzinne strony, aby wyciągnąć z terenów objętych walkami rodziców i babcię. Ostatecznie wraz z dwójkiem wolontariuszy z organizacji Swoich Nie Porzucamy ewakuowali 12 mieszkańców wsi Spalnoje.

Bardzo podobna jest historia Iwana Kowalowa, który stał się wielkim bohaterem kremlowskiej propagandy. Młody mieszkaniec Sudży już pierwszego dnia operacji kurskiej wyjechał z miasta. Jego matka odmówiła ewakuacji, bo nie chciała zostawić na pastwę losu swoich kotów. W mieście praktycznie przestał działać zasięg sieci komórkowej. Iwan, nie mogąc skontaktować się z matką, na własnych nogach przeszedł 60 km, żeby wrócić do Sudży. Po drodze musiał ukrywać się przed ukraińskimi dronami. Matkę w ostatniej chwili wsadził do

wyjeżdżającej z miasta marszrutki. Dla niego zabrakło miejsca, więc sam wrócił rowerem.

Z kolei Marina Izotowa, mieszkanka Lgowa w obwodzie kurskim, wyjechała z rodzinnego miasta w połowie sierpnia. Obecnie mieszka u znajomej we wsi Komariczki w obwodzie briańskim. W wywiadzie dla agencji Regnum, odpowiadając na prowokacyjne pytanie o to, czy mieszkańcy pogranicza są sami sobie winni, bo wsparli „specoperację”, stwierdziła: „Ja nigdy nie cieszyłam się, kiedy cierpieli cywile na Ukrainie. I nie chcę, żeby ktoś cierpiał z tego powodu, że my teraz cierpimy”. Chwilę później zapewniła jednak, że nie żałuje, iż poparła „specoperację”. „Tu nie trzeba być politykiem, wystarczy po prostu czytać i oglądać wiadomości, słuchać naszego prezydenta, który mówił, że to było nieuniknione” – stwierdziła. Atak na Kursk to jej zdaniem (a także zdaniem wielu tzw. zwykłych Rosjan) potwierdzenie słów Putina, który ostrzegał przed zagrożeniem ze strony Ukrainy. Dopóki wojna toczyła się na terenie Ukrainy, dopóty co bardziej spostrzegawczy obywatele imperium mogli mieć wątpliwości, czy aby na pewno jest tak, jak mówi Kreml. Ale gdy bomby zaczęły spadać im na głowę, zrozumieli, że „ich prezydent” miał rację.

8 września w programie „Więści Niedzieli” („Informacje Tygodnia”) wyemitowany został reportaż na temat gimnazjum w Kursku, które zostało „przygotowane do nowego roku szkolnego”, czyli otoczone betonowymi blokami i workami z piaskiem. „Takich metod używa się też w Białgorodzie i na Donbasie” – dodaje. To jedno zdanie w dużym stopniu tłumaczy, dlaczego zajęcie kawałka Rosji nie jest traktowane przez Rosjan jako siarczysty policzek wymierzony Putinowi. Z jednej strony, widok Ukraińców pod Kurskiem przekonał ich, że Kijów jest zagrożeniem dla integralności terytorialnej ich państwa. Z drugiej strony, nie ma większej różnicy między Białgorodem czy Kurskiem a Donbasem. Ten ostatni również jest uważany za rosyjską ziemię, przejściowo znajdującą się pod kontrolą „nazistowskiej, kijowskiej junty”.

Granica między Rosją a Ukrainą jest w świadomości samych Rosjan płynna. Państwo ukraińskie traktowane jest

■ jako sztuczny twór, który powinien podlegać Moskwie. Ukraińcy – jako część narodu rosyjskiego. Obwody doniecki, ługański, zaporoski i chersoński zaś – jako terytorium Rosji (oficjalnie przecież zaanektowane). Tak samo „godne obrony przed agresją” jak Sudża. A nawet bardziej, bo zdobycie najbardziej zapadłej wioski w Donbasie skuteczniej przybliży Putina do zwycięstwa w wojnie niż wyzwolenie miasta pod Kurskiem.

Olga Kurczenko, nauczycielka z Sudży, która musiała przenieść się do wspomnianego kurskiego gimnazjum, w rozmowie z reporterką „Wiesti Niedieli” przyznała, że lekcje historii zaczyna od opowieści o dziejach swojego rodzinnego miasta, które zostało zbudowane jako twierdza, celem obrony południowych granic Rosji. Choć Sudża znalazła się pod kontrolą Ukraińców, to nauczycielka zapewnia z patosem: „Twierdza nie upadła. Wierzę w naszą przyszłość”.

W materiale pojawia się też historia odważnego sołtysa, który wywiózł ze swojej wsi pozostałe tam starsze osoby, a teraz pomaga uchodźcom i opowiada o zbrodniach agresora. Reporterka razem z wolontariuszem Walentinem zawozi mieszkańcom przyfrontowego Korieniewa leki i jedzenie. Miejscowe kobiety gotują obiady i prasują czerwone opaski żołnierzom, których nazywają „synkami”. Wyrządzają wdzięczność władzom, zapewniają, że nie boją się „nazistów”, przekonują, że obca agresja tylko wzmocniła ich uczucia patriotyczne. Przez wszystkie przypadki odmieniają do niedawna zakazane w Rosji słowo „wojna”. W końcu teraz „rozpętali” ją Ukraińcy, więc można o niej mówić.

Z innego reportażu można się dowiedzieć, jak to niezłomni mieszkańcy obwodu kurskiego doją krowy, a w tym czasie nad ich głowami świszczą ukraińskie bomby.

LUTY W SIERPNIU

6 sierpnia we wspomnieniach uchodźców (i zarazem w narracji propagandy) znaczy tyle, ile 24 lutego dla Ukraińców. Nic dziwnego. Propaganda wmawiała im, że „specoperacja” to sprawiedliwa rozprawa z „nazistami”, wyzwolenie bratniego, choć ogłupionego przez Zachód narodu ukraińskiego. A nawet gdyby w to nie wierzyli, to przecież nie widzieli gehenny cywilów. Teraz nie tylko ją widzą, lecz także

6 sierpnia we wspomnieniach uchodźców (i zarazem w narracji propagandy) znaczy tyle, ile 24 lutego dla Ukraińców

sami ją przeżywają. I nie rozumieją, albo nie chcą rozumieć, że dokładnie to samo (a nawet gorzej) od 2,5 roku przeżywają w efekcie działań Rosji „bracia Ukraińcy”. Polscy komentatorzy wskazywali na symbolikę operacji SZU. Akurat sześć dni po jej rozpoczęciu minęła 24. rocznica katastrofy atomowej łodzi podwodnej „Kursk”, która to katastrofa w dużej mierze była wynikiem zaniedbań władz rosyjskich i pierwszym w epoce Putina dowodem na jego brak empatii wobec własnych obywateli. Tymczasem kremłowska propaganda sięga po inne historyczne skojarzenia. 23 sierpnia przypadła 81. rocznica zakończenia bitwy na łuku kurskim, która była decydującym starciem frontu wschodniego. Analogia czytelna dla Rosjan, wychowanych na kulcie „wielkiej wojny ojczyznianej”. „Musiemy powtórzyć zwycięstwo nad nazizmem w drugiej bitwie kurskiej!” – apelowali propagandyści.

W historii Rosji zazwyczaj bywało tak, że inwazja (szczególnie z Zachodu) wywoływała wzmoczenie patriotyczne. Według oficjalnej wersji teraz jest podobnie. Już 12 sierpnia Putin zapewniał, że zwiększyła się liczba chętnych do podpisania kontraktu z Ministerstwem Obrony. W samym Kursku na ochnikta przed 6 sierpnia dziennie zgłaszało się ok. czterech–pięciu osób, a w pierwszym tygodniu operacji SZU było to od 10 do 15 osób.

Ponadto nie widać, żeby zwykli mieszkańcy obwodu spontanicznie i oddolnie stawiali czoła agresji. Nie powstały żadne oddziały samoobrony, żadna partyzantka. Wielu ludzi uciekało na własną rękę, nie czekając na pomoc państwa. Opozycyjny bloger Maksym Kac ma na ten temat ciekawą teorię. Jego zdaniem Rosjanie dobrze rozumieją mechanizmy rządzące ich państwem. Wiedzą, że trzeba uciekać czym prędzej, bo gdy Putin na poważnie zacznie odbijać ich miejscowości, to nie zadba przy tym o bezpieczeństwo cywilów. Priorytetem

będzie zniszczenie wroga, a nie wyzwolenie obywateli. Jeśli ci ostatni przy okazji będą masowo ginąć – to cóż z tego? Państwo jest w Rosji tradycyjnie ważniejsze od ludzi, o których zagładę zawsze będzie można oskarżyć Ukraińców.

Rosjanie na co dzień albo szczerze popierają Putina, albo panicznie się go boją, dlatego nie protestują, nie popierają opozycji, siedzą cicho, a jak trzeba, to głośno deklarują swoje poparcie dla władzy. Ale gdy tylko owej władzy powinno się noga – w swej masie ani myślą jej pomagać. Zamiast tego z reguły ratują własną skórę. Są pasywni, ale sprytni.

WOLNOŚĆ ZA BEZPIECZEŃSTWO

To jednak nie znaczy, że Putin powinien się obawiać skutków społecznych ofensywy SZU. Nieufający władzy uchodźcy spod Kurska przecież nie wyjdą na ulicę. Z tych samych powodów, dla których nie organizują partyzantki przeciwko „nazistom”. Wyznają bowiem zasadę „moja chata z kraja” – nie zamierzają więc ryzykować życia ani w walce z Zełenskim, ani w walce z Putinem. Niech ten drugi sam pokona tego pierwszego, a my będziemy kibicować z daleka.

Poddani dyktatora z reguły godzą się żyć pod kluczem, jeśli w zamian za zrządzenie się wolności otrzymują bezpieczeństwo. Tego zaś Putin od dawna nie jest w stanie Rosjanom zapewnić. Jednak wytrzymałość to nie tylko immanentny element ich mentalności, lecz także coś, z czego są dumni. Nawet jeśli przeciwności losu powstają z winy państwa (raczej nieudolnych urzędników niż samego władcy, który z reguły jest poza podejrzeniami), to chętnie je znoszą.

Literaturoznawca Aleksandr Pančenko zauważył, że Rosjanie czczą tylko te zwycięstwa, które okupione były tak wielkimi stratami, że graniczyły z porażką. Stąd kult „wielkiej wojny ojczyznianej”, stąd też dziś wyrozumiałość dla armii, której odbijanie obwodu kurskiego długo szło jak po grudzie. Ważne, by efektem końcowym było zwycięstwo Moskwy. A żeby w nie wierzyć, nie trzeba być zaczadzoną kremłowską propagandą poddanym Putina... Szczególnie że w chwili, gdy piszę te słowa, czyli w środę 11 września, ruszyła rosyjska kontrofensywa w obwodzie kurskim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Maciejem Szymanowskim, hungarystą i odwołanym dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. W. Felczaka rozmawia Karol Gac

Oskarżanie Budapesztu to kuriozum

KAROL GAC: Wszystko na to wskazuje, że Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej, którym pan kierował, zostanie zlikwidowany. Dlaczego Instytut był i jest potrzebny?

MACIEJ SZYMANOWSKI: Posłużyć się statystyką, którą powstała na koniec mojej pierwszej, pięcioletniej kadencji, bo ta druga została przerwana. Opublikowaliśmy kilka tysięcy artykułów na naszej stronie internetowej w kilku językach. Przez różne formy edukacji przeszły ponad 4 tys. uczestników. Ponad 1 tys. młodych osób wzięło udział w naszych szkołach liderów, gdzie uczyły się wielu przydatnych umiejętności. Mieliśmy 600 uczniów języka polskiego na Węgrzech i węgierskiego w Polsce, co jest ważne, bo brakuje nam tłumaczy i ekspertów. Zaoferowaliśmy też kilkadziesiąt grantów, własnych programów czy naszych stypendiów. Mieliśmy wiele publikacji książkowych. Najważniejsze były jednak Uniwersytet Letni i Akademia Wyższej, bo staraliśmy się budować kontakty bezpośrednie między młodymi ludźmi. Wydaje się więc, że to nie jest przypadek, że pierwszą decyzją dyrektora, któremu powierzono obowiązki, była likwidacja obu przedsięwzięć.

Wielu się spodziewało, że po zmianie władzy Instytut zostanie od razu zlikwidowany. Tymczasem mijał czas i nic się nie działo. Dopiero kilka miesięcy temu odwołano pana ze stanowiska i zastąpiono urzędnikiem z KPRM. Nastąpił też paraliż tej instytucji.

Zostałem odwołany przez e-mail z dnia na dzień. Nikt się nawet nie pofatygował, by ze mną się spotkać albo podpisać protokół zdawczo-odbiorczy. Mijały tygodnie, a nowy dyrektor się nie pojawiał. Kiedy przyszedł, okazało się, że nie otrzymał nominacji, ale powierzono mu obowiązki, czego w ogóle nie przewiduje dotycząca Instytutu ustawa z 2018 r. Spieszono się z moim odwołaniem tak, że nawet nie zasięgnięto opinii Rady Instytutu, czego też wymaga ustawa. Skierowałem sprawę do Sądu Administracyjnego, bo wydarzyło się zbyt dużo rzeczy, które nie są zgodne z ustawą jak na taką mikroinstytucję.

Niestety, programy też nie są zastępowane nowymi. Wspominałem o tym pośpiechu, a on się objawia m.in. tym, że do dzisiaj otrzymuję zestawienia finansowe z Banku Gospodarstwa Krajowego dotyczące płatności, więc wyraźnie widzę, że nic się nie dzieje. Pieniądze idą na koszty administracyjne, a nie na program. Nie widzę też żadnych aktywności Instytutu. Nie było go na Forum Ekonomicznym w Karpaczu, choć od lat byliśmy tam obecni. Nie widzę zapowiedzi jego uczestnictwa w żadnych innych konferencjach. Instytut wszedł w fazę głębokiego zamrożenia, i to jeszcze przed zimą...

Zmieniając wątek. Niedawno Węgry dość mocno oceniały naszą politykę, wskazując, że w sprawie handlu z Rosją jest obłudna i oparta na

hipokryzji. Premier Donald Tusk i jego ministrowie także nie szczędzą uszczypliwości pod kierunkiem Budapesztu. Jak pan ocenia obecne relacje polsko-węgierskie?

Niedawno byłem na Forum Ekonomicznym w Karpaczu, gdzie wielu Węgrów pytało mnie o to samo, a także o to, czy jest jakkolwiek szansa na poprawę naszych relacji. Jak wiadomo, złe stosunki polsko-węgierskie w ogóle złe wróżą współpracy w Europie Środkowej, która powinna być jednym z priorytetów polskiej polityki zagranicznej, ponieważ w znacznym stopniu rozstrzyga o sile naszej pozycji na arenie międzynarodowej. Bilateralne relacje są faktycznie na historycznie niskim poziomie. Tak źle nie było chyba jeszcze nigdy w najnowszych dziejach. Niestety, nie miałem dla moich rozmówców dobrych wiadomości, bo widać wyraźnie, że wszystko zmierza w kierunku eskalacji. O ile premier Tusk praktycznie nieustannie atakuje premiera Węgier Viktora Orbána, i to ad personam, o tyle Węgrzy długo wykazywali się dużą cierpliwością. To się ostatnio zmieniło, by przywołać np. wystąpienie Orbána w Siedmiogrodzie, w którym mówił m.in. o hipokryzji rządu w Warszawie. W podobnym tonie wypowiadał się też szef węgierskiej dyplomacji. Zamiast jasnego zaprzeczenia, że Polska nie utrzymuje relacji handlowych z Rosją, Warszawa odpowiedziała, niestety, „ad Putinum”.

W związku z tym w najbliższym czasie raczej nie ma co się spodziewać poprawy naszych wzajemnych relacji. Warto dodać, że kiedy premier Węgier był w Siedmiogrodzie, podpisał z premierem Rumunii porozumienie w sprawie kolei dużych prędkości. Ten temat powinien być i dla nas priorytetem, ale spadł w ogóle z agendy. Patrząc szerzej, to wpisuje się w naszą politykę zagraniczną, która od kilku miesięcy jest de facto w zawieszaniu. Nie ma żadnych umów, porozumień i konkretnych efektów spotkań. Nie uczestniczymy w żadnych ważnych rozmowach, np. w sprawie Ukrainy. Jesteśmy w stanie nicnierobienia, poza pustą retoryką.

Nie ma co ukrywać, że głównym punktem sporu jest polityka Węgier wobec wojny na Ukrainie i wobec Rosji. Dlaczego Węgry prowadzą taką, a nie inną politykę? I dlaczego Polakom często trudno jest ją zrozumieć?

Węgry wychodzą z założenia, że to jest tzw. wojna zastępcza, a także że prędzej czy później dojdzie do porozumienia Stanów Zjednoczonych z Rosją. To zapewne nie będzie dobre porozumienie dla samej Ukrainy, ale porozumieją się

Zelenski czy szef MSZ nigdy za to nie podziękowali. To zabolalo Węgrów. Warto dodać, że choć Węgry się tym nie chwaliły, to dostarczały pomoc nie tylko humanitarną, lecz także np. olej napędowy, nie pytając, czy jest on przeznaczony na potrzeby armii czy też nie.

Jednak pomimo tego w przestrzeni publicznej dominuje narracja, zgodnie z którą Węgry wspierają Rosję i są jej koniem trojańskim w UE.

Liczy się spotkania Viktora Orbána z Władimirem Putinem, a nie liczy się spotkań kanclerza Scholza czy prezydenta Macrona. W Polsce bardzo mocno komentowano podróż Orbána do Kijowa, Moskwy i Pekinu, ale „zapominano” dodać, że jej początek był w Berlinie. Widocznie nie pasowało to do narracji. Przykłady mogę mnożyć. Węgry oczywiście nie udzielają pomocy wojskowej Ukrainie. Niektóre państwa, jak w naszym regionie Europy chociażby Austria, co prawda też nie, ale tylko Budapeszt jest oskarżany o bycie jakąś piątą kolumną Rosji w Europie. To kuriozum. Sądze, że to po prostu część wojny informacyjnej, która miała doprowadzić do osłabienia stosunków polsko-węgierskich, co się stało już za

region rozwijała się w ciągu ostatnich 20 lat w tempie przynajmniej dwukrotnie szybszym niż Unia Europejska. Dzięki temu dostaliśmy się do czołówki europejskiej i światowej, i to pod wieloma względami. Dość powiedzieć, że np. wyniki testu PISA w Polsce czy na Węgrzech są lepsze niż w wielu innych państwach Europy Zachodniej. Zawdzięczamy to temu, że udało się wpoić elitom politycznym przekonanie, iż współpraca buduje. Trudno budować np. infrastrukturę bez tej współpracy. To nas budowało, a jednocześnie byliśmy w stanie zadbać o swoje interesy.

Być może wydaje nam się, że jesteśmy różni, ale jeśli porozmawia się z szefami korporacji międzynarodowych, to oni nas widzą jako jeden region. Zgadzam się, że to dobry moment, by Europa Środkowa sformowała swoje ambicje. Tyle tylko, że mamy również specyficzny moment, że rządy w Europie Środkowej są w ostatnich latach bardzo słabe i zmienne. W Bułgarii odbywają się regularnie przedterminowe wybory, mamy słaby rząd w Czechach, nas pochłania konflikt wewnętrzny. Mamy duże napięcia wewnętrzne w poszczególnych państwach, co jest na rękę zarówno Kremlowi, jak i Berlinowi czy Brukseli. Niestety, w Polsce mamy też ten problem, że żyjemy snem o dawnej Unii Europejskiej i nie potrafimy wyjść z tego zachwyty sprzed dwóch dekad. Tymczasem to już zupełnie inna organizacja. Nie zdajemy sobie sprawy, że to, co się dzieje, będzie oznaczało relokację środków, czyli będziemy ponosić większe koszty np. Zielonego Ładu czy nielegalnej migracji. Zmiany, które są obecnie wprowadzane, mogą oznaczać trwałe skazanie nas na peryferyjność.

Niedawno w „Do Rzeczy” napisał pan, że „Europa Środkowa to system naczyń połączonych, gdzie sukces jednych pociąga za sobą sukces innych”. Tylko czy rząd Donalda Tuska jest tym w ogóle zainteresowany? Tym bardziej że stawia raczej na Berlin i Paryż.

To prawda. Widzimy pewnego rodzaju niechęć do prowadzenia aktywnej polityki zagranicznej. Żyjemy w przekonaniu, że warto pozostać w cieniu. Niedawno przeczytałem w czeskim dzienniku dużą analizę pt. „Chwiejący się filar Europy”

W Polsce mamy też ten problem, że żyjemy snem o dawnej Unii Europejskiej i nie potrafimy wyjść z tego zachwyty sprzed dwóch dekad

wielkie mocarstwa. Węgry wyciągnęły zupełnie inną lekcję z sytuacji, gdy Nord Stream 2 zaczął być budowany pomimo aneksji Krymu przez Rosję. Viktor Orbán był jednym z nielicznych premierów, którzy wtedy zaprotestowali. Czy spółka Nord Stream istnieje w Szwajcarii? Owszem. Czy najważniejsi politycy niemieccy mówią, że sprawa handlu z Rosją jest zamknięta? Nie. Węgry mają po prostu inne spojrzenie niż Polacy. Oczywiście odgrywa też w tym swoją rolę konflikt Węgier z Ukrainą na polu ograniczania praw mniejszości węgierskiej. Dodatkowo Węgry byli ogromnie rozczarowani tym, że pomimo przyjęcia ogromnej liczby uchodźców w 2022 r., wysłania pierwszych konwojów humanitarnych z małżonką Viktora Orbána jako swoistą „żywą tarczą” prezydent Wołodymyr

poprzedniego rządu. Założono, że jeśli uda się rozbić tę dobrą współpracę, to ustanie współpraca w Grupie Wyszehradzkiej, co zresztą potwierdziło się i mamy tego konsekwencje. Kiedy mieliśmy mocną współpracę w V4, nie udało się przeforsować np. paktu migracyjnego. Kiedy jej zabrakło, mechanizm przymusowej relokacji nielegalnych migrantów do Europy Środkowej stał się faktem.

Zarówno Rosja, jak i Niemcy są mocno osłabione w Europie. Stwarza to przestrzeń i nowe możliwości dla Europy Środkowej. Tylko czy powinniśmy ją w ogóle traktować w sposób łączny? I czy ma ona ambicje, by odgrywać większą rolę w polityce europejskiej?

Musi mieć takie ambicje, bo to jej żywotny interes. Europa Środkowa jako



dotyczącą Polski. Dla PO i Donalda Tuska chęć zajmowania się Europą Środkową już przed laty podlegała mirażowi, że najpierw musimy dogadać się z Berlinem i Paryżem, co i tak niczego istotnego nie przynosiło. Wychodzi kompleks Zachodu i patrzenia na niego jako na bogaty twór, do tego sprawnie zarządzany. Tyle tylko, że jeśli chociażby przeanalizujemy decyzje Berlina z ostatnich 10 lat, to od razu okaże się, jak wiele katastrofalnie złych decyzji, np. w obszarze polityki wschodniej, Zielonego Ładu czy imigracji, podjęto. Do tego mamy problem z tym, że jesteśmy nieaktywni. Jeśli ma się do dyspozycji słabszy zespół, to na boisku trzeba biegać szybciej. To bardzo wyraźnie dostrzegane jest już w Europie Środkowej. Dominuje tam pewne zdziwienie, że Polska znika jako samodzielny czynnik, niczego nie inicjuje.

Niedawno pytaliśmy na łamach naszego tygodnika, dlaczego Polska nie ma swego Orbána, czyli polityka, dla którego na pierwszym miejscu jest interes własnego kraju i który potrafi rozmawiać z każdym.

Nie szedłbym aż tak daleko, bo mamy wybitnych polityków, którzy albo nie mieli szczęścia, albo okazywali się mniej skuteczni. Przypadek Polski jest spowodowany także naszymi cechami narodowymi. Lubimy o czymś dyskutować, ale gorzej jest z działaniami, a już najbardziej z konsekwencją. Węgrom pomaga również syndrom podstawienia pod ścianą. Oni mają poczucie, że są „inni” niż wszyscy w Europie, czyli nie są ludem indoeuropejskim, że mają język, którego nikt nie rozumie. Ponadto wiedzą, że muszą dbać, aby zapewnić narodowi egzystencję przez kolejne tysiąc lat, więc bardzo unikają strat osobowych i bardzo pilnują tego, aby było wyjście B z danej sytuacji. Jeśli spojrzymy na dzieje ich zaborów, to wyglądają one zupełnie inaczej niż te nasze. Bez wątplenia udało się im również wymiana pokoleniowa, co procentuje. Ta energia i vitalność ludzi w Fideszu czy wokół niego bardzo pomagają. Na Węgrzech lepiej zrozumiano też rolę mediów we współczesnym świecie, w którym bardziej głośnie jest nie tyle na polityka czy partię, ile na ich medialne odbicie. Jest to więc obecnie kraj o dwóch mainstreamach...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Inflacja znów puka do



Jakub Wozinski

Nieco ponad pół roku zajęło rządowi Donalda Tuska podbicie poziomu inflacji do poziomu 4,2 proc. Rządzący bardzo chcieliby odwrócić uwagę Polaków swoją ideologiczną ofensywą, ale inflacja znów stała się ważnym problemem społecznym



Halo, Jarek? A jak to jest z tą inflacją? – pytał przed rokiem na swoim koncie na portalu X wówczas jeszcze tylko kandydat na ministra finansów Andrzej Domański. Na zmontowanym nagraniu polityk Koalicji Obywatelskiej w nieco drętwy sposób prowadził rozmowę z Jarosławem Kaczyńskim, wskazując mu, że za rządów Tuska inflacja sięgała 0 proc., na co lider PiS odpowiedział, że „te zwyczajnie się skończyły”.

WYPROWADZANIE NA PROSTĄ

Grillowanie „dobrej zmiany” za drożyzną było szczególnie nośne medialnie przez ponad dwa lata. Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi poziom inflacji konsumenckiej wynosił ponad 8 proc. i niewiele rzeczy tak bardzo trafiało do

wyborców jak wizja szybkiego opanowania rosnących cen. Zanim jednak nowa koalicja rządząca zdążyła się rozsiaść w ministerialnych fotelach, wzrost cen wyraźnie wyhamował, spadając w marcu br. do długo niewidzianego poziomu zaledwie 2 proc.

W tym momencie od razu pojawił się spór o to, komu należy przypisać wyhamowanie inflacji. Domański tuż po publikacji danych GUS stwierdził triumfalnie, że „nowy rząd stopniowo wyprowadza gospodarkę na prostą”. Spotkało się to niemal z natychmiastową ripostą ze strony przedstawicieli poprzedniej władzy, którzy zaczęli sugerować, że Tusk i jego ekipa korzystają z owoców ich pracy. I rzeczywiście, minister finansów bywa bardzo wybiórczy w ocenie zjawisk gospodarczych: te pozytywne zwykł

przypisywać efektom pracy gabinetu, do którego przynależy, a negatywne zrzucać na poprzedników.

Dobrze widać to choćby na przykładzie polityki fiskalnej. Domański twierdzi niezmiennie, że winę za objęcie Polski unijną procedurą nadmiernego deficytu ponosi Prawo i Sprawiedliwość, które po ośmiu latach rządów pozostawiło deficyt w wysokości 5,1 proc. PKB. Obejmując władzę, nowa koalicja nie dokonała jednak żadnych realnych kroków na rzecz obniżki tego wskaźnika. Na dokonanie poprawek w ustawie budżetowej Domański miał niewiele czasu, ale mimo wszystko mógł się na to przygotować przez kilka miesięcy, które minęły od wygranych wyborów. W projekcie budżetu na 2024 r. odcisnął za to swoje autorskie, socjalne piętno w postaci „babciowego”,

bram



FOT. ANDRZEJ STODOL

względów zarządzenie to przyniesie najgorsze skutki dopiero z opóźnieniem, gdy Polacy zaczną otrzymywać pierwsze rachunki z sezonu grzewczego. A to nie koniec, ponieważ na znaczny wzrost cen w 2025 r. wskazują zatwierdzone już kolejne nowe taryfy. Rząd przygotował wprawdzie specjalny program osłonowy, który jednak tylko częściowo ograniczy skalę zjawiska. Ciężko w tej chwili dokładnie ocenić, jak bardzo wzrost cen energii przełoży się na poziom inflacji, lecz najbardziej pesymistyczne prognozy zakładają wzrost o nawet 2,5 punktu procentowego.

Pomimo tego, że rząd sondował początkowo możliwość całkowitej likwidacji dopłat do rachunków, Andrzej Domański zdążył już zapowiedzieć kontynuację rozwiązań osłonowych także w budżecie na 2025 r. Wedle danych zaprezentowanych w marcu przez Narodowy Bank Polski w razie niepodjęcia jakichkolwiek działań już w III kwartale tego roku inflacja mogłaby przekroczyć 8 proc. Polska ma obecnie praktycznie najdroższy prąd w całej Europie, pomimo tego że zarobki Polaków i polskich firm wcale nie są najwyższe na kontynencie. W lipcu ze średnią ceną 116 euro/MWh zajęliśmy niechlubne pierwsze miejsce w rankingu. Najważniejszym czynnikiem wpływającym na rekordowo wysokie ceny w Polsce jest oczywiście zielona polityka, lecz w ramach rządzącej koalicji nikt nie odważy się nawet wspomnieć o konieczności wycofania się z niej.

Płacąc za energię najwięcej w Unii Europejskiej, Polska zapracowała również na pozycję jednego z liderów poziomu inflacji w całej wspólnotie. W lipcu jedynie Rumunia wyprzedziła nas w klasyfikacji krajów o najszybszym wzroście cen (osiągając 5,4 proc.). Przyglądając się jednak prognozom na najbliższe miesiące, nasz kraj może się wkrótce wdrapać na sam szczyt.

Wśród czynników, które przełożyły się na wyższe ceny w sklepach, należy wyróżnić także obowiązujący od 1 kwietnia wyższy VAT na żywność (powrót do stawki 5 proc. przełożył się na ok. 1 punkt procentowy wzrostu). Na razie rząd Donalda Tuska zdecydował się obniżyć VAT z 23 proc. do 8 proc. jedynie dla branży beauty, co jednak praktycznie nie wpłynęło na poziom cen.

Równie niepokojące w obecnej sytuacji jest bez wątpienia to, że inflacja bazowa, tj. nieuwzględniająca cen żywności i energii, po raz pierwszy od wiosny ubiegłego roku znów jest w trendzie wzrostowym (w lipcu osiągnęła poziom 3,8 proc. wobec 3,6 proc. w poprzednim miesiącu). Z tego powodu coraz więcej prognoz wskazuje na to, że już na początku kolejnego roku może powrócić inflacja na poziomach nawet 6 proc. Przy okazji różnych wypowiedzi prasowych minister Domański zarzeka się, że powrót do dwucyfrowej inflacji jest niemożliwy, ale można w tej kwestii mieć bardzo poważne wątpliwości.

Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że rząd ma ogromne kłopoty z realnym oszacowaniem wpływu zielonej polityki na całą gospodarkę. W sytuacji gdy za zieloną transformację odpowiadają osoby o tak wątpliwych kompetencjach jak Urszula Zielińska czy Paulina Hennig-Kloska, naprawdę nietrudno o błędy w szacun-

Zarządzenie to przyniesie najgorsze skutki z opóźnieniem, gdy Polacy zaczną otrzymywać pierwsze rachunki z sezonu grzewczego

kach. Polska wkracza właśnie w bardzo intensywny pod względem zeroemisyjnych regulacji okres, który będzie skutkował wzrostem kosztów dosłownie w całej gospodarce. Nawet jeśli rządowi uda się przejść w miarę suchą stopą przez obecny i przyszły rok, to w latach 2026–2027 może już mieć z tym poważne problemy. System EU ETS, który jest głównym winowajcą najwyższych cen prądu w Europie, zostanie już za trzy lata rozszerzony na budownictwo i transport. Oznacza to, że każdy kierowca czy właściciel budynku będzie musiał uiścić dodatkowy podatek, ukryty w cenie paliwa czy też ogrzewania. Oprócz tego w życie wejdą m.in. nowe przepisy dotyczące tzw. cła węglowego, obarczającego w szczególności importerów z krajów spoza Unii Europejskiej. Na solidny wzrost cen zapracuje także dyrektywa budowlana (EPBD), na której mocy już w 2026 r. każde państwo

powiększającego listę wydatków o kolejne 3–5 mld zł w skali roku.

Wiele wskazuje na to, że Domański sam poczuł się zaskoczony spadkiem inflacji wiosną tego roku, gdyż pierwotne prognozy rządowe zakładały wyższe wartości. Skoro jednak okazała się niższa niż zakładano, to tym bardziej opinia publiczna będzie wyczulona na wszelkie kolejne wzrosty.

PRYMUS ENERGETYCZNEJ DROŻYZNY

Powody do niepokoju pojawiły się dokładnie w lipcu, gdy wzrost cen konsumenckich osiągnął 4,2 proc. (w poprzednim miesiącu – 2,6 proc.). Stało się tak głównie w wyniku odmrożenia cen energii, którego dokonano niemal w samym środku lata. Z oczywistych

■ członkowskie będzie musiało rozliczyć się z Brukselą z dokładnego harmonogramu renowacji wszystkich budynków w celu osiągnięcia zeroemisyjności. Jeśli obecna sytuacja na rynku energii doprowadziła do nagłego skoku cen w całej gospodarce, to co dopiero stanie się w sytuacji, gdy nałożą się na siebie skutki obowiązywania wszystkich wymiennych regulacji?

Zarysowana wizja dotyczy oczywiście sytuacji, z którą będziemy mieli do czynienia za niemal dwa-trzy lata, lecz już teraz realny jest scenariusz z inflacją znacznie przewyższającą oficjalny cel inflacyjny. Przy takim wzroście cen Andrzej Domański, jeszcze jako szef Instytutu Obywatelskiego, regularnie pomstował na „dobrą zmianę” w opozycyjnych mediach. Obecnie jako minister finansów uspokaja, że to jeszcze żaden powód do obaw.

NEGATYWNY STOSUNEK DO RZECZYWISTOŚCI

Rządząca koalicja od dłuższego czasu nie ustaje w wysiłkach na rzecz postawienia Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Zanim to nastąpi, bardzo zależałoby jej jednak na tym, aby prezes Narodowego Banku Polskiego zdecydował się wreszcie na obniżkę stóp procentowych. Tusk stwierdził, że obecna wysokość stóp procentowych jest „nacechowana negatywnym stosunkiem prezesa Glapińskiego do dzisiejszej polskiej rzeczywistości”. Dużo bardziej powściągliwy i stonowany okazał się Domański, który wyraźnie zaznaczył, że nie zamierza oceniać działalności szefa Rady Polityki Pieniężnej.

Naciski Tuska na obniżenie stopy procentowej demonstrują niewątpliwie to, w jak bardzo trudnej sytuacji znalazł się rząd. Preferujący język pogardy względem swoich przeciwników premier nie zdobyłby się na tego rodzaju zawałowaną prośbę do Glapińskiego, gdyby naprawdę nie zależało mu na poluzowaniu polityki pieniężnej. A skoro prośba ta została sformułowana w momencie, gdy inflacja przyspieszyła, to otrzymaliśmy wyraźne potwierdzenie tezy, że Tusk nie miałby nic przeciwko powrotowi dużo wyższej inflacji.

Podwyższona inflacja to oczywiście najbardziej sprawdzony sposób na redukcję publicznego zadłużenia. Premie-

Próba przejęcia NBP poprzez postawienie jego prezesa przed Trybunałem Stanu ma ważny podtekst ekonomiczny

rowi Tuskowi zależałoby także na tym, żeby rozruszać gospodarkę i tym samym zwiększyć wpływy do budżetu. Polska została właśnie poddana unijnej procedurze nadmiernego deficytu, co oznacza konieczność systematycznej poprawy podstawowych wskaźników. A ponieważ rządząca koalicja nie zamierza ani obniżyć podatków, ani demontować struktur wyrosłego w czasach poprzedników „polskiego państwa dobrobytu”, pozostaje jej jedynie nadzieja na szybki wzrost.

OSZUKAĆ PRZEZNACZENIE

Próba przejęcia banku centralnego poprzez postawienie jego prezesa przed Trybunałem Stanu ma więc bardzo ważny podtekst ekonomiczny. Pod wieloma względami polska gospodarka pozostaje wciąż na tle Europy prawdziwym czemionem wzrostu. W tym mechanizmie pewne elementy ulegają jednak coraz szybszemu zatarciu, o czym świadczy choćby wciąż niski poziom inwestycji. Rząd zakładał, że gdy tylko otrzyma do dyspozycji obiecane mu środki z Krajowego Planu Odbudowy, gospodarka zacznie pracować na zdwojonych obrotach. Spodziewanego cudu jednak nie ma, a zamiast tego z kraju napływają informacje o zwolnieniach grupowych i rekordowym poziomie postępowania o restrukturyzację (wzrost o 70 proc. rdr.). Rozczarowujący jest nawet eksport, który wprowadzie nadal pozostaje na historycznie najwyższych poziomach, lecz wyraźnie wytracił dotychczasową dynamikę wzrostu.

W tej perspektywie przejęcie kontroli nad polityką pieniężną wydaje się dla rządu sprawą absolutnie priorytetową. Praktycznie na całym świecie wdrażanie zielonej polityki zabija gospodarczy wzrost, a zmierzająca w tym zakresie wprost na zderzenie ze ścianą Polska pod obecnymi rządami bardzo chciałaby oszukać przeznaczenie, uzurpując dla siebie kontrolę nad bankiem centralnym.

Problem dla rządzących polega na tym, że kadencja Adama Glapińskiego upływa dopiero w 2028 r. Jako jednemu z głównych winowajców wielkiej fali inflacji z lat 2021–2023 przyjdzie mu w najbliższych latach w pewnym sensie częściowo odkupić swoje winy poprzez trzymanie w ryzach inflacyjnych zapędów rządu. Wypada tylko mieć nadzieję, że wspomniany przez Tuska „negatywny stosunek prezesa Glapińskiego do dzisiejszej polskiej rzeczywistości” utrzyma się tak długo, jak to tylko konieczne.

Dla uśmiechniętej koalicji Donalda Tuska powrót inflacji sięgającej niebawem już nawet 5–6 proc. to zaś zdecydowanie jedna z najbardziej dotkliwych wizerunkowych porażek. Jedną z głównych obietnic jego rządu było przecież powstrzymanie „pisowskiej władzy bogacącej się na inflacji” (słowa Tuska z czerwca 2022 r.). Nowa władza obiecywała powrót do normalności, ale jej nie-
domagania w zakresie walki z drożyzną wyszły na jaw zaledwie kilka miesięcy po objęciu rządu.

Zamiast na trwałe ugasić pożar, rządząca koalicja pozwoliła na to, aby inflacja znów stała się ważnym tematem społecznym. Taki rozwój sytuacji to oczywiście świetna wiadomość dla opozycji, która będzie mogła podgrzewać wrażliwy społecznie temat. Badania nastrojów społecznych na początku roku ukazywały, że Polacy powoli przestawali bać się inflacji, lecz w ostatnim czasie obawy te znów powróciły. Przeprowadzone przez United Surveys badanie dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM wykazało niedawno, że walka z rosnącymi cenami i wysokimi kwotami rachunków stanowi dla Polaków główny priorytet, jeśli chodzi o poczynania rządu (wskazało go aż 51,4 proc. badanych).

Donald Tusk nie zrealizował ogromnej większości swoich 100 postulatów na pierwsze 100 dni rządów. Jak się okazuje, nie pociągnęło to za sobą żadnych większych konsekwencji w sondażach. Jedną z najważniejszych nadziei, które wyborcy związali z objęciem przez niego władzy, było natomiast poskromienie drożyzny, które uważano za równie istotne co odblokowanie środków z KPO. Jeśli obóz rządzący w porę nie dopilnuje sprawy, to może go spotkać ze strony wyborców odpowiednia kara. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEMJuż co 10.
złotówka!

Jak nietrudno się dowiedzieć (np. dzięki businessinsider.com.pl), już co 10. złotówka wydzierana Polakom przez rząd pod postacią wszelakich podatków idzie na obsługę długu państwa.

Cóż, nie ma co ukrywać – po stokroć dziękujemy, panie premierze Morawiecki, i po stokroć dziękujemy, panie premierze Tusku!

A jak pamiętamy, bo zapewniał o tym osobiście właśnie premier Morawiecki, miało „wystarczyć nie kraść”, by „pieniędzy na wszystko wystarczyło”. Czy ktoś jednak kradł czy nie kradł – nie wiadomo, za to z całą pewnością wiadomo, że jednak „na wszystko” „nie wystarczyło” i oczywiście nadal „nie wystarcza”. Bo też nie może „wystarczyć”, gdy ktoś ma tak rozbudzoną potrzebę rozdawania cudzych – podatników, bo nie własnych – pieniędzy, jak ekipa Morawieckiego.

I to właśnie przez ów niepohamowany pęd do rozdawania swoim wyborcom pieniędzy podatników – i to nie tylko tych z ich bieżących wpłat, lecz także tych z kredytów zaciąganych przez polityków na konto podatników – biorą się dziś te gigantyczne raty od nich, sięgające co roku już dziesiątek miliardów złotych, które tak bardzo obciążają nasze – podatników – portfele, że aż co 10. złotówka z naszych podatków musi wędrować na spłatę zadłużenia. Nazwiska głównych autorów tego

„sukcesu” są dobrze znane: to Donald Tusk, którego poprzednie rządy zadłużyły Polskę na niemal pół biliona złotych, a na pewno na grubo ponad 400 mld zł, oraz Mateusz Morawiecki – absolutny rekordzista w tej „dziedzinie” – którego rządy zadłużyły Polskę na niemal bilion złotych, a na pewno na grubo ponad 900 mld zł.

No i teraz, jak widać – nie przez przypadek, nie z powodu jakiegoś niezawinionego przez rząd kryzysu finansów publicznych, lecz właśnie wskutek jego prowadzonej z rozmysłem polityki, która do tego kryzysu doprowadziła, a potem jeszcze rozhuśtała inflację poprzez niekończące się rozdawnictwo publicznego grosza – my, podatnicy, musimy ponosić tak horrendalne koszty zaciągniętych przez te rządy i ich szefów długów, sięgających już... 2 bln zł, czyli 2 tys. mld zł!

Dziś każda co 10. złotówka z naszych podatków, każde 10 gr z każdej złotówki, idzie właśnie na spłatę tych gigantycznych długów, które rządzący Polską politycy, na czele z Morawieckim i Tuskiem, sprowadzili na nasze głowy. Zamiast iść na lepsze finansowanie naszej armii, naszej policji, naszego szkolnictwa i naszej ochrony zdrowia.

A w 2025 r. pójdzie na to jeszcze więcej naszych pieniędzy – i to dużo więcej, bo na obsługę długu wydać będziemy musieli aż ponad 100 mld zł, wobec ok. 70 mld zł w tym roku! ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTALoewenstein
kontra Schmitt

Pan premier Tusk swoją koncepcję demokracji walczącej wzięł od Karla Loewensteina. Ten niemiecki prawnik żydowskiego pochodzenia (1891–1973) miał mocne osobiste powody, żeby taki koncept stworzyć. W 1931 r. osiągnął wysoką zawodową pozycję, zostając wykładowcą na wydziale prawa Uniwersytetu Monachijskiego. Jak nietrudno się domyślić, musiał tę posadę porzucić po zaledwie dwóch latach wskutek dojścia do władzy narodowych socjalistów.

**Broniąca się przed
autorytaryzmem
demokracja
przestawałaby
być
demokracją**

Wyjechał wówczas do USA, gdzie po niedługim czasie uzyskał obywatelstwo.

Po wojnie powrócił do Niemiec jako pracownik okupacyjnych władz amerykańskich. Powierzono mu oczyszczanie systemu z osób powiązanych z nazistowskim aparatem. To Loewenstein osobiście spowodował, że w areszcie znalazł się jeden z najsłynniejszych filozofów polityki, Carl Schmitt. Czytając o tej sprawie, można odnieść wrażenie, że było w tym

sporo osobistego odwetu. Schmitt był w internowaniu przez rok. Nie było przeciwko niemu dowodów wystarczających, aby postawić go przed sądem za jego rolę w nazistowskich Niemczech, gdzie faktycznie należał do NSDAP.

Spoglądając na koncepcje Schmitta i Loewensteina, można by zaryzykować tezę, że ze swoją demokracją walczącą ten drugi był poniekąd odbiciem pierwszego z jego teorią siły jako czynnika rozstrzygającego. Jednak o ile myśl Schmitta jest dzisiaj uznawana za jeden z fundamentów współczesnej politologii, o tyle myśl Loewensteina mało kto kojarzy. Może szkoda, bo jest to myśl bardzo groźna. Jego propozycje sprowadzały się do tego, aby demokracji bronić skrajnie niedemokratycznymi metodami. W ten sposób broniąca się przed autorytaryzmem demokracja przestawałaby być demokracją, czego Loewenstein postanowił nie dostrzegać.

W sięgnięciu przez pana Donalda Tuska po określenie z Loewensteina nie ma, jak sądzę, przypadku. Pan premier świetnie wie, że jego arcywrog, pan Jarosław Kaczyński, jest zafascynowany Carlem Schmittem. W ten oto sposób ci dwaj myśliciele stają znowu naprzeciw siebie – jak własne odbicia – napędzając plemienną wojnę w Polsce.

Historia miewa przewrotność poczucie humoru. ©©

XXXIII Forum Ekonomiczne w Karpaczu: kluczowe wnioski i wyzwania na



W dniach 3–5 września 2024 r. w Karpaczu odbyło się XXXIII Forum Ekonomiczne. To największe polityczno-gospodarcze wydarzenie w regionie stało się platformą wymiany poglądów na temat kluczowych wyzwań stojących przed regionem, takich jak innowacyjność, bezpieczeństwo łańcuchów dostaw i transformacja energetyczna

XXXIII Forum Ekonomiczne w Karpaczu, odbywające się od 3 do 5 września 2024 r., zgromadziło ponad 6 tys. uczestników, w tym przedstawicieli świata polityki, biznesu i nauki. Wydarzenie stało się

przyszłość



FOT. ARSLUMEN / FOTOWOZNAKIEWICZ

zmiany i perspektywy rozwoju regionu. Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum, podkreślał jego znaczenie, a Teresa Czerwińska z Europejskiego Banku Inwestycyjnego zwróciła uwagę na pytania o innowacyjność i bariery rozwojowe. Doktor Piotr Maszyk z SGH dodał, że choć tempo wzrostu regionu było imponujące, to zagrożeniem może być instytucjonalna krótkowzroczność.

Kwestie mieszkaniowe i ochrony zdrowia również znalazły się w centrum uwagi. Profesor Adam Czerniak z SGH przedstawił niepokojące dane dotyczące tzw. luki czynszowej, która w Polsce wynosi 35 proc., co plasuje kraj na czwartym miejscu w UE. Z kolei na temat polityki zdrowotnej debatowano w strefie „Wprost”, podejmując m.in. problem rosnącej umieralności z powodu chorób cywilizacyjnych i nowotworów.

NAGRODY FORUM: CZŁOWIEK ROKU I FIRMA ROKU 2024

Człowiekiem Roku 2024 Forum Ekonomicznego w Karpaczu został wicepremier, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. W kategorii Firma Roku 2024 nagrodę przyznano Budimexowi, a w kategorii organizacji pozarządowej – Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii im. prof. Religi w Zabrze.

Nagrody w tych kategoriach zwyczajowo wręczane są podczas wieczornych gali Forum Ekonomicznego.

WYZWANIA DLA ZDROWIA PUBLICZNEGO: DEBATY „WPROST”

Na Forum obecne były również redakcje „Wprost” i NewsMed, które w swojej strefie organizowały wiele wydarzeń poświęconych zdrowiu. Pierwszego dnia Forum zorganizowaliśmy trzy debaty:

- Jak zmniejszyć umieralność Polaków z powodu chorób cywilizacyjnych? Skuteczna profilaktyka i leczenie, by uniknąć powikłań;
- Ochrona zdrowia jako warunek konieczny rozwoju gospodarczego i jakości życia Polaków.

W środę, czyli drugiego dnia Forum, „Wprost” i NewsMed zorganizowały debatę „Efekt domina: serce-nerki-metabolizm (CRM). Jak poprawić opiekę

nad pacjentem i spowolnić progresję współwystępujących chorób?” oraz „Debatę Oksfordzką”. Jej teza to: „Żeby dogonić Europę Zachodnią pod względem długości życia, musimy więcej pieniędzy przeznaczyć na profilaktykę niż na leczenie”. Formuła debaty zakłada podzielenie uczestników na przeciwników i obrońców tezy.

BEZPIECZEŃSTWO ŁAŃCUCHA DOSTAW: WZMOCNIENIE NIEZALEŻNOŚCI EUROPY

Drugiego dnia Forum podpisano list intencyjny o współpracy w opracowaniu raportu dotyczącego bezpieczeństwa łańcucha dostaw w polskim przemyśle obronnym. Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślił znaczenie niezależności produkcyjnej Europy, wskazując na strategiczne wyzwania dla Polski.

„To jest bardzo ważny moment. Podpisujemy z Instytutem Studiów Wschodnich list intencyjny o współpracy. Europa musi być niezależna, nie może tracić swoich możliwości produkcyjnych. Ten raport będzie służył Rzeczypospolitej. Silne sojusze nie wystarczą, jeśli my nie będziemy silni. Musimy dbać o niezależność naszych łańcuchów dostaw. Raport pokaże niedociągnięcia oraz co już aktualnie dobrze funkcjonuje” – powiedział.

DEKARBONIZACJA I ROLA GAZU W TRANSFORMACJI ENERGETYCZNEJ

Podczas trzeciego dnia Forum dyskutowano m.in. o dekarbonizacji przemysłu. W panelu dotyczącym roli gazu ziemnego w transformacji energetycznej Robert Czekaj z ORLEN S.A. zwrócił uwagę na jego znaczenie dla stabilizacji polskiego systemu elektroenergetycznego, a wiceminister klimatu Miłosz Motyka podkreślił jego kluczową rolę w procesie dekarbonizacji, zwłaszcza w sektorze ciepłowniczym.

Innym istotnym punktem dnia była debata w ramach VI Forum Kultury Bezpieczeństwa. Ekspert z różnych gałęzi transportu, w tym kolejowej, morskiej i lotniczej, zastanawiali się nad znaczeniem inwestycji w technologię i szkolenia pracowników.

platformą wymiany myśli na temat najważniejszych wyzwań społeczno-gospodarczych Europy Środkowo-Wschodniej.

RAPORT SGH: WZROST, INNOWACJE I BARIERY ROZWOJOWE

Podczas sesji inauguracyjnej zaprezentowano kluczowy raport, analizujący

Liam i inni



Joanna Bojańczyk

Gdy w przedszkolu zawołasz Zosię, zostaną tylko Antosie. Polskie imiona tradycyjne trzymają się nieźle, ale i do nas dotarł Liam. Na razie do kręgów celebryckich, ale Emmy, Noahy i Mie są już ante portas. Moda na imiona staje się globalna, jak globalna stała się rozrywka



FOT. ANDRZEJ STOK

W show-biznesie najprostszym sposobem dodania sobie wyjątkowości jest drobna korekta imienia: np. literka h na końcu. Kayah, Sanah... – od razu robi się światowo. Gdzieby tam stanąć na estradzie jako zwyczajna Zuzanna czy Katarzyna, jedna z wielu!

Ale widać, że to, co można uznać za zrozumiałe w sferze rozrywki, staje się modą wśród zwykłych śmiertelników. Każdy przecież chce być wyjątkowy, niekoniecznie od razu na estradzie. Na początek w dowodzie osobistym. A sprawa ma jeszcze wyraźniejsze oblicze w krajach, które powoli stają się tygłem etnicznym i narodowościowym.

Co rok francuski INSEE (Narodowy Instytut Statystyki i Studiów Ekonomicznych) przedstawia listę imion najczęściej nadawanych dzieciom w minionym roku. Media oczywiście cytują te dane i młodzi rodzice mogą wybierać, jak nazwać lub nie nazwać przyszłego potomka. W roku 2023 najbardziej podobały się: Gabriel, Leon i Raphael dla chłopców, a dla dziewczynek Jade i Louise. Ciekawe, że bardzo wysoką pozycję – ponad 3,7 tys. urodzeń – zajmuje imię Mael, które jest zarówno żeńskie, jak i męskie. Jak widać, rzeczywistość odbija się nawet w imionach.

Francuski dziennik „Le Figaro” przeprowadził coś więcej niż wyliczankę modnych imion: z pomocą naukowców przedstawił ich analizę leksykalną i socjologiczną.

Okazuje się, że manipulacja ortografią jest najprostszym zabiegiem, którym rodzice starają się wyróżnić swego potomka z tysięcy innych. I nie chodzi o show-biznes, to przecież noworodki. Po prostu tak jest modnie. Louise, Ludwika – we Francji najpopularniejsze imię dla dziewczynek urodzonych w roku 2023 – to tradycyjne imię, które dla niektórych brzmi trochę starawo. Co zrobić, żeby zwykłą Louise odróżnić od 5 tys. innych urodzonych w tym samym roku? Wystar-

czy prosty zabieg językowy: podwojenie liter, dodatnie dwukropka (francuskie trema), usunięcie lub dodanie jednej litery. I mamy Louisee, Louïse albo Louyse. Podobnie z imieniem Alya. W swojej tradycyjnej formie użyto go rzadziej niż jego językowych wariacji: Allia, Alia, Alyah.

NARCYZM WYSOKICH LOTÓW

Ćwiczenie nie ogranicza się do imion żeńskich. Również wśród chłopców rodzice prześcigają się w odróżnieniu imienia swojego dziecka na chrzcie: Rafael staje się Rafaëlem, Raffaelem, Raffaëlem. Do imienia Mathéo dodaje się całą masę odmian, opierających się głównie na podwojeniu litery „t”, usunięciu litery „h” czy zastąpieniu ostrego akcentu bardzo modną dierezą. Językoznawcy wyszczególnili 12 różnych modyfikacji, którym poddawano imiona, starając się o oryginalność. Język francuski dzięki licznym akcentom, które zmieniają wymowę, ła-

two poddaje się zmianom. Przed rokiem 1993 urzędy stanu cywilnego we Francji nie dopuszczały dowolności w wyborze imion. Teraz mają obowiązek zapisać imię w wersji, której życzą sobie rodzice dziecka.

Nie wszyscy są zachwyceni tymi zabiegami. „Zniekształcenie ortografii wiele mówi o pochodzeniu społecznym rodziców. Zamiast umieścić swoje dziecko w rzędzie, starają się usilnie nadać mu oryginalność, razem ze wszystkimi konsekwencjami dla tego ósmego cudu świata” – skomentował socjolog Baptiste Coulmon.

Tendencja do zmiany pisowni staje się coraz bardziej zauważalna, zwłaszcza na coraz większą różnorodność etniczną młodych mieszkańców Francji. Inaczej mówiąc, coraz mniej jest imion tradycyjnie francuskich, coraz więcej obco brzmiących. Mohammed jest na 32. pozycji, Ethan na 36.

Manipulacja ortografią jest najprostszym zabiegiem, którym rodzice starają się wyróżnić swego potomka

Jednak w kraju, w którym pewne hierarchie wciąż pozostają nienaruszone, stare zasady nie przestają obowiązywać. Imię wskazuje na wiele rzeczy, m.in. na pozycję społeczną, miejsce zamieszkania. Niektóre imiona, szczególnie te zaczerpnięte z arsenału popkultury, mają swoją wymowę. Kewin, Noé (Noah) i Jordan to odpowiedniki naszych Brajanów i Dżesik i wbrew intencji tych, którzy je nadali, mogą okazać się „dyskryminujące”. Na przykład w sytuacji, gdy ktoś o tym imieniu stara się o pracę. Przy wysyłaniu aplikacji o pracę nie podaje się wielu danych osobowych; za kierowanie się w rekrutacji innymi kryteriami niż profesjonalne pracodawcy mogą mieć surowe kary. Tymczasem imiona niejednoznacznie wskazują na środowisko społeczne danej osoby... Podobną wymowę ma adres zamieszkania. Departament 93 to miejsce zamieszkania imigrantów.

Pod artykułem o imionach czytelnicy zostawili bezlitosne komentarze. „Wyróżnić się imieniem trzeba, kiedy nie można już niczym innym”; „Narcyzm wysokich lotów! Jeśli chcecie się wyróżnić, to nazwijcie dziecko Marie albo Guillaume”.

Rzeczywiście, imieniem Marie można się dzisiaj wyróżnić. Na długiej liście obecnie modnych we Francji imion nie znajdziemy tego, które przez ponad 100 lat nadano największej liczbie dziewczynek. Od roku 1900 otrzymało je 2,2 mln kobiet, teraz całkiem wyparowało z rzeczywistości.

IZAURA NA WIEKI

Duży wpływ, jaki popularne media mają na wybór imienia, ma charakter lokalny, a także w pewnym sensie globalny, bo dziś widzowie platform streamingowych oglądają to samo w różnych miejscach planety. Nasi Brajanowie, Dżesiki, Keviny mają swoje odpowiedniki w każdym kraju. Nawet zapomniana Izaura, hit lat 80., ma swoje imienniczki – w styczniu 2024 r. w rejestrze PESEL było 51 kobiet o tym imieniu nadanym jako imię pierwsze oraz 56 noszących imię Izaura jako drugie. Izaury lat 80. do dziś ponoszą konsekwencje fascynacji rodziców bohaterką brazylijskiej telenoweli. Ciekawe, czy są zadowolone.

Przeglądając listy modnych imion w Stanach Zjednoczonych, Social Securi-

Gdy się jest celebrytą, nie można poprzestać na zwykłych Jasiu i Marysi, nawet Nikodem wydaje się banalny

ty co rok publikuje listę najpopularniejszych. Agencja rozpoczęła tworzenie tej listy w roku 1997 i zanalizowała także przeszłość, cofając się aż do roku 1880. W latach 60. rządili Peter i George, 70. zostały opanowane przez Jennifer i Jasona. W latach 80. było jeszcze całkiem zwyczajnie: Michael, Matthew, Christopher. Wśród dziewczynek Jessica, Jennifer i Amanda. Ale im później, tym bardziej ekstrawagancko. W roku 2023 na podium znaleźli się Liam i Olivia, zaraz za nimi Noah i Emma.

Jak wszędzie, i tu media zarządzają rzeczywistością. Na przykład imię Kaeli wspięło się wysoko na liście w 2023 r., prawdopodobnie w następstwie wzrostu popularności gwiazdy mediów społecznościowych Kaeli McEwen. Chozen, drugie najszybciej zyskujące na popularności imię męskie, to imię bohatera najnowszego sezonu serialu Netflix „Cobra Kai”.

Do najszybciej zyskujących na popularności imion żeńskich zaliczały się także: Alitzel, Emryn, Adhara i Azari. Izael, Eiden, Cassian i Kyren to jedno z najszybciej zyskujących na popularności imion chłopców. Jak widać, czasy Johna i Mary odpłynęły w przeszłość.

CHANEL, NA OBIAD!

„Klasyczne imiona charakteryzują się ponadczasową elegancją” – pisze nasz oficjalny portal rządowy. Nie wiem doprawdy, jak nasz rząd rozumie słowo „klasyczne” i na czym polega „ponadczasowa elegancja”. Czy Eustachy i Zygmunt to są imiona bardziej czy mniej klasyczne od Jana i Stanisława? A Dobrosława jest elegancka czy nie?

W każdym razie w polskich przedszkolach, kiedy zawołasz Zosię, zrywa się większość dziewczynek; na miejscu zastają Antosie i Nikodemy. W odróżnieniu od zachodnich sąsiadów w Polsce Maria trzyma się nieźle – pozycja 10. Jan, Franciszek, Jakub i Aleksander także dali odpór ekscentrycznym pomysłom. Lista

roku 2023 wygląda tak: Zofia, Zuzanna, Hanna, Maja, Julia, Oliwia, Pola, Alicja, Maria. Ciekawe, że wśród chłopców ekscentryczny Nikodem wyprzedził Antoniego, dalej idą: Jan, Aleksander, Franciszek, Leon, Jakub, Ignacy, Mikołaj, Stanisław.

Gdy się jest celebrytą, nie można poprzestać na zwykłych Jasiu i Marysi, nawet Nikodem wydaje się banalny. Koko Claire i Kaszmir Amber, dziś już spore dziewczynki, córki Katarzyny Figury, są trudne do przebicia, choć konkurencja jest silna. Nikon to syn Doroty Gawryluk, Alika Lia – córka Katarzyny Skrzyneckiej. Nie jesteśmy gorsi – i my mamy Liama, to syn Mariny i Wojciecha Szczęsnych. Natalia Siwiec nazwała córkę Mia. Dziewczynki Magdy Modrej noszą imiona: Mia Chanel i Lea. Ciekawe, jak reaguje podwórko na wołanie mamy: Chanel, na obiad! Ach, zapomniałam, że celebryckie dzieci nie bawią się na podwórku.

Bardziej elitarnym sposobem zaznaczenia odrębności jest imię rzadkie, ale nasze. Gromosław zapewne pozostanie jedynym Gromkiem w szkole. Jak bardzo straciliśmy więc z przeszłością, świadczy to, że nawet nazwanie chłopca Zdzisławem (popularne imię w dwudziestoleciu międzywojennym), a dziewczynki Ryszardą budzi zdziwienie.

EMIL VERSUS KURT

Lista 10 najpopularniejszych imion nadawanych dziewczynkom i chłopcom w Niemczech w 2023 r. pozostaje w dużej mierze taka sama jak w ciągu ostatnich kilku lat. Trudno powiedzieć, czy jest to wyraz stabilności upodobań, konserwatyizmu czy większej odporności na amerykańską miazgę popkulturową. Można także zauważyć, że niemieckim dzieciom rodzice nadają imiona podobne do tych, które dostają ich polscy rówieśnicy. Mamy więc Sofię i Emilię, jednak wśród chłopców czołową pozycję zajmuje egzotyczny Noah – ostre zderzenie z Kurtem i Hansem.

Dalsze miejsca listy pozostały stabilne: Emma, Mia, Hannah, Mila, Lina, Ella i Klara/Clara w przypadku dziewczynek; Leon, Paul, Emil, Luca, Henry, Elias i Lukas dla chłopców. Ale i tutaj dotarli Liam oraz jego żeńska wersja – Lia(h) dla dziewcząt; oboje na wysokiej pozycji numer 10.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



NISSAN JUKE

Zółty, żółtszy, najżółtszy. Tak najkrócej można opisać ewolucję popularnego modelu Nissana, który w wersji na 2024 r. przeszedł istotną metamorfozę stylistyczną i technologiczną. W ramach liftingu projektanci japońskiej marki nie tylko odświeżyli wygląd zewnętrzny auta, lecz także unowocześnili kabinę, znacząco ulepszając m.in. pokładowy system multimedialny.

Odświeżony Juke nadal przyciąga spojrzenia. Odważny i wyjątkowy design z agresywnie zarysowanymi liniami nadwozia oraz intrygującymi światłami sprawia, że to auto można od razu pokochać lub znienawidzić. Przy czym charakter tego modelu

najlepiej oddaje właśnie wersja w kolorze żółtym, który po liftingu stał się jakby żółtszy, bo projektanci nieco go rozjaśnili, co dodało mu wyrazistości.

Duże zmiany zaszły we wnętrzu kultowego modelu. Do wykończenia kabiny zastosowano lepszej jakości materiały. Również w środku nie zapomniano o dobrze wkomponowanych w całość żółtych akcentach. Ekran systemu multimedialnego mocno urosł (jego przekątna wynosi już 12,3 cala) i oferuje dużo lepszą rozdzielczość (bardzo wyraźnie poprawiła się też jakość obrazu z kamery cofania). Drugi cyfrowy wyświetlacz TFT trafił za kierownicę, dzięki czemu można łatwo skonfigurować dane,

które powinny być wyświetlane podczas jazdy. Unowocześniony Juke umożliwia też łatwą łączność z Android Auto i Apple CarPlay.

We wnętrzu podobać mogą się również sportowe fotele z wbudowanymi głośnikami Bose w zagłówkach czy ambientowe oświetlenie. Japońscy projektanci pamiętali również, że crossover z segmentu B musi być praktyczny. Odświeżony Juke ma więc sporo praktycznych półek i przegródek oraz dobrze przemyślany schowek w podłokietniku. Ogólnie komfort jazdy modelem po liftingu jest zauważalnie wyższy.

Niestety, kabina jest dość przeciętnie wygłuszona, przez co we wnętrzu przy mocniejszym wciśnięciu pedału gazu robi się już zbyt głośno.

Juke po liftingu oferowany jest w dwóch wersjach silnikowych: z silnikiem 1.0 DIG-T o mocy 114 KM lub z układem hybrydowym 1.6 o łącznej mocy 143 KM. Wersja hybrydowa zwłaszcza w mieście spisuje się świetnie, a także w trasie jest wystarczająco dynamiczna. Średnie spalanie wynosi ok. 6,5 l/100 km.

Auto wyposażone jest w liczne systemy poprawiające bezpieczeństwo jazdy, jak ostrzeganie przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu (w standardzie) czy system ProPILOT Assist.

Juke w wersji wyposażenia Acenta został wyceniony na co najmniej 107,9 tys. zł. Za ten sam model w wersji N-Connecta trzeba zapłacić 115,4 tys. zł. Wersja Tekna (z inteligentnym systemem kamer 360 stopni, systemem ProPILOT Assist i podgrzewanymi fotelami, kierownicą i szybą) kosztuje co najmniej 131,6 tys. zł. Za najdroższą wersję N-Design trzeba zapłacić już 138,8 tys. zł.

FOT. JAP

MOBILNY ROUTER 5G ZTE U50

Kompaktowe wymiary, minimalistyczne wzornictwo, wsparcie dwóch zakresów 5G, obsługa wi-fi 6 AX, możliwość podłączenia wielu urządzeń jednocześnie oraz bateria o pojemności 4500 mAh – to największe zalety mobilnego routera przeznaczonego do szybkiego łączenia się z Internetem nie tylko podczas wieczorów na kempingu czy dzięki plaży, lecz także np. podczas prezentacji poza własnym biurem, służbowych podróży pociągiem czy prywatnych wyjazdów samochodem na drugi koniec kraju/Europy.

Lekkie (164 g), niewielkie urządzenie (wymiary to 18 mm x 118 mm x 72 mm) w kolorze białym ma obudowę zrobioną w taki sposób, aby nie działała jak magnes na odciski palców. Router wygląda na tyle elegancko, że bez wstydu można go położyć obok laptopa podczas biznesowego spotkania czy podróży pociągiem „biznes class”. Urządzenia można również używać do stworzenia sieci wi-fi podczas zdalnej pracy w domach położonych na obrzeżach dużych miast, do których dociera jeszcze sygnał 5G, ale które są już za bardzo na uboczu, aby operatorom opłacało się kłaść światłowód.

Sercem urządzenia jest wydajny Qualcomm Snapdragon X55. Router oferuje wsparcie dwóch zakresów 5G (NSA i SA), co umożliwia mniejsze opóźnienia, większą stabilność oraz pozwala uzyskać wyższe prędkości transferu danych.



Pobieranie za pośrednictwem testowanego routera odbywa się z maksymalną prędkością do 2,63 GB/s. Z kolei szybkość wysyłania danych dochodzi do 525 MB/s.

Router ZTE U50 obsługuje wi-fi 6 zarówno w zakresie 2,4 GHz, jak i 5 GHz oraz technologię 2x2 MIMO, co pozwala na przesyłanie danych wewnątrz sieci wi-fi z prędkością maksymalną 1800 Mb/s. I chociaż

aż tak wysokich prędkości podczas testu nie zaobserwowałem, to pisząc po ludzku, router ten umożliwia na tyle szybki transfer danych, aby można było płynnie oglądać filmy i seriale, błyskawicznie surfować po Internecie czy grać w nowe gry (choć ping może być w niektórych miejscach trochę za wysoki dla wymagających produkcji).

Według producenta do testowanego routera poprzez wi-fi można jednocześnie podłączyć nawet 32 urządzenia. Model ZTE U50 ma również gniazdo USB 3.0 typu C, które można wykorzystać do udostępnienia łącza za pomocą kabla. Bateria o pojemności 4500 mAh na jednym ładowaniu wytrzymuje mniej więcej osiem godzin ciągłej pracy.

Minusy? Przy dłuższym użytkowaniu router potrafi mocno się nagrzać. Cena: 885 zł.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Miasto emira Rzewuskiego



JACEK KOMUDA

Dzisiejszy Sawrań na południe od Humania na początku XIX w. był osobliwym miejscem. Mieściła się tutaj przepiękna stadnina koni arabskich Wacława Seweryna Rzewuskiego. Rzewuski zaś, dziś nieco zapomniany, to jeden z najwybitniejszych polskich orientalistów, znawca koni wschodnich zwanych arabskimi, które mają w sobie zniewalające piękno. Kto je poznał, kogo oczarowały jak piękna niewiasta, ten może spędzić z nimi resztę życia.

Hrabia Wacław był synem arcyzdrajcy, hetmana polnego Seweryna, twórcy konfederacji targowickiej. Wywieziony do Wiednia kształcił się w szkole wojskowej i służył w armii austriackiej, biorąc m.in. udział w bitwie z wojskami napoleońskimi pod

Aspern. W 1811 r. wrócił na Humańszczyznę, gdzie objął dobra w Sawranii, Kuźminie i Łanowcach. Sześć lat później, wykorzystując wsparcie cara Aleksandra, rozpoczął ogromną wyprawę na wschód arabski,

w czasie której zwiedził dzisiejszy Irak, Syrię, dotarł z pielgrzymką do Mekki. W czasie podróży przejął obyczaje arabskie, żył tak jak pustylni Beduini, otrzymał tytuł emira i został przyjęty do licznych plemion. Powrócił, prowadząc ogromne stado koni arabskich, które stało się później początkiem wielu kresowych stadnin. Do końca życia utrzymywał je we wspomnianym Sawranii, który stał się na początku XIX w. swoistym orientальnym miasteczkiem.

Rzewuski zbudował stajnię w stylu arabskim i skromny dwór, w którym mieszkał. Był on urzędzo-

ny na sposób wschodni. Największa izba obita była, jak zapisał Jaxa-Bykowski, pasowym obiciem w złote gwiazdy. Pod ścianami znajdowały się niskie sofy. Przy każdym z siedzeń stał kalian, tj. cybuch fajki przechodzący przez wodę, odpowiednik współczesnej sziszy. We dworze były łaźnie i kapliczka.

Emir przywiózł z podróży imponujący zbiór pamiątek. Przede wszystkim arabskie rzędy końskie, broń, makaty, a także ogromną liczbę rękopisów. W tym, jak podaje Filip Kucera w swej pracy poświęconej Rzewuskiemu, jeden zawierający opis Azji i prowincji rumelijskich oraz bośniackich Porty Otomańskiej, będący częścią „Dżihannuma”, autorstwa Kâtipa Çelebi. Innym był „Dżawahir al-Kuran” Al-Ghazaliego. Nie zabrakło także traktatów o koniach arabskich, jak „Kitab wa al-mahzan dżama al-funun”. Był oczywiście Koran spisany na skórze gazeli, подарowany hrabiemu przez Jana Ludwika Asselina de Cherville’a, francuskiego orientalistę.

We dworze znajdowały się zbiór pieczęci mezopotamskich, posążki i pamiątki archeologiczne. Najważniejszą częścią dobytku Rzewuskiego była jednak stadnina. Wracając do podzielonej Rzeczypospolitej w 1821 r., emir przyprowadził 137 koni arabskich, z czego 78 pozostał dla siebie, pozostałe zaś rozdał władcom i książętom, których wsparciu zawdzięczał wyprawę, m.in. carowi Aleksandrowi i Katarzynie Wirtensburskiej. Już po kilku latach stado sawrańskie wyceniano na dwa miliony ówczesnych złotych. Jak pisał Spirydion Ostaszewski: „Wszystkie sztuki były czyste arabskie, nie było tam konia roslęgo, w ogóle były małe lub mierne, albowiem Wacław Rzewuski przejął arabszczyznę przeciwny był

wzrostowi konia, chciał tylko mieć krew, ród, a wzrostu nie pragnął, utrzymując, że przez podnoszenie wzrostu straci cechy i własności czystych arabów. Doszedł on do liczby 80 matek, mało kiedy konia sprzedawał, bo właśnie wtedy największa była u nas stagnacja w miłości i znawstwie koni”.

Rzewuski sam był ekscentrykiem, biorąc pod uwagę ówczesne czasy. Ubierał się jak Arab, nosił burnus i maszkę, za litym pasem perskim trzymał kindżał. Konie kochał tak bardzo, że spał z nimi w stajni, a wiosną i lato spędzał ze swoim stadem w stepie, rozbijając namiot. Gości podejmował daktylami, gotowanym ryżem i fajką. Chodziły słuchy, że przeszedł na islam, co jednak trudno potwierdzić, gdyż jednocześnie pozostawał gorliwym katolikiem.

Syn targowiczanina spłacił z nawiązką zbrodnie ojca, należał bowiem do Towarzystwa Patriotycznego i był przesłuchiwany oraz obserwowany przez carską policję. W czasie powstania listopadowego wystawił oddział jazdy kozackiej i wziął udział w bitwie pod Daszowem 14 maja 1831 r., po której... zaginął w nieznanych okolicznościach. Nikt nigdy nie znalazł jego ciała, na polu bitwy odnaleziono tylko pałasz. Istnieje kilka teorii o jego śmierci – jedna, że zginął w czasie oblężenia powstańców, druga, iż zabili go i ograbili chłopcy, być może we wsi Sebastianówce. Najdziwniejsze jednak, że nie odnaleziono również konia emira, sławnej w okolicy klaczy o imieniu Gaza. Być może, jak głosi legenda, razem z wiernym kozakiem miał dotrzeć do Sawranii, zabrać stąd dwa najcenniejsze kohejlany i uciec do Arabii, gdzie żył jeszcze długo wśród Beduinów i ukochanych koni o wielkich oczach. ©

RYS. JQA

I RZECZYPOSPOLITA

Sawrań



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

Weekendowe wycieczki na grzyby są u nas tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Jeździmy do lasu całymi rodzinami i traktujemy to jako formę relaksu i sposób spędzenia czasu razem. Najbardziej lubimy zbierać borowiki szlachetne, bo są zazwyczaj najbardziej okazałe i piękne, jak również smakują wyjątkowo i pasują do najbardziej wyrafinowanych dań, szczególnie mięsnych. Następny to podgrzybek brunatny – mniej szlachetny, ale za to bardziej intensywny kolor. No i oczywiście najbardziej ulubiona przez nas kurka, czyli pieprznik. Lubimy też rydze, kozłarze oraz przypominające w smaku kotlet schabowy kanie – uwaga, te są niebezpieczne, bo można je pomylić ze śmiertelnie trującym muchomorem sromotnikowym.

Najpopularniejszą formą przechowywania grzybów jest suszenie. Z takich grzybów możemy zrobić aromatyczną zupę. Grzyby można też zamrozić (wówczas mamy świetną bazę do sosów) oraz zrobić grzybki marynowane.

Naszym ulubionym daniem z grzybów jest zupa grzybowa z grzybów suszonych oraz faszerowany grzybami kurczak. To istna poezja smaków i połączenie

SIOSTRY GOTUJĄ

Skarby z lasu

delikatnego mięsa drobiowego ze smakiem grzybów.

Pierś kurczaka faszerowana grzybami leśnymi

- 4 pojedyncze piersi kurczaka
- 1 cebula • 1 szalotka • 300 g grzybów – podgrzybki, prawdziwki
- 1 łyżka bułki tartej • 4 ząbki czosnku • natka pietruszki • cytryna, sól, pieprz, czerwona słodka papryka do smaku • 2 łyżki mąki
- 100 ml śmietanki słodkiej • 2 łyżki masła i 100 ml oleju do smażenia

Grzyby namaczamy ok. 1 godz. w wodzie, potem gotujemy do miękkości ok. 30 min. Cebulkę kroimy w kostkę, podsmażamy na maśle, dodajemy drobno posiekane grzyby, podsmażamy, na koniec dodajemy bułkę tartą. Całość mieszamy i pozostawiamy do wystygnięcia.

Pierś kurczaka nacinamy wzdłuż, robiąc kieszonkę. Oprószyć solą i pieprzem, a do kieszonki wkładamy grzybowy farsz. Boki możemy spiąć wykałaczkami. Tak przygotowaną pierś należy oprószyć mąką i obsmażyć na rozgrzanym oleju z każdej strony na złoty kolor, a potem przełożyć do naczynia żaroodpornego, podlać odrobiną wody i włożyć do piekarnika rozgrzanego do 190 st. C na ok. 15 min.

Na patelni, na której smażyliśmy kurczaka, podsmażamy pokrojoną szalotkę i czosnek, podlewamy wodą i dusimy ok. 15–20 min.

Na koniec dodajemy śmietankę wymieszaną z mąką, sokiem z cytryny i natką pietruszki. W taki sposób powstanie gęsty sos, do którego wkładamy piersi. ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Fabryka czekolady

Dziś nie te czasy, kiedy zamiast lekcji matematyki można było pójść na wycieczkę do fabryki słodczy. Nawet ze świadomością, że seans łakomstwa może skończyć się problemami żołądkowymi. Teraz przepisy nie pozwalają na wpuszczenie stad dzieciaków na taśmę produkcyjną. Ciekawie może być jednak nawet wtedy, gdy proces produkcji czekolady można obserwować na filmie. Tak jest w Muzeum Fabryki Czekolady E. Wedel, które właśnie otwarto w Warszawie. Obiekt jest pięknie, nowocześnie zaprojektowany.

Nie ma Polaka, który nie znałby smaku wedlowskiej czekolady. Starsi pamiętają kolejkę do firmowego sklepu w Warszawie przy ul. Szpitalnej. Szczęśliwcom po odstaniu paru godzin udało się wyjść z torcikiem, ptasim mleczkiem, mieszkanką czekoladową. Bombonierka pralinek nadziewanych migdałami, owocami, likierem była niezawodnym prezentem dla lekarza, narzędziem motywacyjnym dla urzędnika, który miał załatwić trudną sprawę, prezentem dla znajomych za granicą. Wedel był tak silną marką, że nawet stalinowscy reformatorzy historii nie ośmielili się usunąć jego nazwiska z opakowań czekolady. I tak żaden Polak nie mówił o czekoladkach 22 lipca, tylko o wedlowskich.



Po transformacji komunistyczna data Manifestu lipcowego nareszcie znikła z opakowań. Dziś nazwisko Wedla jest oczywistym hołdem dla tradycji, a także chwytem marketingowym odwołującym się do historii fabryki sięgającej połowy XIX w. Teraz zakład należy do Japończyków.

Jak przysłało na nowocześniejszy obiekt kultury, Muzeum Wedla jest interaktywne. Na każdym piętrze, a poziomów jest sześć, zwiedzający zostaje wprowadzony w inny etap produkcji czekolady. Zbiór owoców, fermentacja, suszenie, kruszenie – poznajemy to wszystko za pomocą dotyku, a nawet – jakkolwiek dziwne by się to wydawało – słuchu. Można poskakać po wielkiej tabliczce i dowiedzieć się, jakie dźwięki towarzyszą jej łamaniu, można usiąść na pufie pralince. Kto chciałby stworzyć własne dzieło czekoladowe, może udać się do oddzielnej sali warsztatowej, w której pograży się w kreatywnej pracy cukiernika. Można wdrapać się na szóste piętro, na taras widokowy, skąd roztacza się panorama Warszawy ze Stadionem Dzieśięciolecia w roli głównej.

Słodczy wyrobów czekoladowych, które pod koniec wizyty można kupić w muzealnym sklepie, może zakłócić tylko cena biletów. 70 zł to trochę dużo, zważywszy, że głównymi odwiedzającymi będą zapewne rodziny z dziećmi. ©



Jerzy Karwelis

DEKAMERONKI

Aborcja trójpodziału

Dzisiejsze boje o aborcję nabrały innego, rozszerzającego aspektu. Demolują prawo, i to nie tylko na poziomie praworządności, lecz także podstawowej zasady państwa prawa – trójpodziału władzy. Były to totemy wojny plemienia wtedy opozycyjnego, a dziś rządzącego. Teraz mamy z tej strony postulaty kompletnej zamiany znaków. Jeżeli za hasło ma się tylko ośmiogwiazdkowy bluzg, to po jego osiągnięciu wszelkie dalsze uzasadnianie działań nie ma sensu i można się posunąć w zaprzeczanie samemu sobie. I tak jest dzisiaj. Popatrzmy – mamy ten sławetny trójpodział, czyli władza ustawodawcza, sądownicza i wykonawcza. W „ciągu prawnym” mamy, powiedzmy, Kodeks karny z przepisami z rąk ustawodawcy. W przypadku jego przekroczenia władza wykonawcza wyłapuje danego delikwenta i przechodzi on do rąk władzy sądowniczej celem wymierzenia wyroku.

Dzisiaj posunięcie rządu Tuska o wydaniu wytycznych w sprawie aborcji jest poważnym naruszeniem tego ciągu praworządności, i to bez względu na temat, akurat tu – może i specjalnie dla przykrycia istoty – emocjonalny, którym jest aborcja. Mamy bowiem w tych trzech członach władzy – ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej – brakujący środkowy element. Bo jest tak: stan prawny jest

nieruszony, bo ruszyć go bez zmiany konstytucji się nie da. Element trzeci – sądy nawet nie muszą być poddane żadnej presji, by orzekać wbrew prawu, na co zresztą wielu rozgrzanych sędziów by się zgodziło, bo w bardziej błahych sprawach się godzą. Sądy śpią spokojnie, bo przed ich obliczem... nie zjawi się żaden podsądny. Dlatego że brakuje elementu środkowego, czyli ruchu władzy wykonawczej. Prokurator nie będzie wszczynać, policjant nie zatrzyma.

Teraz rządzią wytyczne. Poszliśmy jeszcze bardziej w dół, choć po tym, jak zaczęto rządzić w Polsce uchwałami Sejmu, wydawało się, że niżej nie można upaść. Brak ścigania to marchewka. Kij to rekomendacje Ministerstwa Zdrowia, że wystarczy zdalny kwit od lekarza rodzinnego, że niechcąca matka złapała doła, a lekarz może aborczyć dziecko, nawet w dziewiątym miesiącu ciąży. Ba, może. Musi, bo jak nie, to znaczy, że nie stosuje procedur i zdejmie się danej placówce dofinansowanie z NFZ za... niewykonywanie procedur.

I ten trick, rządzenia coraz bardziej rozpasanej władzy wykonawczej, będzie do utrzymania jako modus nowej, uśmierzniejszej władzy w każdej sprawie, nie tylko aborcji. Ta ma za sobą większość, która zdobyła władzę pod hasłami przywrócenia praworządności. Okazało się, że takiej, jaką ją oni rozumieją... © ©



Jan Pospieszański

#WARTO

Opcja zero – lub zero powołań

Znalezienie w Drobinie martwego mężczyzny w mieszkaniu wikarego to kolejny taki wypadek w tym roku. W marcu, w Sosnowcu, również w mieszkaniu księdza, znaleziono martwego mężczyznę. Tam śledczy ustalili, że 21-latek przebywał u kapłana w charakterze partnera seksualnego, a śmierć nastąpiła wskutek przedawkowania mefedronu. Ksiądz, Krystian K., u którego znaleziono zmarłego, był także pod wpływem środków psychoaktywnych. Wcześniej kapłan był już raz zatrzymany za posiadanie narkotyków.

W tej samej diecezji, latem 2023 r., w Dąbrowie Górniczej, podczas orgii seksualnej w mieszkaniu kapłana, jeden z uczestników zasnął i dopiero po interwencji policji udzielono mu pomocy. Po skandalu w Dąbrowie Górniczej ks. Tomasz Z. usłyszał zarzuty za nieudzielenie pomocy, a konsekwencją prac specjalnej komisji było odwołanie bp. Grzegorza Kaszaka z diecezji.

Jeżeli w ciągu jednego roku są trzy takie wydarzenia, o których dowiadujemy się tylko dlatego, że dochodzi do śmierci lub zagrożenia życia, to o ilu innych zdarzeniach nie dowiedzieliśmy się, ponieważ nie miały tak tragicznego finału? A przecież w sosnowieckiej diecezji wcześniej doszło do zabójstwa, a potem do samobójstwa wśród duchownych. To w tej diecezji w 2013 r. Stolica Apostolska rozwiązała seminarium, które-

go rektor nigdy nie oczyścił się z zarzutów udziału w skandalu w gejowskim klubie. Jeśli okazuje się, że ks. Krystian K. (u którego zmarł 21-latek) pełnił funkcję sędziego sądu biskupiego, to jak wygląda kondycja moralna diecezji? Przez 12 lat nie było w Sosnowcu siły, która by potrafiła zmierzyć się z patologiczną homoseksualną kliką.

Tragedia w Drobinie ma miejsce w diecezji płockiej, gdzie w 2007 r. redakcje „Warto rozmawiać” i „Rzeczpospolitej” ujawniły, że w niższym seminarium homoseksualni księża wykładowcy deprawowali kleryków. Doszło do zmiany biskupa i również tam rozwiązano seminarium. Okazało się teraz, że ks. Grzegorz, wikary z Drobina, był klerykiem tamtego feralnego seminarium. Niestety, po 17 latach, mówiąc językiem biblijnym, ziarno zatrutego zasiewu wydaje straszliwy plon. Taktyka działań pozorowanych, stosowana przez władze duchowne obu diecezji, przynosi tragiczne rezultaty. Patologiczne homostruktury są już tak rozpasane, że zawodzi nawet instynkt samozachowawczy. Nie dziwny się, patrząc na puste seminaria (w roku akademickim 2024/2025 w kilku seminariach odnotowano zero zgłoszeń). Nikt o zdrowym powołaniu nie będzie chciał iść taką drogą. Tylko opcja zero może być skuteczna. Wszyscy zdeprawowani, won! Wierni wolą mieć jednego kapłana w parafii, ale świętego. © ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Labilny
podpisowo

Dzień dobry, pięknym naszym krajem rządzi premier labilny podpisowo. Stop. Dokładnie nie wiadomo jeszcze, jakie mogą być konsekwencje (żeby chłopina jakiejś wojny nie podpisał), niemniej nie kupujcie od niego samochodu, gdyż podpis Donalda Tuska niewiele znaczy, niestety, a sam Donald ma tego świadomość. Stop. Warto zauważyć nową jakość w cywilizacji zachodniej: Tusk jest otóż odrobinę prekursorem, bo właściwie mówi wprost, że uprawia lekką prawniczą bandyterkę; będzie stosował prawo, tak jak on je rozumnie, bo sam tak mówi. Stop. Trochę powinniśmy być przerażeni tym Tuskiem, ale nie dajmy po sobie poznać. Stop.

Demokrację walczącą wprowadza nam ten sam premier o nazwisku tym samym – Tusk. Stop. Sprawa jest nadzwyczaj prosta, jeśli przy demokracji pojawia się jakikolwiek przymiotnik, to demokracji nie ma. Ćwiczyliśmy to z demokracją ludową, kiedy głęboki komunizm chciał udawać wolność. Stop. Trochę powinniśmy być przerażeni, ale nie dajmy po sobie poznać. Stop.

Jest sytuacja inna, nowa, której na nazwisko Wróbel, a na imię Włodzimierz. Stop. Pan Wróbel jest sędzią i profesorem i naucza działwę, mówiąc z bardzo mądrą miną (widziałem minę). Stop. W dużym skrócie, syntetycznie: tenże Wróbel na przykładzie podpisu

Tuska i wycofania podpisu Tuska przez Tuska uważa, że wszystko jest OK, gdyż – uwaga! – okoliczności. Stop. Rozumieją państwo? Sędzia prof. Wróbel jest nam w stanie uzasadnić, że podpis nic nie znaczy, gdyż ponieważ i już, dużo jest w stanie wypowiedzieć zdań podrzędnie złożonych, aczkolwiek jałowych. Stop. Dobra tam, było to nie za bardzo miłe z mojej strony, ale teraz będzie gorzej: ten Wróbel profesor naucza studentów. Rozumieją to państwo? Stop. Nasze przyszłe elity naucza facet, który twierdzi, że podpis może nie być podpisem, gdyż okoliczności. Stop. Odnoszę wrażenie, że my nie potrzebujemy takich Wróbelowatych elit. Stop. Może to dlatego, gdyż myślimy. Stop.

Adam Bodnar z Donaldem Tuskiem zaproponowali sędziom, żeby ukorzyli się, wyrazili czynny żal i być może (czegoś mogłem nie zrozumieć) pocałowali dyskretnie w pierścionek. Stop. Śmiało dosyć postępowanie, biorąc pod uwagę to, że któryś z tych sędziów może zdecydować, czy więzienie pewnych osób związanych z demokracją walczącą będzie krótkie czy niekoniecznie. Stop.

Spółki kontrolowane przez państwo zarobiły w drugim kwartale tego roku niecałe 7 mld zł, czyli o 40 proc. mniej niż przed rokiem. Stop. Ja wiem, że PiS już nie rządzi, niemniej to musi być wina PiS. Stop. No bo czyja? ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Kandydat
nie odmawia

Coraz ciekawsze stają się doniesienia dotyczące wyboru kandydata na prezydenta Polski z ramienia PiS. Rąbka tajemnicy uchylił w tym względzie sam prezes Jarosław Kaczyński. „Musi być młody, wysoki, okazały, przystojny” – obrazowo oświadczył prezes na antenie Radia Maryja. „Musi znać bardzo dobrze język angielski. Najlepiej, jakby znał dwa języki [...]. Musi być obyty międzynarodowo. To powinien być człowiek, dla którego świat nie jest czymś obcym” – sprecyzował oczekiwania partyjny przywódca.

Poszukiwania młodego przystojniaka ruszyły pełną parą. Ciekawe, że o wymogach dotyczących wykształcenia i intelektualnej formacji kandydata nie usłyszeliśmy w rozmowie ani słowa. Czyżby zabrakło już w PiS przystojnych profesorów, a choćby i doktorów z habilitacją? Kryterium „międzynarodowego obycia” i „znajomości angielskiego” brzmi, w ustach żoliborskiego inteligenta z doktoratem, niczym zamaskowana kapitulacja. Wymogi tego rodzaju stawiać mogą jurorzy w prowincjonalnym konkursie modelek, na którym długonogie hostessy recytują frazesy o pasji odkrywania świata i pomagania dzieciom wszystkich kolorów skóry.

Stylistykę konkursu piękności zręcznie podchwycił na antenie Radia Zet jeden z najczęściej wskazywanych faworytów prezydenckiej

rywalizacji – Zbigniew Bogucki. „Lat 44. Wzrost 183 cm. Okazały? Kwestia oceny. Przystojny? To nie jest kwestia mojego uważania. Skoro żona za mnie wyszła, to chyba nie jest ze mną tak najgorzej. Języki? Znam, przede wszystkim angielski. Międzynarodowe obycie? Byłem na różnych konferencjach”. „Prezesowi się nie odmawia” – oświadczył w tym samym wywiadzie, pytany o prezydenckie ambicje Zbigniew Bogucki.

Jesienią roku 1993 zdaniem „premierowi się nie odmawia” rozpoczęła swoją karierę w świecie wielkiej polityki Miss Polonia roku 1992, Trzecia Wicemiss w konkursie Miss Świata, a także Miss Świata Studentek – Ewa Wachowicz. Po latach okazało się, że nie było to zdanie przypadkowe. „Nie tylko wyjaśniało motywację Ewy, lecz także pokazywało jej osobowość, siłę charakteru. Było żartobliwe, pokazywało dystans Ewy do samej siebie, jej osobowość i odrobinę tzw. charakterku” – tłumaczył po latach współautor pamiętnej frazy, przyszły mąż urodziwej pani rzecznik.

Słowem Zbigniewa Boguckiego przyświecały zapewne podobne intencje. Nadmiar niezależności i polityczna samodzielnność musiałyby jego szansom potężnie zaszkodzić, a pokazanie „odrobiny charakterku” może się Kaczyńskiemu spodobać. Zwłaszcza gdy będzie to odrobina naprawdę niewielka. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Manikiurzysta” w PIW

Gdy po śmierci Stalina zaczęły się pierwsze poddmuchy odwilży, próbując się uwiarygodnić, ratować przed nadciągającymi rozliczeniami, Urząd Bezpieczeństwa zrzucił z sań płk. Jacka Różańskiego – symbol swoich zbrodniczych metod, głównego oprawcę. Zesłano go na front kulturalny na szefa Państwowego Instytutu Wydawniczego, ukaranego za inteligencję, rewizjonizm, publikowanie wysublimowanej poezji i prozy, zamiast marksistowskich gniotów.

Na kierownictwo PIW, jego redaktorów, maszynistki i sprzątaczkę padł błąd strach, jak najbardziej uzasadniony. Różański (brat Jerzego Borejszy, prezesa Czytel-

być niczym innym jak katem i prześladowcą twórczości [...]). Potwór ludzki w roli wydawcy!” – pisała w swoim dzienniku Maria Dąbrowska. „Współpraca z nim zaczęła się dramatycznie” – wspominała redaktor Irena Szymańska, jego zastępczyni. Tłumaczka, zwolniona właśnie z więzienia, nie mogła znaleźć pracy, otrzymała więc od niej przekład powieści Zoli i wpadła akurat do PIW, żeby coś uzgodnić, poznać nowego szefa, o którym nic nie wiedziała. Gdy weszła do gabinetu Różańskiego, zemdląca, upadła na podłogę, bo to on przesłuchiwał ją i bił. Zupełnie go to jednak nie speszżyło, udawał kulturalnego pana, liberała, wchodził do wszystkich

wała i dzięki niemu jej syn dostał się wreszcie na studia.

Szybko jednak zrzucił maskę. Na kierownicze, dobrze płatne stanowiska pozatrudniał znajomych z bezpieki. Gdy na jakimś dokumencie dla banku niewyraźnie się podpisał i księgowa poprosiła go, aby zrobił to jeszcze raz, krzyczał: „Ten podpis wystarczał, aby ludzie szli na śmierć, a pani mi tu głowę zawraca” – wspominała w jednym z wywiadów Zofia Bartoszewska, żona Władysława, redaktorka PIW.

A gdy skierował kiedyś do jej redakcji nową redaktorkę, naciskając, aby dobrze ją przyjęto, powiedziała, że decyduje u nas o wszystkim Zofia Lewinówna i nie wiadomo, czy się z nią dogada. Odpowiedział na to: „Lewinówna? Dopiero co wyszła z więzienia i może tam wrócić!”.

Książki niespecjalnie go interesowały. Całymi dniami studiował w swoim gabinecie teczek personalne pracowników z ich zdjęciami i szybko bezbłędnie ich rozpoznawał. Miał na nich „haki”. „Tatus był sanacyjnym urzędnikiem?” – pytał groźnie...

Zachęcał do pisania o dzielnych ubekach, ale nikogo nie namówił. Ratowano się jedynie wisielczym humorem, pytając np., ile można teraz dostać za arkusze wydawniczy. Pięć czy 10 lat? Albo że w umowach sformułowania „autor stwierdza” należy zamienić na „autor zeznaje”. Ubolewano, że za tortury było kiedyś pif-paf! A teraz – tylko PIW!

Kariera wydawnicza „Manikiurzysty” nie trwała długo. W listopadzie 1954 r. został, ku ogólnej radości wszystkich, wyprowadzony z PIW, aresztowany, postawiony przed sądem. Odsiedział tylko 10 lat. ©©

Gdy na jakimś dokumencie dla banku niewyraźnie się podpisał i księgowa poprosiła go, aby zrobił to jeszcze raz, krzyczał: „Ten podpis wystarczał, aby ludzie szli na śmierć, a pani mi tu głowę zawraca” – wspominała w jednym z wywiadów Zofia Bartoszewska

nika) był dyrektorem X Departamentu Śledczego MBP, zajmował się najważniejszymi, pokazowymi śledztwami, m.in. członków AK, WiN, bp. Kaczmarka, odpowiadał za śmierć rtm. Pileckiego, gen. Fieldorfa „Nila”. Był wybitnie inteligentnym, bezlitosnym i okrutnym sadystą, który zdobywał zeznania torturami. Robił to sam albo zlecał „mokrą robotę”, z satysfakcją się jej przyglądając. Stosował wszystkie metody – bicie, kopanie, pozbawianie snu, wybijanie zębów, miażdżenie palców, wyrwanie włosów i paznokci. Nazywano więc go ironicznie „Manikiurzystą”.

„Ależ to obrzydliwe, ohydne, kat i prześladowca ludzi nie może

pokojów, przedstawiał się, wyciągał rękę. „Podałem i ja, bałem się” – wspominał Jan Józef Lipski, młody wtedy redaktor.

„Manikiurzysta” zapowiadał publikację odważnych, głośnych książek, m.in. antystalinowskiej „Odwilży” Erenburga w przekładzie Jana Brzechwy, który szybko się z nią uwinął – wyszła pod koniec roku 1954, gdy Różańskiego już aresztowano i nie został, jak planował, twarzą polskiej odwilży. Przeżywał swoją degradację i nadal udawał wszechmocnego, obiecując redaktorom pomoc we wszystkich życiowych sprawach. Bali się jednak o nich mówić, mógł przecież wykorzystać je przeciw nim. Jedną z redaktorek zaryzyko-

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Ktoś sprzeciwia się imigrantom, więc mówią o nim „rasista”, choć to nie ma nic wspólnego z rasizmem. Sprzeciw dotyczy zachowań i obyczajów, języka i religii, a nie koloru skóry. Ukraińcy mają ten sam kolor skóry co my – mają jednak inną kulturę, inne obyczaje i obcy język. Na nasz teren weszły ich 2 mln i liczba wypadków samochodowych wzrosła kolosalnie, podobnie jak liczba zakażeń wirusem HIV. To nie jest kwestia koloru skóry, lecz OBYCZAJÓW. Ukraina od wielu lat jest rekordzistą HIV – w żadnym innym kraju poza Afryką nie ma tylu zakażeń. Teraz część tych zakażeń przeniosła się do Polski.

Niechęć wobec muzułmanów to też nie jest rasizm. Odczuwamy niechęć wobec rytualnego zarzynania kozy oraz wobec tego, że oni traktują kobiety jak kozy. Odczuwamy strach wobec pogardy, którą muzułmanie mają dla wszystkich „niewiernych” – to też nie jest rasizm. Oni „niewiernym” nazywają zarówno katolika, jak i ateistę, i każdemu należy się ich zdaniem ścięcie głowy – tego uczy islam. Czy ktoś kiedykolwiek powiedział: „To była bardzo spokojna okolica dopóty, dopóki nie wprowadzili się tutaj biali?”. Nikt, nigdy, nigdzie tak nie powiedział. Ale gdy w tym zdaniu podmienić słowo „biali” na „muzułmanie”, robi się prawdziwe w wielu miejscach Europy.

Nie wszędzie lubią białych, ale nawet tam, gdzie nas nienawidzą, nikt nigdy nie oskarża białych za wzrost przestępczości lub brud. Czynigis-chan, gdy najechał Europę,



FOT. W. CEJROWSKI / LUDYJANSKI W. SIOŚNICKI

śmierdział. W Europie zapoznał się z koncepcją mydła. Czy to stwierdzenie jest rasistowskie? Armia Czerwona też śmierdziała w trakcie najazdu na Polskę. Określenia „dzicz” lub „azjatycka swolocz” nie były rasistowskie – oddawały obiektywnie stan rzeczy. Sowietci byli obcy kulturowo, a to jak się zachowywali, budziło takie same reakcje jak Pan Murzyn robiący kupę do kąpieliska we Wrocławiu. (Nie mówię teraz o sowieckich zbrodniach, lecz o zachowaniach codziennych – jak jem, jak śpię, jak się ubieram).

Przedwojenny wywiad przygotowywał polskich agentów do przerzutu na sowiecką stronę w taki sposób, że nie mogli zmieniać ubrań ani myć zębów przez dwa tygodnie przed akcją. Doskonała znajomość rosyjskiego, kultury i obyczaju to było mało – agent musiał jeszcze śmierdzieć, także z gęby.

Czy Murzyn w Afryce jest leniwy i brudny? Niekoniecznie. Kultura zachowań nie bierze się z koloru skóry. Namibia leży na południu Afryki. Kręciłem tam „Boso przez świat” celowo – chciałem zrobić ładne filmy. Wybrałem więc była kolonię niemiecką, bo tam było bezpiecznie, czysto, na ulicach porządki, obęjska wysprzątane, ludzie schludnie ubrani. Niemcy (można ich nie lubić, jest za co) zaprowadzili tam swoją kulturę bycia i ona przetrwała. Czarni w Namibii zachowują się tak samo jak biali. W stolicy kraju baliśmy

się chodzić jedynie tam, gdzie koczowały pawiany – na wyjeździe z miasta atakowały samochody, robiły to grupami, nie bały się wskoczyć na maskę, wybić szyby i rabować żywności. Pawiany w Namibii zachowywały się tak samo „odważnie” jak czarni imigranci z Haiti na terenie USA.

Migrantka z Haiti została aresztowana w Springfield (stan Ohio), ponieważ zaabiła czyjegoś kota i jadła go na surowo na środku ulicy przed domem właściciela. Ten przypadek jest jednym z wielu. Haitańczycy w USA polują na domowe psy, koty, łabędzie w parku, wchodzą na posesje, wybijają szyby w samochodach, grzebią w cudzej spiżarni w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia lub do zabrania, nie boją się nikogo, koczują ludziom w ogródkach, wchodzą do domów jak do siebie... Zachowują się jak te pawiany z Namibii oraz jak Armia Czerwona w Polsce.

Kamala Harris i Joe Biden kazali przywozić imigrantów z Haiti samolotami w ramach programu pomocowego. Przerzucono ich ponad 200 tys. i... wywalono w kilku punktach na terenie Stanów Zjednoczonych. Trudno stosować inne słowo niż „wywalono”, skoro z samolotów trafil na ulicę i dalej mieli już sobie radzić sami. 20 tys. Haitańczyków (czyli 10 proc. tej grupy dowiezionej samolotami) wywalono w mieście Springfield w stanie Ohio. Miasto miało niecałe 60 tys. mieszkańców i nagle zwiększy-

ło swoją populację o 20 tys. imigrantów. Teraz co czwarty mieszkaniec Springfield jest imigrantem, co czwarty jest Haitańczykiem, co czwarty nie zna języka ani obyczajów panujących tu wcześniej. Co czwarty jest bezdomny, bezrobotny...

Zawlekli do USA swoją kulturę i obyczaje – zarzynają zwierzęta domowe i żrą je na surowo.

Haiti to miejsce potworne. Co kilka lat słyszymy o huraganach i trzęsieniach ziemi, które „zniszczyły wszystko”, a przy okazji i braku państwa, ewakuacji ambasad i o tym, że w Haiti rządzą gangi, które uprawiają kanibalizm. Niemożliwe – myślimy – i szybko zapominamy o tych „sensacjach”. Tymczasem na Haiti to żadne „sensacje” – krwawy kult voodoo, którego częścią jest zarzynanie zwierząt i picie krwi, uprawia się tam powszechnie od ponad 200 lat. W 2003 r. prezydent Haiti ogłosił voodoo religią narodową. Bohaterem narodowym Haiti jest przywódca murzyński Dutty Boukman, który poprowadził nocny obrzęd, w trakcie którego wysmarował sobie usta krwią zarżniętego wieprza i poprząsił zamordowanie wszystkich białych na wyspie. W obrzędzie uczestniczyło 200 bojowników. Odbył się opętańczy taniec, wejście w trans i oddanie ciała i duszy szatanowi. Takie obrzędy są w Haiti powszechne do dziś. A teraz 200 tys. Haitańczyków przywieziono do USA wraz z ich „kulturą”.

Protest wobec imigrantów to nie jest rasizm. Nie chcę na moim terenie ludzi, którzy zarzynają koty i jadają je na surowo; nie chcę na moim terenie kogoś, kto planuje zarżnąć mnie. To nie jest rasizm, to jest postawa normalna i roztropna, że nie chcę imigrantów. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~1403~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAREK A. KOPROWSKI:
„ARMIA KRAJOWA NA WOŁYNIU.
CZYLI ZDRADY NIE BYŁO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

425,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 978 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

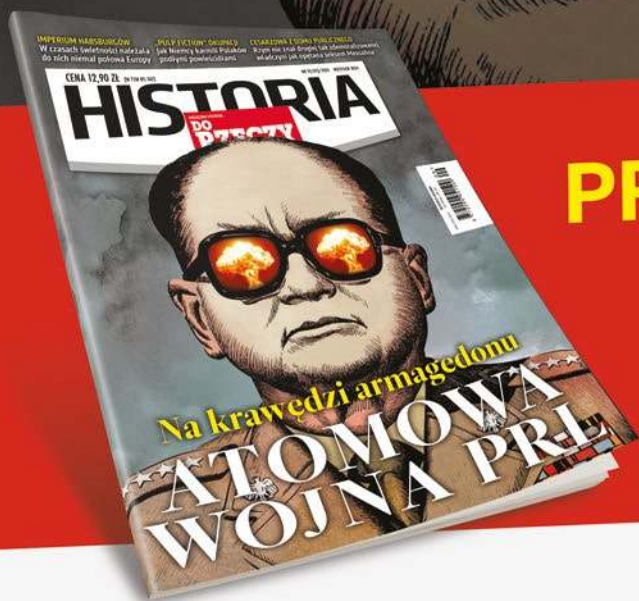
ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpgp.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 168c6ac817

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



PRL NA KRAWĘDZI NUKLEARNEGO ARMAGEDONU

Atomowy deszcz nad Wisłą – Rola przydzielona przez Moskwę PRL w konflikcie Wschód – Zachód oznaczałaby dla naszego kraju totalną zagładę

Śmiertelne starcie kuzynów – Nie brak opinii, że bitwa pod Zawichostem była największym zwycięstwem polskiego oręża w okresie średniowiecza, aż do starcia z Krzyżakami pod Grunwaldem

Kuchenna klątwa Albionu – Anglicy skolonizowali połowę świata i zarządzili handlem przyprawami. Dlaczego więc ich potrawy uchodzą wśród cudzoziemców za niezjadliwe?

Cesarzowa z lupanaru – Rzym nie znał drugiej tak zdemoralizowanej władczyni. Messalina nocami obsługiwała klientów domu publicznego, a w dzień planowała krwawe intrygi

Mengele Stalina – Grigorij Majranowski był szefem laboratorium NKWD, w którym opracowywano trucizny pozwalające zabijać bez pozostawiania śladów. Wypróbowywano je na skazanych na śmierć

Polski akcent Conrada – Sto lat temu zmarł Joseph Conrad, klasyk literatury światowej, który do końca pozostał jedną wielką enigmą

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**